www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 8 (1102)
15-21.02.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Andrzej Friszke
Skąd się wzięli komuniści

Aptekarze wojują,
apteki znikają

Polacy i Żydzi – spadek
po zamordowanych

Jak CIA finansowała
Solidarność

CZY MŁODE POLKI ROZWALĄ SYSTEM?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311102 08

epress.pl 3efdd1c9f9

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR
Antygona.
Edyp.
REŻYSERIA: ADAM NALEPA
PREMIERA 20 LUTEGO 2021
WWW.TCN.AT.EDU.PL

Jerzy Domański

Podatku nie będzie

Mówienie i pisanie o mediach w mediach ma dość skromny sens. Ale jest praktyką, której sam ulegam. Nie da się pisać o polityce, nie dotykając mediów, które stały się oddziałami partii na wojnach toczonych z innymi partiami. Jak mało jest sensu w tym zlaniu się w jedno władzy i jej mediów oraz opozycji ze swoimi mediami, dobrze wiedzą ci, którzy już zaliczyli fascynację polityką.

Te eksperymenty zawsze dla mediów kończą się katastrofą. Dla polityków nie. Zmieniają barwy partyjne i znowu pogrywają z kolejnymi mediami. Ile razy można nabrać dziennikarzy na prymitywne triki? I czy można ciągle wierzyć w dobre intencje władzy? Nie pamiętam, by któryś z kolejnych rządów zrobił coś sensownego dla budowy rzetelnych mediów publicznych. Było dokładnie odwrotnie. Każdy, kto tylko dorwał się do władzy, kładł na mediach łapę i mieszał w nich bez sensu.

Na upadek mediów publicznych pracowało wiele rządów oraz wielu polityków. A także, co warto podkreślić, wielu gorliwych pomagierów ze środowiska dziennikarskiego. Sytuacja jest jak na karuzeli. Do gry chcą wrócić przegrani politycy. I minione gwiazdki medialne. Tylko po co? Już mieli swoją szansę. Może wystarczy tego eksperymentowania na Polakach pod pozorem obrony demokracji, wolności i niezależności mediów? Prawdą jest, że wolne, niezależne i silne media są podstawą demokracji. Trudno więc nie zauważyć związku między słabością demokracji w Polsce a słabością mediów. Coraz liczniejsze mają ogromne kłopoty ze związaniem końca z końcem. Spadają nakłady i sprzedaż gazet. Większość dziennikarzy pracuje na śmieciówkach. Podatek od reklam, który chce wprowadzić PiS, w oczywisty sposób mógłby dotyczyć tylko tych, którzy takie reklamy mają. I to w dużych ilościach.

Ale takiego podatku rząd PiS nie wprowadzi, bo ostro zaprotestowali Amerykanie. A gdy odzywa się tabun najlepszych przyjaciół Polski, na dodatek z USA, władza – jakakolwiek – zjada własny język. Podatku nie będzie. Kasa amerykańskich i niemieckich właścicieli mediów została obroniona. Rachunek za frustrację przegranego PiS będą płacili ci słabsi, mniejsze, lokalne media. Tam, gdzie samorządy są pod kontrolą tej partii, media w miarę niezależne i krytyczne cienko przędą. A im dalej od Warszawy, tym gorzej.

Można wydawać gazety bez reklam. Z wielkim trudem, ale się da. Nasz tygodnik jest tego przykładem. Reklam nie mieliśmy za Tuska, nie mamy też za Kaczyńskiego. Może teraz zarobimy na kursie „Jak przeżyć bez ogłoszeń"?

Apel do Czytelników. Covid ciągle bardzo ogranicza nasze ruchy. Zachęcam więc do prenumeraty (szczegóły s. 29). Pomóżmy tym, którzy mają kłopoty ze zdrowiem. Zróbmy im prezent.

BĄKOWSKI

CYTATY

DR JAROSŁAW FLIS, socjolog, UJ
Wiemy, że w maju oferta rządu technicznego była na tapecie, tylko opozycja była nieogarnięta.
„Polska The Times"

KAYAH, PIOSENKARKA
Kościół powinien być osobistym wyborem, a nie nałożonym jarzmem.
„Uroda Życia"

eprasa.pl 3efdd1c9f9

W NUMERZE

KRAJ

8 **Czy młode Polki rozsadzą system?**
– rozmowa z prof. Elżbietą Korolczuk

14 **Covid po polsku, czyli zbiór absurdów**
Wirus szaleje w szkołach

15 **Znikające apteki**
Kto straci na wojnie aptekarzy

18 **Na pochylniach hula wiatr**
Utopiony przemysł stoczniowy

21 **Kaczyński-Gowin: imperium kontratakuje**
Kolejna wojna w Zjednoczonej Prawicy

22 **Nieodparty urok MSZ**
Ustawa o dyplomatach

34 **Spadek**
Polacy i Żydzi – trudne dziedzictwo

HISTORIA

26 **Skąd się wzięli komuniści?**
– rozmowa z prof. Andrzejem Friszkem

30 **Jak CIA finansowała Solidarność**
Amerykańska pomoc dla opozycji

ZAGRANICA

38 **Marka Tyrol do stworzenia na nowo**
Sezon bez turystów

40 **Portugalia na intensywnej terapii**
Skutki świątecznego rozluźnienia

42 **Zachód zamyka meczety**
Przeciwdziałać terroryzmowi

44 **Prezydenckie rekordy**
Po raz pierwszy w Białym Domu

KULTURA

46 **Po co był ten miś?**
Wspomnienie o Krzysztofie Kowalewskim

50 **Przyroda da sobie radę bez nas**
– rozmowa z Urszulą Zajączkowską

53 **Qulturalia**

66 **Banksy. Geniusz czy wandal?**

OBSERWACJE

54 **Włochów chowa się w modnym ubraniu**
Kulisy włoskich pogrzebów

TECHNOLOGIE

56 **Zero-jeden-śmierć**
Ataki w przestrzeni cyfrowej

SPORT

58 **Klubowa piłka, czyli show dla ubogich**
Telewizja a krajowy futbol

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Podatku nie będzie

13 **Andrzej Romanowski**
Linie podziału

25 **Jan Widacki**
Chyba jeszcze długo będziemy taplać się w bagnie

33 **Roman Kurkiewicz**
Jak znieważyć naród polski – krótki kurs

37 **Tomasz Jastrun**
Smog moralny

49 **Wojciech Kuczok**
Droga na Budapeszt

18
KRAJ

NA POCHYLNIACH HULA WIATR
Utopiony przemysł stoczniowy

38
ZAGRANICA

MARKA TYROL DO STWORZENIA NA NOWO
Sezon bez turystów

50
KULTURA

PRZYRODA DA SOBIE RADĘ BEZ NAS
– rozmowa z Urszulą Zajączkowską

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK ŁASYK/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3efdd1c9f9

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Narodowe zwierciadło

Krótka pamięć wyborców to narodowe przekleństwo. Korzystając z tego, pełnymi garściami, politycy. Przegląd i dotrzymywanie obietnic to nie są sprawy, które by traktował dogmatycznie. Po porażkach otrzepują się i kuszą i po Wielgu prezentują nam kolejną wersję złotowłosej narodu. Poinwestycyj, by powiększyć z nami wskaźnik. Podobnie robią oszuści pokający na emerytury mieszkania, wmawiając ludziom, że na przed rimi ostrzegali, ciągle przybywa oszukanych.

Mam wrażenie, że dla żyjących z polityki jestem/my jako społeczeństwo tylko wielkim kupem. Grupa ludzi do oskubania. Oczywiście nie dotyczy to jedynie polityków. Taki procesder uprawia u nas większość grup zawodowych. Z jakim hasłem jadą na wieś aksjotyczny sprzedawcy ubezpieczeń? Jakimi argumentami przekonują ludzi do rolnictwa? Jakiemi wybuć niewiele. Nie wiem, co mówią ci, którzy handlują parafarmaceutykami. Ale wiem, jak gigantyczne są zyski koncernów produkujących złudzenia w tabletkach.

Znam setki relacji ludzi oszukanych przez sprzedawców rozmaitych dóbr i usług. Oszustami są prawie zawsze na jeśli jest w tym coś wolnego, to wolność od zasad, moralności i elementarnej uczciwości. Bez nich zak relacja między ludźmi sprowadzają się do patologicznej opresji wobec słabszych, mniej zaradnych czy bardziej naiwnych.

To, czego dobowiadczamy od naszych rodaków, spotyka nas tak często, że nagaszamy, egzaltacji i spadkiem jakiegoś kolwiek zaufania do otoczenia. Albo stresem i przygłaszamy, że wszystkie te zjawiska są normalne. Nie jest normalne, że w tym czasie bardziej dociekliwi świecie będzie to problemy tylko powiększało. Weźmy chociby sprawę uchodźców. Rządząca partia straszy Polaków cudzoziemcami, a również z tymi bredniami wpuszcza do Polski setki tysięcy imigrantów. Ktoś przecież musi pracować tam, gdzie Polacy za tak skromne wynagrodzenie ani myślą, bo mają lepsze zarobki w krajach Unii Europejskiej.

Liczę tych, którzy nas na każdym kroku oszukują, kłudy me w głowie. Bez problemu może też wskazać oszustów we własnej rodzinie, wśród znajomych i sąsiadów. Ta patologia jest na tyle masowa, że musi skutkować co najmniej ku pysznem zaufania. Do kogoś/kolwiek. Nawet w wielu rodzinach, które kiedyś były ostoiną ostoją.

Narodowe zwierciadło

Krótka pamięć wyborców to narodowe przekleństwo – pisze redaktor naczelny PRZEGLĄDU (nr 7). Ach, jak trafne to słowa. I nie dość, że się z nimi zgadzam, to jeszcze w podobnych sytuacjach przychodzą mi na myśl Jerzy Buzek, jego rząd AWS-UW i PO. Jerzy Buzek był premierem koalicyjnego rządu, którego częścią była Unia Wolności, poprzedniczka Platformy Obywatelskiej. Te rządy tak się skończyły, że ani UW, ani AWS w następnych wyborach nie przekroczyły progu wyborczego. Przed końcem kadencji kilku uciekinierów z tonącej UW założyło „nową" partię – PO. I ta „nowa" partia, choć złożona z przegranych polityków, od razu zaczęła się liczyć na scenie politycznej. A prof. Buzek po kilku latach niebytu zaczął wygrywać wybory do europarlamentu! I nikt już nie pamiętał jego pseudoreform: OFE, wprowadzenia 300 powiatów w miejsce 49 województw (słuchałem kiedyś audycji o obowiązkach gmin i powiatów: jedne są odpowiedzialne za drogi, a drugie za znaki na tych drogach), kas chorych (poprzedniczek NFZ), czyli zbiurokratyzowania służby zdrowia – po co pieniądze mają iść na zdrowie obywateli, niech idą na urzędników.

Ostatnio głośno było o pseudokonferencji prasowej PO – Koalicja 276. Raz, że wygadywali bzdury większe niż podczas kampanii wyborczej, a dwa: padły tam słowa, że PO powstała, bo były byle jakie rządy. Cóż za samokrytyka – przecież to były rządy poprzedniczki PO. I znów nasuwają się słowa: „Krótka pamięć wyborców to narodowe przekleństwo".

Piotr Robecki

Służba zdrowia – krajobraz po bitwie

W pandemii Polacy przestali chodzić do lekarzy – tak zaczyna się tekst „Służba zdrowia – krajobraz po bitwie". To zdanie jest fałszywe. To nie my przestaliśmy chodzić do lekarzy. To lekarze zamknęli się przed nami.

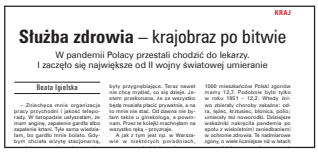

KRAJ

Służba zdrowia – krajobraz po bitwie

W pandemii Polacy przestali chodzić do lekarzy. I zaczęło się największe od II wojny światowej umieranie

Beata Igielska

– Zniechęca mnie organizacja pracy przychodni i jakość teleporadzy. W listopadzie zatyzatem, że mam angina, zapalenie gardła albo zapalenie krtani. Tyle sama wiadomem, bo gardło mnie bolało. Gdybym chciała wizytę stacjonarną, były przygnębiające. Teraz nawet nie chcę myśleć, co się dzieje ja- ko pacjent onkologiczny. Nie wiem, będę musiała płacić prywatnie, a na to mnie nie stać. Od dawna nie byłam także u ginekologa, a powinnam. Przez te kolejki machnęłam na wszystko ręką – przyznaje.

– A jak z tym jest np. w Warszawie w niektórych poradniach, 1000 mieszkańców Polski zgonów mamy: 12,7. Podobnie było tylko w Bułgarii. Ale tam to jest wynik wpływu choroby zakaźnej: odra, tężec, krztusiec, błonica, polio; umierały też noworodki. Dzisiejsze wskaźniki nakręciła pandemia po ogodu z wskaźnikami zachorobalnami w ochronie zdrowia. Te nadmiarowe zgony, o wiele liczniejsze niż w latach

Krystyna Urbańska

•

W pandemii Polakom UNIEMOŻLIWIONO chodzenie do lekarzy, ale nadal pobierana jest składka na ubezpieczenie zdrowotne. Pracującym emerytom nawet podwójnie.

Maria Łakomy

HISTORIA

Wyzysk rodzi bunty

III RP jest powrotem do bardzo złych praktyk polskiego kapitalizmu przełomu XIX i XX w.

Rozmawia Paweł Dybicz

Po wiekiełtnej serii publikacji o sołachach i magnatach historycy zajęli się historią ludu. Skąd to nagłe zainteresowanie?

– Są jest to historia niesprowiedziana, a raczej w Polsce opowiadana za mało. Chciałem przywrócić pamięć o wielkich ludach, o ich wielkiej sprawiedliwości tym niezdecentrowanym grupom – niedoszacowanym nie tylko w literaturze historycznej. Zainteresowałem się tym, gdy zacząłem czytać dokumenty pojawiałem się, gdy czegoś od ludu chciała, w szczególności poparcia swoich projektów politycznych. Tych kilka wydanych ostatnio książek, wśród nich „Wyzysk rodzi bunty", to pierwsze próby pogłębionego ujęcia

Od tamtej pory minęliśmy kilka okresów, w których ujawniła się wiekiełtna propaganda programowa.

– W latach 50-tecia taką propagandą zbudziła się w latach 1946-1981 ogłoszona solidarność ludu. Ale ta solidarność ludu, zniosła zawierająca komponent narodowościowy i ekonomiczny, czyli lepszą redystrybucję dóbr, wyrzuciła ludzi z pracy, 500+ i 13. emerytura... i to się działało. Zaby wejść na trasie odbudowy PiS od władzy, trzeba złożyć kołowi własną propagandę. Ta propaganda zwierzchnicza dla wieczorej.

Książka nosi tytuł „Ludowa historia Polski", ale w zasadzie jest o chłopach.

– Na ma, jedna trzecia jest o szlachcie.

Dlaczego ten nacisk akcentowanie jest chłopowość

Małgorzata Matysiak

Wyzysk rodzi bunty

Patrząc na historię Polski, zbyt rzadko zwracamy uwagę na to, że jest ona opowiadana głównie z perspektywy wyższych warstw społecznych i uwzględnia przede wszystkim ich punkt widzenia, ich interes. Daje to bardzo wybrakowany obraz, uniemożliwiający sensowną analizę jakichkolwiek zjawisk, co jest ze szkodą dla wszystkich. A jakby tego było mało, w kolejnych okresach dochodzą nakładki związane z propagandą i celami aktualnie rządzących.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ośmiogwiazdkowy ZUS. W czwartkowy poranek na poznańskiej placówce ZUS nieznani sprawcy zawiesili portret Prezesa Narodu. Szybko jednak zniknął, a policja wszczęła dochodzenie. Czyżby za znieważenie budynku?

FOT. OGÓLNOPOLSKI STRAJK KOBIET

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Sąd Okręgowy w Opolu zasądził Tomaszowi Komendzie za niesłuszne spędzenie w więzieniu 18 lat odszkodowanie i zadośćuczynienie od skarbu państwa w wysokości 12,8 mln zł. Pora na tych, którzy do tego skazania doprowadzili.

Ks. prof. Alfred Marek Wierzbicki z KUL otrzymał od Polskiego PEN Clubu Nagrodę im. Pruszyńskich „za wagę i odwagę postawy i słowa w nauczaniu, publicystyce, w poezji i w życiu".

Jerzy Urban, redaktor naczelny tygodnika „Nie", został prawomocnie uniewinniony w sprawie okładki (sierpień 2020 r.), na której był wizerunek Jezusa ze zdziwionym wyrazem twarzy na tle przekreślonego znaku zakazu. Sąd uznał, że nie było tam cech przestępstwa. Prokuratura spóźniła się z apelacją.

Włodzimierz Cimoszewicz wygrał z „Gazetą Polską". Za zniesławienie byłego premiera organ Sakiewicza musi przeprosić i wpłacić 25 tys. zł na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

W trakcie wrześniowego Dnia Sprzątania Świata śmieci zbierało 94 tys. ochotników we wszystkich województwach. Wykryto 606 nielegalnych, dzikich wysypisk.

Zofia Stafiej za rolę w filmie Piotra Domalewskiego „Jak najdalej stąd" otrzymała na festiwalu w Indiach nagrodę za najlepszą rolę żeńską.

6,5% bezrobocia w styczniu oznacza, że bez pracy jest 1,089 mln osób. Pracodawcy zgłosili chęć zatrudnienia 98 tys. osób.

W czołówce europejskich miast, w których ludzie umierają z powodu emisji pyłów PM 2,5 (czyli przez to, co spalamy w domach), są: Jastrzębie-Zdrój (7. miejsce), Rybnik (9.), Żory (12.), Radom (16.) i Warszawa (20.).

18 m kw. mają lokale mieszkalne wybudowane w Warszawie przez JW Construction. Szykują się jeszcze bardziej wypasione apartamenty o powierzchni 6,7 m kw.

Kolejny szczyt deweloperskiego absurdu. Szczecińska firma Siemaszko chce wybudować dwie wieże o wysokości 112 m i z 33 kondygnacjami tuż przy plaży w Międzyzdrojach. Kto wydaje na to zgodę?

O skali strat sektora kinowego w czasie pandemii najlepiej świadczy spadek dochodów. W 2019 r. przychody z biletów wyniosły 1,065 mld zł, a w 2020 r. tylko 340 mln zł.

Antoni Macierewicz skutecznie blokuje emisję w TVP filmu o katastrofie smoleńskiej w reżyserii Ewy Stankiewicz. Film wyprodukowano jesienią 2019 r. na koszt TVP.

PRZEBŁYSKI

Zapis TVN na PRZEGLĄD

Nie jesteśmy małostkowi. Poparliśmy protest amerykańskich milionerów z TVN, bo rozumiemy, jak ich musiała zaboleć myśl o podatku od reklam. Jesteśmy miłosiernego serca, choć pamiętamy, że od wielu lat w TVN jest zapis na PRZEGLĄD. Wiemy, kto ulokował nas na czarnej liście. Załoga trzymana na śmieciówkach i ciągle redukowana opowiada, jak jest. A jak traci te wyżebrane śmieciówki, to nawet ze szczegółami.

Cenzorski zapis w TVN na PRZEGLĄD o tyle nas obchodzi, że musimy ciągle odpowiadać czytelnikom, dlaczego nas tam nigdy nie ma. Odpowiadamy więc zbiorowo. TVN to przecież Himalaje wolności, wartości, niezależności i czegoś tam jeszcze. A my? Samotny żagiel. Bez reklam.

Manasterski vel Wróblewski

O co można walczyć? O kasę, awans, lepsze miejsce na drabinie. A nawet o to, kto lepiej zrobi dojnej zmianie w TVP Info. Chętnych za wielu nie ma. Ale pisowskich głupot ktoś musi bronić. Od świtu do północy. Wyróżnia się dwóch. Miłosz Manasterski z Agencji Informacyjnej i Artur Wróblewski z Uczelni Łazarskiego. Wazelinę dostają ze Srebrnej, teksty SMS-em w przekazie dnia. A kasę na konto. Wróblewski jest nadpobudliwy i krytykom polityki PiS chętnie by… A Manasterski? Długo myśleliśmy, że to cyborg, awatar albo może hologram. Bo trudno było uwierzyć, że tak może ględzić żywy człowiek. I to z własnego wyboru.

Jak żyć bez bredni?

Płaczemy i płaczemy. Bo jakże nie płakać nad losem Springerowskiego „Faktu" i bliźniaczego „Super Expressu"? Jak żyć bez tak niezależnych i opiniotwórczych gazet? (To akurat nie żarcik, ale cytat z ich łamów). Co poczną ich czytelnicy bez codziennej dostawy bredni, fałszywych oskarżeń i szmacenia ludzi? Choć takie coś można kupić tanio, jakoś wystarcza na setki przegranych procesów sądowych i zyski dla właścicieli. O godziwe zyski dla Springera gorliwie walczył Grzegorz Jankowski. Ale że ciągle było im mało, wymienili go na młodszy model. Nie zginął jednak. Przygarnął go Polsat. Robi tam za pisowską dupokrytkę. Bawi widzów pokrzykiwaniem i radiową urodą.

Andruszkiewicz, żarcik Kaczyńskiego

Miedziane czółko krąży po Grajewie. A mieszkańcy tego fajnego miasteczka między Łomżą a Ełkiem przepraszają za Adama Andruszkiewicza. Bo gdyby nie dali się kiedyś nabrać, to kariera tego młodzieńca o lotności przyczepy z balotami skończyłaby się na młodzieżówce Giertycha. Mniej byłoby wstydu. Nasza ojczyzna nie musiałaby też złotówek zabieranych emerytom przeznaczać na full wypas Andruszkiewicza. Sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Zawsze kiedy wymieniamy ten tytuł, gnębi nas ta sama myśl: za co? Za jakie grzechy naród polski jest tak upokarzany?

FOT. YOUTUBE (3)

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Prawu i Sprawiedliwości uda się złamać niezależne media?

JERZY BACZYŃSKI, *redaktor naczelny „Polityki"*

Będą próbować i próbują, ale tu nie wróżę powodzenia. Polska to jednak nie Węgry. Orbánowi udało się za pomocą metod, jakich próbuje PiS, czyli presji ekonomicznej, finansowej i prawnej. Jednak Polska to zupełnie inny kraj – mamy znacznie większy rynek, a media są mocniejsze ekonomicznie. Siłą mediów w Polsce są odbiorcy – PiS nie udało się przejąć kontroli nad rynkiem informacji, emocji i wiedzy społecznej. Oczywiście jeśli rządzący wprowadzą podatek od przychodów reklamowych, będzie to silny cios zmuszający niepaństwowe media do ograniczenia zatrudnienia czy planów programowych. Myślę jednak, że to nie jest dogodny politycznie moment dla PiS. Buntuje się Jarosław Gowin, bo to idealna okazja, aby pokazać swoją pryncypialność. Oczywiście są przykłady łamania mediów z systemów autorytarnych, ale wtedy trzeba by użyć stalowych łomów – wprowadzić przepisy o terroryzmie, naruszaniu interesów państwowych i przejść do takiej formy represji jak w Turcji. Jednak tak długo, jak jesteśmy w UE i NATO, nie sądzę, żeby Kaczyński odważył się niszczyć niezależność mediów brutalną siłą, dlatego myślę, że połamie sobie na tym zęby.

HENRYK MARTENKA, *publicysta, „Angora"*

Teoretycznie to może się udać, bo udeptana gumiakami ścieżka legislacyjna daje PiS taką możliwość. Wódz rządzącej partii ma wyczucie czasu i wie, że następnych wyborów może ona już nie wygrać. Zaczną się rozliczenia. Spróbuje więc skorzystać ze sprawdzonych rozwiązań towarzyszy węgierskich i zawczasu eliminować zagrożenia. Takie jak media, których wolność polega nie na tym, że piszą, co chcą, ale że są poza zasięgiem wodza! Do tego naigrawają się z jego przekazów dnia i lżą. Ale, jak mówią Niemcy, zawsze istnieje jakieś ale… Posłowie Porozumienia, którym Kaczyński pokazał, jak ich ceni, już mruknęli, że sprawy nie znają, bo jej z nimi nie konsultowano, a kanapowcy od Gowina boleśnie pokazali już PiS, że bywają krnąbrni. Nie jest też pewne, jak zachowają się solidarni Ziobry, od dawna żeglujący na kursie kolizyjnym z Kaczyńskim. Być może i oni zechcą przed wyborami pokazać, że stać ich na luksus suwerenności. Wtedy „nacjonalizacja" mediów Kaczyńskiemu się nie uda. Aliści najpewniej zadzwonią z Departamentu Stanu i temat wygaśnie szybciej, niż zapłonął.

DR PAWEŁ SĘKOWSKI, *„Zdanie", Stowarzyszenie Kuźnica*

Odpowiedź na to pytanie zależy od postawy naszej, czyli wszystkich, którzy sprzeciwiają się dążeniom strony rządowej. Bez wątpienia protest pod hasłem „Media bez wyboru" był dla władzy ważnym sygnałem ostrzegawczym. Informowała o nim nawet telewizja publiczna i było widać, że ten gest wzbudził tam irytację, wręcz pewną panikę, co jest najlepszym dowodem na to, że taka akcja była potrzebna. Tym bardziej że pod płaszczykiem walki z jednej strony z covidem, a z drugiej z monopolem wielkich korporacji tak naprawdę planuje się pompowanie środków z działających w Polsce mediów prywatnych do mediów państwowych i prorządowych mediów prywatnych. Temu bowiem ma służyć zapowiedziane powołanie Funduszu Wsparcia Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Obszarze Mediów.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Czy młode Polki rozsadzą system?

Szansą na zmianę jest porozumienie między pokoleniami

Zainteresowanie polityką wśród ludzi w przedziale wiekowym od 18 do 24 lat jest najwyższe od transformacji – 77%, aż o 10 pkt proc. więcej niż jeszcze rok temu. Taki wynik przynosi najnowszy sondaż CBOS. Ten skok pokazuje nie tylko frustrację młodzieży, dosadnie wyrażaną na protestach, ale też determinację ludzi zmęczonych tym, co się dzieje w polityce. Potrzeba zmiany wyraża się w rekordowym od dekad wskaźniku poparcia dla poglądów lewicowych. Od ubiegłego roku liczba młodych, którzy deklarują poglądy lewicowe, podwoiła się.

Od 2015 r. Prawo i Sprawiedliwość konsekwentnie, kawałek po kawałku, realizuje swoją wizję państwa, przy okazji odbierając kolejne prawa i wolności obywatelom i obywatelkom. Nie ma edukacji seksualnej. Nie istnieje, wbrew sukcesom ogłaszanym przez kolejne ministerstwa, program ochrony przed przemocą, czego jaskrawym przejawem jest plan wypowiedzenia konwencji stambulskiej. Dostępna w całej Europie bez recepty pigułka dzień po jest trudna do zdobycia, bo niełatwo trafić na lekarza niepowołującego się na klauzulę sumienia. Dostęp do antykoncepcji jest na najniższym poziomie w Europie. Minister edukacji z nadania PiS Przemysław Czarnek chce odchudzać dziewczynki, a w meandry seksualności wprowadzać młodzież szkolną poprzez dzieła Jana Pawła II. Kościelne ambony są wykorzystywane jako propagandowe tuby rządu, hierarchowie głoszą hasła o „tęczowej zarazie" i ostrzegają przed nieistniejącą „ideologią gender", często upominając rządzących, by szybciej wprowadzić całkowitą „ochronę życia". Brakuje środków na dziecięcą psychiatrię, ale szeroki strumień pieniędzy płynie do toruńskiego redemptorysty Tadeusza Rydzyka.

Pandemia koronawirusa obnażyła indolencję rządzących, a ci, by ją przykryć, sięgają po coraz bardziej radykalne środki. Kulminacją cynicznego, dyktowanego politycznymi względami uprzedmiotowienia „suwerena" był nie tylko wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., który uznał za niezgodną z konstytucją przesłankę embriopatologiczną do terminacji ciąży, ale także uzasadnienie owego orzeczenia, w którym czarno na białym można przeczytać, na czym „ochrona życia" ma polegać. Aborcja w przypadku wad płodu stała się nielegalna. A te wady to nawet wedle rządowych, fałszujących aborcyjną rzeczywistość statystyk powód ponad 90% przeprowadzanych w Polsce terminacji ciąży.

Młodzi wiedzą, że muszą działać. Są na ulicach. Protestują. Zamierzają głosować w najbliższych wyborach w 2023 r. i już wiedzą jak. Z sondażu CBOS wynika duży wzrost lewicowych przekonań wśród najmłodszych dorosłych.

W ciągu czterech lat (2016-2020) trzykrotnie wzrósł odsetek młodych popierających liberalizację prawa aborcyjnego. 28% osób z tej grupy wiekowej bierze udział w protestach przeciw wyrokowi TK (wobec 8% ogółu badanych).

Najbardziej spektakularna zmiana nastąpiła jednak w przekonaniach politycznych na osi lewica-prawica. W grupie wiekowej 18-24 lata dominują poglądy lewicowe, które deklaruje 30% badanych. To najwyższy wskaźnik od początku lat 90. Autorzy opracowania podkreślają, że „w stosunku do wyników z poprzedniego roku zmiana jest uderzająca". W 2019 r. 31% nie potrafiło określić swoich poglądów, a 28% deklarowało, że najbliżej im do centrum.

Badacze zwracają uwagę, że od 2002 r. deklaracje lewicowych sympatii w tej grupie nigdy nie przekroczyły 20%. Wciąż większość ogółu badanych utożsamia się z prawicą, lecz w zeszłym roku nastąpił wyższy przyrost w deklaracjach lewicowych poglądów wśród młodych.

Wygląda na to, że – jak brzmiało jedno z haseł podczas październikowych i listopadowych protestów – młody „podmiot nie zgadza się z orzeczeniem".

Deklarowane poglądy polityczne badanych w wieku od 18 do 24 lat
(lata 1990-2020, w procentach dla poszczególnych lat)

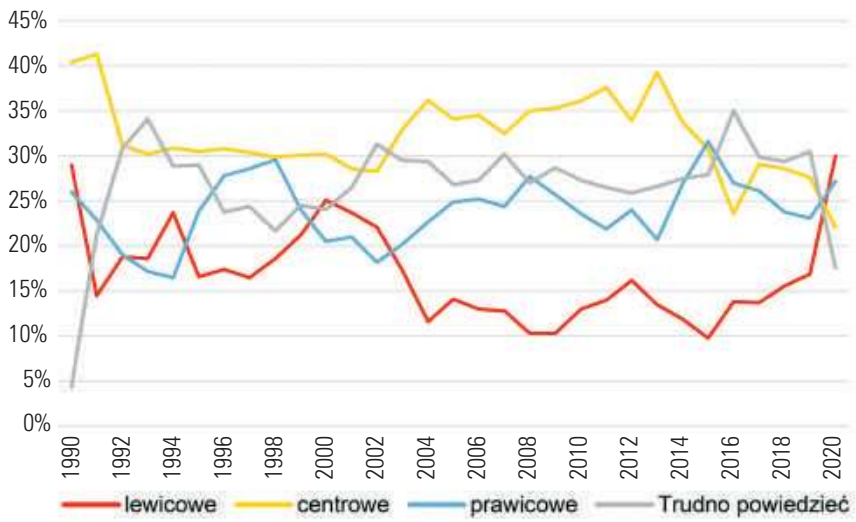

Źródło: CBOS, luty 2021 r.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Rozmawia Anna Stachowiak

PROF. ELŻBIETA KOROLCZUK

– socjolożka

Zaskoczył panią nowy sondaż CBOS, z którego wynika nie tylko, że aż 77% osób w wieku 18-24 lata deklaruje udział w wyborach, ale też, że 30% chce głosować na lewicę? Poparcie dla lewicy nie było tak wysokie od lat, przyrost jest gwałtowny. Badacze mówią o przełomie.

– To kontynuacja trendów, które widać już od pewnego czasu. Jeśli spojrzymy na ostatnie wybory – parlamentarne i prezydenckie – zobaczymy wyraźnie rosnące zaangażowanie tej grupy w procesy polityczne. Już w ostatnich wyborach prezydenckich młodzi w rekordowym stopniu zmobilizowali się do głosowania. Tłumaczyłabym to faktem, że są grupą najbardziej sfrustrowaną kierunkiem, w którym podąża nasze państwo.

Stąd tak duże poparcie dla lewicy? Wynika z frustracji?

– Od dłuższego już czasu dostępne są wyniki badań, które pokazują, że w grupie 18-24 lata dominują poglądy liberalne obyczajowo, prosocjalne, egalitarne. Według m.in. badań CBOS mniej więcej do 2012 r. wśród osób w przedziale wiekowym 18-24 lata przeważały deklaracje, że identyfikują się jako prawica; ten trend osiągnął szczyt w roku 2015, a po 2016 widać było już wyraźną zmianę na korzyść identyfikacji jako centrum i lewica. Widoczne jest to szczególnie wśród młodych kobiet. W ostatnim czasie właśnie one wyszły masowo na ulice. Myślę, że ten proces będzie postępował. Młodzi są też najmniej religijni, a religijność jest bardzo powiązana z poglądami politycznymi i postawami na osi prawo-lewo.

Trudno rozpatrywać wyniki tego sondażu w oderwaniu od innych badań – chodzi mi o sondaż Pew Research Center z ubiegłego roku, z którego wynika, że spośród europejskich krajów to w Polsce można obserwować największy odpływ ludzi z Kościoła. Głównie młodych.

– Te badania pokazują, że w Polsce młodzi ludzie laicyzują się najszybciej. Rozdźwięk pomiędzy ich dziadkami i rodzicami a nimi – w kwestii stosunku do Kościoła – jest największy na świecie. Jednym słowem, mamy największą różnicę międzypokoleniową, jeśli chodzi o postawy dotyczące Kościoła. Zobaczyliśmy to wyraźnie na ulicach w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy po raz pierwszy z taką ostrością i tak bardzo wprost młodzi zaczęli mówić: to Kościół jest odpowiedzialny za próby zakazywania aborcji, za ograniczanie dostępu do edukacji seksualnej, antykoncepcji itd. Wcześniej podkreślał to ruch feministyczny, na manifach 10 lat temu niosłyśmy hasła: „Biskup nie jest bogiem", „Chcemy medycyny, nie ideologii", „Przetnijmy pępowinę między państwem a Kościołem". Mówiło się o tym, że Kościół w Polsce jest hamulcowym zmiany obyczajowej, siłą represyjną, zwłaszcza wobec kobiet, ale takie poglądy były uważane za skrajnie radykalne, a teraz jest to pogląd mainstreamowy. I to jest ta ogromna zmiana.

Młodzi widzą, że w Polsce Kościół inwestuje przede wszystkim w budowanie relacji z państwem, angażuje się w bieżącą, partyjną politykę.

Do tej pory to mu się opłacało.

– I wciąż mu się opłaca w tym sensie, że Kościół ma dostęp do ogromnych zasobów finansowych państwa oraz decydujący głos i wpływ na procesy polityczne. Jednak nie opłaci mu się w dłuższej perspektywie, bo zupełnie sobie odpuścił rozmowę z wiernymi. Uwierzył, że można sprawować władzę w sferze etycznej i moralnej za pomocą narzędzi politycznych. Kompletnie oderwał się od doświadczeń, problemów i sposobu myślenia młodych ludzi – uznał, że można narzucić katolickie nauczanie społeczne za pomocą kodeksu karnego, przymusu, zamiast przekonywać, rozmawiać, włączać do dialogu.

Młodzi sprzeciwiają się represyjności, brutalności Kościoła jako instytucji, bo nie widzą w nim ani autorytetu, ani przestrzeni do dialogu. Dokonuje się przewartościowanie międzypokoleniowe – w starszym pokoleniu między lewicą a prawicą istniał rodzaj zgody, że Kościół jest instytucją stabilizującą społecznie i w takim kraju jak Polska, przechodzącym tak duże zmiany, potrzebną. Młode pokolenie mówi stanowcze „nie" takiej wizji. Mówi: Kościół, który zbankrutował moralnie, chociażby w kwestii pedofilii, nie powinien mieć władzy politycznej.

Dało temu wyraz, pisząc na murach kościołów hasła Strajku Kobiet. Wyraz – właśnie, czego? Wkurzenia, frustracji, potrzeby zmiany?

– To jest wyraz odrzucenia autorytetu Kościoła. Max Weber pisał o różnych rodzajach władzy wynikającej z autorytetu, czyli zalegitymizowanej przez rządzonych. Do niedawna Kościół cieszył się w Polsce autorytetem wynikającym z kultury i tradycji, z postrzegania go jako moralnego kompasu, z zakorzenienia w codziennej religijności – ale młodzi ludzie odrzucają władzę hierarchów. Mówią: ten cesarz jest nagi. Instytucja, która jest niemoralna, nie kieruje się głoszonymi przez siebie wartościami, nie powinna mieć władzy w żadnym społeczeństwie.

> Rośnie poparcie i prawicy, i lewicy. Lewicy więcej, ale prawicy też urosło.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Jest takie nagranie spod kościoła w Szczecinku, które świetnie pokazuje tę zmianę. Dziewczyny w wieku 16 czy 17 lat protestują pod kościołem. Wychodzi do nich ksiądz, może proboszcz, który spodziewa się, że sama jego obecność spowoduje, że one się zawstydzą i odejdą. Uciekną, przerażone autorytetem Kościoła reprezentowanego przez księdza.

Co robią te dziewczyny?

– Odmawiają. Zaczynają na niego krzyczeć, mówią: wracaj do swojego kościoła. A kiedy on wyciąga palec i zaczyna nim wygrażać, zaczynają krzyczeć: wyp…! To symboliczne, to gest wypowiedzenia posłuszeństwa.

Kobiety przestały się bać? Wstydzić? Bo właśnie wstyd wydaje mi się tu kluczowy – latami nam go wmawiano, socjalizowano do bycia grzecznymi, potulnymi, uśmiechniętymi. Zawstydzonymi właśnie.

– Kościół bardzo chętnie operuje wstydem, dlatego też tak skupia się na seksualności, zwłaszcza kobiet. To jest taka sfera, w której łatwo nas zawstydzić. Sfera, która dotyka naszej intymności i w której bardzo się obawiamy oceny innych. To młode pokolenie stanowczo się odcina od tego sposobu myślenia.

Problem z władzą polega na tym, że instytucje działają wtedy, kiedy my, w dużej mierze dobrowolnie, uznajemy ich władzę za istniejącą i ważną. W systemie demokratycznym obywatele i obywatelki mogą wycofać swoje poparcie dla władzy, dla instytucji albo w wyborach, albo na ulicy. To właśnie obserwujemy w Polsce – moment wycofania poparcia, zgody na władzę, do sprawowania której roszczą sobie prawo księża. To pokazują i protesty, i sondaże.

Od wyborów parlamentarnych i prezydenckich dużo się wydarzyło. Nie mamy edukacji seksualnej, nie mamy prawa do aborcji, dostęp do antykoncepcji jest na najniższym poziomie w Europie. Na to nakłada się brutalność policji, szczucie na osoby LGBT, kuriozalne wypowiedzi ministra edukacji.

– To wszystko ma ogromne znaczenie, ale chodzi też o alienację klasy politycznej od nas wszystkich, a szczególnie od problemów, które są ważne dla młodych ludzi. Oni zwracają uwagę na kwestie klimatu – przecież nie bez powodu mamy w Polsce Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, a nie Strajk Klimatyczny Osób w Średnim Wieku – co władza zupełnie ignoruje. Politycy zajmują się ograniczaniem praw, a w ogóle nie zajmują się sprawami, które dla młodych są priorytetowe.

Czyli jakimi?

– Wbrew często powtarzanej tezie o roszczeniowości młodego pokolenia ci młodzi chcą rzeczy podstawowych: sensownej pracy, dostępnego mieszkania, czystego powietrza. Tymczasem w parlamencie ważne dla nich kwestie są marginalizowane, a zamiast tego zawraca się Wisłę kijem.

Czyli?

– Narzuca się, z ogromną brutalnością, zasady, które młodym ludziom są kompletnie obce. Oni wyraźnie dostrzegają, że ich przyszłość jest determinowana przez polityków, którzy mają kompletnie inne priorytety, nie reprezentują ich w żadnym stopniu, nie zajmują się sprawami dla nich ważnymi.

Przez dziadersów.

– Tak mówi ulica. To, co się na niej dzieje, i wyniki tego sondażu pokazują, jak wielka jest frustracja młodych związana z tym, że starsze pokolenie kradnie im przyszłość.

Ale przecież obóz władzy bardzo się stara ich sformatować. Widać to od kilku lat, a teraz niezwykle ostro w resorcie edukacji kierowanym przez Przemysława Czarnka. Wydaje się jednak, że to przynosi odwrotny skutek.

– I tak, i nie. Zgodnie z tymi badaniami CBOS zmniejsza się wśród młodych osób grupa tych, którzy uważają się za centrowych i nie mają wyraźnych poglądów, ale rośnie poparcie i prawicy, i lewicy. Lewicy więcej, ale prawicy też urosło, co pokazuje tendencję do polaryzacji. Martyrologiczna wizja przeszłości, powrotu do tradycyjnych wartości, do świata, w którym mężczyźni będą mogli odzyskać władzę i pozycję w społeczeństwie, dla niektórych młodych osób – częściej młodych mężczyzn – jest bardzo atrakcyjna.

Co w tej wizji pociąga dziewczyny?

– Kilka rzeczy. Po pierwsze, to formatowanie rzeczywiście się odbywa. Jeśli w wieku 12-13 lat zobaczy się film „Niemy krzyk", bardzo łatwo uznać, że aborcja jest najgorszą rzeczą na świecie. Część młodych kobiet, szczególnie z rodzin bardziej tradycyjnych, łatwo wchodzi w tę opowieść, tym bardziej że to pasuje do tradycyjnej wizji kobiety, która ma uratować świat przed złem. Dzięki np. macierzyństwu.

To trochę mało.

– Niekoniecznie. Po drugie, mamy do czynienia ze zjawiskiem, które nazywa się zmęczeniem emancypacją.

Co to znaczy?

– Faktem jest, że osiągnęłyśmy dużo, ale dla młodych kobiet, które wchodzą na rynek pracy, a do tego mają zdecydować, czy wchodzić w związki, czy mieć dziecko, czy nie, to wcale nie jest łatwy świat. Przeciwnie, to świat, w którym trzeba podejmować dużo trudnych decyzji bez gwarancji, że przyniosą one oczekiwane skutki. Dla części młodych kobiet łatwiejsze, także w sensie psychologicznym, jest uznanie, że eksperyment z równością płci i feminizmem to ślepa uliczka, a jeśli wrócimy do tradycyjnych ról płciowych, będzie nam po prostu lepiej. Są kobiety, którym łatwiej przyjąć narrację, że przemoc domowa jest winą kobiet, bo nie były wystarczająco uległe, niż walczyć z przemocą. Konserwatyści przekonują, że jeśli mężczyzna będzie im zapewniał bezpieczeństwo, a one będą w domu rodzić dzieci, to przemoc w ogóle się nie zdarzy, że to skutek emancypacji, która niszczy prawdziwą miłość i harmonię.

Z grubsza o tym jest „Opowieść podręcznej". O ciotkach, które mają pilnować, by kobiety nie ośmielały się myśleć samodzielnie.

– Tak, ale książka Margaret Atwood nie wnika w przyczyny, dla których dla części kobiet jest to atrakcyjna alternatywa. Szczególnie dla tych, które nie mają wykształcenia, wsparcia otoczenia w próbach realizowania swoich zamierzeń zawodowych. Dla nich wizja męża czy partnera mającego władzę, ale też odpowiedzialnego za rodzinę, jest często atrakcyjna.

Od dłuższego czasu, szczególnie wśród młodych kobiet, dominują poglądy liberalne obyczajowo, prosocjalne, egalitarne.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Nie bez powodu mamy w Polsce Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, a nie Strajk Klimatyczny Osób w Średnim Wieku.

Do tego dochodzi fakt, że prawica jest coraz sprytniejsza.

W czym przejawia się ten spryt?

– W budowaniu narracji, że lewica jest antywolnościowa. Czyli lansuje cenzurę, poprawność polityczną i chce sprowadzić nam tu uchodźców, a więc pozbawić kobiety praw, bo wtedy będą musiały chodzić w burkach. Z jednej strony, mamy wizję tradycyjnej rodziny, w której mąż ma sprawować władzę, a żona będzie zaopiekowana i szczęśliwa, a z drugiej, straszenie islamem i muzułmanami, którzy przyjdą i odbiorą kobietom możliwość chodzenia w minispódniczkach. To skuteczne zachęty dla części kobiet do owej konserwatywnej wizji świata, także na Zachodzie.

Próbowano to robić w Polsce, ale tutaj żyje ok. 50 tys. muzułmanów. W takim kraju to słaby argument.

– Wciąż może być skuteczny jako sposób demonizowania lewicy i feministek oraz jako narzędzie do dezinformacji i budowania strachu. Skuteczny do sprzedawania wizji świata, o której mówiłyśmy wcześniej.

Co z tymi kobietami, dla których ta konserwatywna wizja nie jest atrakcyjna? Dla tych z sondażu, które deklarują poglądy lewicowe – co one widzą dla siebie w lewicowej wizji świata?

– To, że są podmiotem politycznym, a nie przedmiotem rozgrywek między rządem a Kościołem. Popatrzmy na hasła protestów: „Myślę, czuję, decyduję". I „Podmiot nie zgadza się z orzeczeniem". Te hasła podkreślały właśnie podmiotowość: domagam się być traktowana jak człowiek, który ma swoje potrzeby, poglądy, przekonania i prawa. Chcę być traktowana całościowo, a nie tylko przez pryzmat mojej płci. Jestem człowiekiem, a nie inkubatorem.

To bardzo wybrzmiało w kuriozalnym uzasadnieniu wyroku TK, opublikowanym pod koniec stycznia. Wprost stwierdza się, że dobro „dziecka", bo używa się tam nomenklatury *anti-choice*, jest ponad dobrem kobiety w ciąży.

– Nawet więcej. Tam pojawia się konflikt pomiędzy życiem płodu a „komfortem kobiety". Czyli cierpienie i doświadczenia kobiet, które noszą uszkodzony lub śmiertelnie chory płód, są traktowane jako co najwyżej „zaburzenie komfortu". To jest prawdziwa twarz tej ultrakonserwatywnej prawicy, którą moim zdaniem młode kobiety doskonale widzą. Wiedzą, że bardzo łatwo sprowadzić ich podstawowe prawa, cierpienie, doświadczenia i przyszłość do czegoś, co jest mało istotne, bo przecież jeśli zestawimy życie z komfortem, to oczywiste, że ważniejsze jest życie.

W ubiegłym roku powstał dokument „W bólu będziesz rodziła dzieci" – o przemocy, której ofiarami są kobiety na porodówkach. Bohaterki mówiły o upokorzeniu, traumie, odarciu z godności. Dokładnie z tym mamy do czynienia w Polsce. Rodzić, nie gadać. A że w bólu? No trudno.

– Kiedy analizowałam powody, dla których w 2016 r. mieliśmy tak dużą mobilizację, okazało się, że często przywoływano przykład prof. Chazana. Popularne było hasło: „Unikaj ciąży, bo Chazan krąży". Przykład Chazana był ważny, bo pokazywał nie jakąś wyjątkową sytuację, ale praktykę, która jest nagminna w polskich szpitalach, co wynika jasno z raportów Fundacji Rodzić po Ludzku. Połowa rodzących doświadcza przekraczania ich granic, nierespektowania ich praw, a 17% – przemocy. Wyzwisk,

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Wykształcenie na poziomie co najmniej licencjata lub inżyniera ma co trzecia Polka i tylko co piąty Polak.

poszturchiwań, przywiązywania nóg do łóżka. To doświadczenie odczłowieczenia, okrucieństwa systemu jest specyficzne dla kobiet; doświadczenie porodu jest w Polsce międzygeneracyjną traumą przekazywaną z matki na córkę. Dlatego nieskuteczne były przekonywania Ordo Iuris o tym, że prawa kobiet będą respektowane, czy zapewnienia, że będą miały „pokój do wypłakania się" – bo to się zderza z kobiecym doświadczeniem. A to doświadczenie przemocy i lekceważenia.

To moment, kiedy kobiety mówią: wyp…? Dość kompromisów w każdej sferze? W 2016 r. to kobiety, wychodząc setkami tysięcy na ulice, postawiły tamę tej władzy. Teraz też to się dzieje?

– Pięć lat temu sytuacja była inna. Przez ten czas organizacje fundamentalistyczne stały się sprytniejsze – w 2016 r. chciały wprowadzić całkowity zakaz aborcji, uzasadniając to tym, że tego chcą ludzie. Zrobiły obywatelski projekt ustawy, zebrały podpisy, projekt trafił do Sejmu. Poszły demokratyczną drogą. Okazało się, że większość Polaków i Polek nie chce zaostrzania ustawy i z ogromną rezerwą odnosi się do pomysłu karania kobiet za aborcję. Nie dało się tego wprowadzić drogą demokratyczną, dlatego wybrana została inna. Teraz decyzję podjął niedemokratycznie wybrany Trybunał Konstytucyjny pod wpływem nacisków Kościoła i organizacji ultrakonserwatywnych, bez żadnych konsultacji, bez debaty w parlamencie, bez żadnej procedury, która mogłaby ją uzasadnić i zalegitymizować jako proces demokratyczny. Trudno za pomocą demokratycznych narzędzi reagować na łamanie demokracji w taki sposób. Dlatego zrobiono to tak, żeby uniknąć publicznej debaty i uniemożliwić interwencję.

Interwencja odbywa się na ulicach.

– I tylko tam. A w czasach pandemii i coraz większej brutalności policji coraz trudniej jest protestować. Nie ma właściwie żadnych innych dróg, dlatego pojawiają się propozycje, by jednak robić to w sposób demokratyczny. Stąd propozycja Strajku Kobiet i lewicowych posłanek, by stworzyć projekt ustawy, lub akcja Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, żeby odwoływać się do instytucji międzynarodowych. Chodzi o to, żeby wrócić na tory, gdzie możliwe są debata i wysłuchanie osób, których te decyzje dotyczą. Ale bardzo trudno to przełożyć na natychmiastową zmianę polityczną, bo możliwości negocjowania są na razie zamknięte.

Kolejne wybory parlamentarne w 2023 r. Głosować w nich będą dziewczyny, które dziś mają 16-17 lat. Te, które widzą i wiedzą, co się dzieje, które były na protestach, widziały swoje matki, siostry, nauczycielki domagające się pełni praw. Jest więc szansa na przełom przy urnach?

– Jest szansa na zmianę, ale przełom jest mało możliwy bez wsparcia starszego pokolenia, co wynika z demografii. Mamy w Polsce, o ile pamiętam, 1,5 mln młodych osób z grupy 18-24 lata, a 9 mln osób 65+, więc nawet gdyby wszyscy młodzi poszli głosować na lewicę, to i tak nie wystarczy, by lewica wygrała wybory.

Ale w tym starszym pokoleniu są kobiety, które miały aborcję w latach 70., kiedy obowiązywała w miarę przyzwoita ustawa aborcyjna. Dzisiaj to matki i babki, które są wściekłe, że ich córkom i wnuczkom zrabowano prawo do decydowania o sobie.

– Grupą, która od dłuższego czasu wspiera strajki kobiet, jest część kobiet 50+, niestety z badań wynika, że wśród najbardziej zaangażowanych wyborców Prawa i Sprawiedliwości dużą grupę stanowią właśnie starsze kobiety. Tutaj jest ogromna praca do wykonania, by tę przepaść między kobietami z różnych pokoleń przekroczyć. Problem polega na tym, że mobilizacja różnych grup społecznych odbywa się za pomocą różnych narzędzi. O ile dla młodych ludzi bezkompromisowość, radykalizm i odrzucenie okrutnych, podłych autorytetów, które roszczą sobie prawo do decydowania o ich życiu, są jednoczące i mobilizujące, o tyle w przypadku starszego pokolenia to coś, co często je odpycha. Szczególnie ta radykalna krytyka Kościoła, do którego duża część starszego pokolenia jest przywiązana.

> Młodzi ludzie nie widzą w Kościele ani autorytetu, ani przestrzeni do dialogu.

Rady dla lewicy?

– Ogromnym wyzwaniem będzie dotarcie do przynajmniej części kobiet dojrzałych i starszych z przekazem, który mówi o solidarności, empatii, wspieraniu kobiecych decyzji i budowaniu międzypokoleniowych mostów. Obecna władza żywi się polaryzacją. By dokonać trwałej zmiany, potrzebujemy porozumienia i solidarności. To dotyczy także mężczyzn – są kluczowym wsparciem dla kobiet, widać ich zaangażowanie na ulicach. Musimy się zastanowić, gdzie w feminizmie jest miejsce dla mężczyzn. Bo celem jest budowa świata, w którym jest miejsce dla wszystkich.

Anna Stachowiak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Linie podziału

W chwili gdy to piszę, zespół do spraw aborcji powołany przez Koalicję Obywatelską nie przedstawił jeszcze wspólnego stanowiska tego ugrupowania. Ścierają się tam trzy postawy: referendum w sprawie legalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży, powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego z 1993 r. oraz – mające ponoć największe poparcie – pójście za wzorem niemieckim. A wzór ten zakłada zakaz aborcji, jednak z dwoma wyjątkami: gdy ciąża zagraża zdrowiu/życiu kobiety lub gdy jest wynikiem przestępstwa, przy czym aborcja do 12. tygodnia jest i tak możliwa, o ile poprzedziły ją konsultacje medyczne i psychologiczne.

Praktyka niemiecka jest obarczona wadą dwulicowości. Gdyby jednak takie okazało się stanowisko Koalicji Obywatelskiej, byłby to krok naprzód – spóźniony, lecz lepiej późno niż wcale. Alternatywą jest przecież piekło kobiet, piekło kalekich dzieci, praktyczny koniec badań prenatalnych (bo czemu miałyby teraz służyć?), uniemożliwienie leczenia dziecka jeszcze w łonie matki (bo jak to robić bez badań prenatalnych?), a wreszcie drastyczny spadek liczby ciąż (bo po co ryzykować?) i masowe emigracje (bo tu nie da się żyć). Już teraz mamy w Polsce ujemny przyrost naturalny.

Programy innych partii wyglądają bardziej klarownie niż nawet ten – hipotetyczny – program KO. Hipotetyczny – bo już teraz krakowski poseł Platformy Ireneusz Raś ostrzega: „Jeżeli moja partia powiedziałaby, że aborcja na życzenie jest OK, to mnie w tej partii nie będzie". Tak oto, mimo tylu starań, Platforma jest wciąż „trochę w ciąży". Tymczasem najszybciej określił się Szymon Hołownia, optujący za (skądinąd wyklinanym przez Kościół) referendum. Natomiast powrotu do „kompromisu aborcyjnego" chce PSL – proponuje nawet wpisanie go do konstytucji. A przecież nie ma dziś w Polsce problemu o większej społecznej nośności niż stosunek do legalności aborcji. Te nowe linie podziału wymagają – od wszystkich – nowego samookreślenia. Oraz jasnej odpowiedzi: jestem przeciw czy może jednak za PiS?

Tylko stanowisko ugrupowań lewicowych jest dziś przejrzyste do bólu i ucieleśnia ideę państwa dla wszystkich. „Dość pseudokompromisów! – krzyczą działacze lewicy. – Skrajności to zakaz aborcji i nakaz aborcji!". Lewica nie podnosi nawet sprawy referendum – i słusznie, nie ma powodu wprowadzać do naszej demokracji, wystarczająco już rozchwianej, elementów demokracji bezpośredniej. To parlamentarzyści mają stanowić prawo i nie powinni ze swej roli abdykować. Zresztą łatwo sobie wyobrazić pytania referendalne typu: „Czy jesteś za zabijaniem człowieka?". Przypuszczam, że takie referendum nawet Kościół by poparł.

Na razie wszakże nie ma szans na referendum, tak jak nie ma szans na zmianę czegokolwiek. Ale jedno można zrobić: nadać słowom właściwy sens. Już przed laty Kinga Dunin pisała, że na widok spadającego z dębu żołędzia będziemy kiedyś wołać: „O, dąb poczęty!". Dziś prof. Jan Widacki upomina się w PRZEGLĄDZIE o zastąpienie terminów dziecko poczęte czy dziecko nienarodzone terminem płód. W rzeczywistości jednak nie tylko słów, ale i całych zwrotów przejętych zwykle wprost z mowy kościelnej jest u nas tak dużo, że czas wydać im walkę. Należą do nich określenia typu „aborcja na życzenie" czy „aborcja jest OK", którymi tak łatwo szermuje się na prawicy. To prawda, że w ten prowokacyjny sposób określają czasem kobiety własną postawę, jednak ciąża jest dla nich zawsze doświadczeniem i przeżyciem, a jej przerwanie nigdy nie jest OK – nawet wtedy, gdy potem odczuwa się ulgę. Terminem do zakwestionowania jest także samo słowo aborcja. W czasach mojej młodości nie było znane – mówiło się: przerwanie ciąży, a lekarze używali (używają?) pojęcia terminacja ciąży. Termin aborcja jest wygodny, bo krótki, lecz zarazem – jako słowo obce – jakoś groźny, trochę tak jak słowo gender. Oczywiście aborcja już się zadomowiła w polszczyźnie, lecz to jeszcze nie powód, by terminu tego używać bezrefleksyjnie. W czasach gdy PiS mówi o „repolonizacji mediów", pozwalam sobie apelować o repolonizację polszczyzny.

Piszę to wszystko – chcę to wyraźnie podkreślić – nie PRZECIW katolicyzmowi, lecz JAKO katolik. Oczywiście wiem, że za takie poglądy arcybiskupi Gądecki i Jędraszewski najchętniej by mnie wyrzucili z Kościoła, ale ja sam nie mam zamiaru się wyrzucić, nawet mogę poddać się klątwie, świadom i tego, że „nie ma zbawienia poza Kościołem". W moim sumieniu jestem jednak spokojny: przecież między mną a nauczaniem Kościoła nie ma różnic. Dla mnie przerwanie ciąży też jest zabiciem człowieka – nie dlatego, bym chciał nazywać człowiekiem zygotę, lecz dlatego, że to od zygoty rozpoczyna się cykl biologiczny, na końcu którego znajduje się urodzony człowiek. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy do katolickiej aksjologii przyłożymy system prawny świeckiego państwa. Bowiem – ile razy trzeba to powtarzać – nie ma w Polsce NAKAZU aborcji. Katolik stający przed moralnym dylematem niech rozstrzyga go we własnym sumieniu, ale niech nie sięga po to, co Sobór Watykański II wykluczył – po *brachium saeculare* (ramię władzy świeckiej). Katolicy – jeżeli swą wiarę traktują poważnie – powinni kroczyć w jednym szeregu ze Strajkiem Kobiet. Powinni to robić w imię miłości bliźniego.

Co powiedziawszy, mam tylko jedną prośbę do lewicy. Niech w waszym słusznym programie zawrze się obowiązek konsultacji medyczno-psychologicznej przed przerwaniem ciąży. Czyli niech będzie jak w Niemczech. Ale też inaczej niż w Niemczech, bo prostolinijnie. Niech będzie w Polsce inaczej niż w Niemczech, bo BEZ ZAKAZU ABORCJI.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Covid po polsku, czyli zbiór absurdów

W Warszawie w każdym tygodniu jakaś szkoła zmaga się z ogniskiem koronawirusa

Beata Igielska

18 stycznia najmłodsze dzieci oraz uczniowie szkół specjalnych, młodzieżowych ośrodków wychowawczych i socjoterapii wrócili do lekcji przy tablicy. Nauczyciele byli testowani, choć wielkiego sensu to nie miało, bo już 4 lutego w Warszawie ok. 50 szkół i przedszkoli przeszło na zajęcia online. Żeby testowanie miało sens, musiałoby się odbywać co najmniej raz w tygodniu.

Przemysław Czarnek, minister edukacji i nauki, wcześniej ogłaszał triumfalnie naukę w „bańkach", czyli na terenie szkoły jedna klasa – jeden nauczyciel. To nierealne, bo dzieci mają także język angielski czy religię, a ci nauczyciele prowadzą lekcje w różnych klasach. Najmłodsi uczniowie są też na zajęciach świetlicowych. Tam kontaktują się z kolejnymi nauczycielami i dziećmi z wielu klas.

Minister jakby zapomniał, że od czasu do czasu trzeba również myć ręce w toalecie i zwyczajnie wyjść na korytarz, by się przebiec, a w stołówce zjeść obiad bez maseczki. Poza tym do wiejskich szkół dzieci dojeżdżają kilkoma autobusami, gdzie są kompletnie wymieszane, a potem nagle są wrzucane w sztuczne bańki. Wychodzą ze szkoły i wracają do domu autobusami. Jest zatem w idei baniek „głęboki sens i logika". Jak w wielu innych działaniach.

W szkole mojego syna niemal wszystkie nauczycielki nauczania początkowego są chore na covid. Dyrektorka godzinami wisi na telefonie, żeby się dodzwonić do sanepidu. Ponieważ wirus zbiera obfite żniwo, próbowała załatwić zawieszenie pracy szkoły na tydzień. Tylko tak można by szybko wygasić ognisko. Niestety, sanepid nie wydał zgody choćby na edukację hybrydową, a burmistrzowi nie starczyło pary, żeby decyzję o zamknięciu podjąć. Jak szkoła funkcjonuje? Kolejne klasy siedzą na kwarantannie. Ponieważ panie chore, dyrektorka ściągnęła do pracy nawet nauczycieli WF. Ale ci nie czują się kompetentni, by prowadzić lekcje online. Dzieci mają więc tylko angielski, religię i informatykę, bo nauczyciele tych przedmiotów jeszcze nie zachorowali.

Teraz kolejny absurd: dzieci z klasy syna miały kontakt ze swoją panią w piątek, data nie jest istotna, przez cały weekend, poniedziałek i do połowy wtorku chodziły normalnie po ulicach. Bywały w sklepie, na sankach, kontaktowały się z mnóstwem osób. Test wychowawczyni okazał się pozytywny w poniedziałek wieczorem, więc we wtorek po południu sanepid zorientował się, że trzeba nałożyć na klasę kwarantannę. Ale to nie koniec osobliwości sytemu zabezpieczeń. Kwarantannę odbywa jedynie dziecko z klasy, której wychowawczyni zachorowała. Jeśli w domu jest rodzeństwo, normalnie chodzi do szkoły. Również my, rodzice, normalnie możemy się przemieszczać. A przecież skoro ono może być zakażone, choć nie ma objawów, to chyba i ja mogę być nosicielem wirusa. Czy rodzice i rodzeństwo nie powinni też być objęci kwarantanną?

Dzieci niekoniecznie zarażają się w szkołach. Wracają do domu, gdzie pracujący rodzic może je zarazić. I na odwrót. Zakażenia będą, klucz to częste testy, faktyczny dystans i maseczki. Szybkie wyłapywanie zakażonych, jedna klasa na kwarantannę i testy po tygodniu, a reszta szkoły uczy się, o ile to możliwe, w „bańkach". Wówczas być może uda nam się „oswoić" pandemię. Szkoła będzie pracować, zamkniemy ją na krótko w razie potrzeby. Pracujemy w możliwie małych grupach. I co najważniejsze, testujemy całą sieć potencjalnych kontaktów zakażonego. W Polsce takie testowanie jest marzeniem, ale np. w Danii to codzienność.

Bo to, że dzieci muszą chodzić do szkoły, jest oczywiste. Siedzenie godzinami przed komputerem, w odcięciu od kontaktów społecznych, nikomu, również dorosłym, nie robi dobrze. Tylko może by tak uszczelnić system kwarantanny? Może dać dyrektorom wolną rękę – jeśli widzą, że jest w szkole kryzys, niech ją zamkną szybko na krótko, by potem móc spokojnie pracować. Niech mogą sami podjąć decyzję o nauce hybrydowej.

Obecnie ponad 265 tys. nauczycieli, m.in. przedszkoli i klas I-III, na ok. 400 tys. uprawnionych, chce się zaszczepić szczepionką AstryZeneki. Szczepienia obejmą też kilkudziesięciotysięczną grupę opiekunów w żłobkach. Pozostaje mieć nadzieję, że akcja ta usprawni pracę szkół.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Znikające apteki

Kto zyska, a kto straci na wojnie aptekarzy

Barbara Jagas

– Po 20 latach prowadzenia biznesu, okupionego ciężką pracą, ale i sukcesami, dostałem decyzję o jego zamknięciu – mówi Jerzy Tyś, przedsiębiorca z Częstochowy, właściciel sieci 15 aptek. Jest jednym z wielu, którym dziś odbierane są uprawnienia do prowadzenia tego typu placówek.

Według ustaleń polskiej firmy analitycznej PEX PharmaSequence od czerwca 2017 r., czyli od wejścia w życie nowelizacji ustawy Prawo farmaceutyczne, zwanej popularnie Apteką dla aptekarza, obserwuje się nieprzerwany spadek liczby aptek. Do końca 2020 r. zniknęły 1373, czynne pozostają 12 202. A kiedy przychodzi się do jednej z nich, często okazuje się, że naszego leku nie ma, trzeba go dopiero zamówić. Jakie jest tło tych problemów?

Już teraz stoimy w kolejkach do aptek. Co będzie, gdy ich liczba jeszcze się zmniejszy?

Zielona i inne kolory

Pierwszą aptekę Jerzy Tyś założył ze wspólniczką w 2000 r., a ponieważ wszystko dobrze szło, szybko otworzyli drugą, potem trzecią… z czego wkrótce zrobiło się 15. Apteki Kolorowe to szyld dobrze znany mieszkańcom Częstochowy. – A zaczęło się od zielonych drzwi, które miała nasza pierwsza placówka, co klientom się spodobało i nazwali ją zieloną. Stąd pomysł, aby kolejne miały w nazwie także kolor, ale inny – mówi inż. Tyś, który jest dumny ze swojego biznesu. W Częstochowie skutecznie konkurował z dużo większymi sieciami, których właściciele mają po 100 i więcej aptek w całej Polsce. – Może dzięki temu, że znałem się na tym biznesie, pracowałem zgodnie z przepisami, co dawało poczucie bezpieczeństwa, a dzięki współpracy z wieloma hurtowniami mogłem mieć niskie ceny leków – dodaje Jerzy Tyś. Każdą zarobioną złotówkę inwestował w swoje apteki, wprowadzając różne innowacje, np. u niego klienci są obsługiwani na siedząco, dzięki czemu mogą dłużej porozmawiać z farmaceutą, poprosić o poradę. Z sukcesów wymienia wychowanie 80 farmaceutów, których nauczył zawodu, bo to u niego byli na stażach. – Tak, aż tylu... Przyjeżdżali z całej Polski, a przecież mogli się uczyć gdzie indziej – chwali się. Jedną z takich osób jest córka Tysia, magister farmacji, która została kierownikiem apteki, a potem ojciec chciał przekazać jej rodzinny biznes. I od tego właśnie zaczęły się kłopoty. Pewnego dnia przedsiębiorca otrzymał pismo z wojewódzkiego inspektoratu farmaceutycznego, w którym poinformowano go, że jego apteki mają być zamknięte. – To był dla mnie szok. Nie tego się spodziewałem po 20 latach harówki oraz inwestowania w biznes, który dynamicznie się rozwijał.

Przerażony wycofał się z tej decyzji, ale było za późno. Inspektorat farmaceutyczny uznał, że przedsiębiorca nie jest farmaceutą i nie może już kierować aptekami, bo na moment wyszedł z firmy i wrócił jako ktoś, kto w myśl obecnych przepisów nie ma uprawnień do jej prowadzenia. Sprawa obecnie jest w sądzie.

Nierentowne czy likwidowane?

To tylko jeden przykład tego, z czym mierzą się właściciele aptek, którzy z różnych powodów muszą zamykać biznesy. Rynek apteczny skurczył się do poziomu z 2011 r., i to w czasie pandemii oraz w sytuacji, gdy zgodnie z zapowiedziami Ministerstwa Zdrowia od 1 lipca aptekarze będą świadczyli tzw. opiekę farmaceutyczną. Farmaceuci mają zyskać dostęp do dokumentacji medycznej pacjentów, dzięki czemu będą wiedzieli, jakie leki przyjmuje pacjent, co np. ułatwi wykluczenie interakcji między nimi. Poza tym będą mogli udzielać pacjentom porad w zakresie właściwego stosowania leków.

Problemy zaczęły się wraz z nowelizacją Prawa farmaceutycznego. Nowa ustawa – czego jej twórcy nie kryją – ma bowiem na celu ograniczenie liczby aptek, gdyż według opinii Naczelnej Rady Aptekarskiej mamy ich za dużo. Ustawa z 2017 r. mówi, że aptekę może założyć wyłącznie farmaceuta lub spółka farmaceutów. Tyle że nakazanie zamknięcia biznesu komuś, kto nie jest farmaceutą, a zaczął prowadzić aptekę wiele lat temu, jest łamaniem zasady, że prawo nie działa wstecz. Część aptek zamykana jest ze względu na przekształcenia spółki, np. polegające na tym, że zmieniło się wspólnika. Inspektorat farmaceutyczny może też odebrać koncesję właścicielowi firmy, gdy okaże się, że jest on monopolistą, czyli ma ponad 1% udziału w rynku aptecznym w danym województwie.

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Jednak w Polsce chyba nie można mówić o monopolu sieci aptecznych, który państwo musiałoby zwalczać. Działa u nas 340 sieci i są to głównie małe i średnie polskie firmy rodzinne, mające po kilkanaście czy kilkadziesiąt aptek. Nieprawdą jest też, że sieci aptek w większości są finansowane przez zagraniczny kapitał i najnowsze przepisy miałyby służyć ich repolonizacji. W posiadaniu podmiotów krajowych jest ponad 93% ogólnej liczby aptek.

Od grudnia ub.r., kiedy uchwalono ustawę o zawodzie farmaceuty, możliwości zamknięcia apteki jeszcze się zwiększyły, dzięki przyznaniu Naczelnej Radzie Aptekarskiej prawa do opiniowania kierowników aptek, czyli faktycznie zatwierdzania tych funkcji. – To niesłychane! – oburza się poseł Jakub Kulesza, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Praw Konsumentów i Przedsiębiorców, do którego spływają skargi od przedsiębiorców. – Czy samorząd lekarski decyduje np. o obsadzie stanowiska ordynatora na oddziale szpitalnym? Nie, on jedynie decyduje, czy ktoś powinien być lekarzem, i do tego powinny się ograniczać uprawnienia samorządu aptekarskiego. Nie może on decydować, kto ma prowadzić aptekę, a kto nie.

Znikaniu aptek sprzyjają też przepisy dekoncentracyjne, zgodnie z którymi w gminie może przypadać na jedną aptekę 3 tys. mieszkańców, a odległość między sąsiadującymi placówkami powinna wynosić co najmniej 500 m, jeśli w gminie jest więcej niż 3 tys. mieszkańców na aptekę, lub 1000 m, jeśli przypada mniej.

Poseł Jakub Kulesza twierdzi, że tego typu praktyki dekoncentracyjne mogą szczególnie źle się odbić na dostępie do usług aptecznych w małych miejscowościach. Wystarczy, że dwie apteki znajdują się na obu brzegach rzeki i odległość między nimi jest mniejsza niż w przepisach, a już jedna z nich wypada z gry.

Od czerwca 2017 r. do końca 2020 r. ubyły 1373 apteki. Rynek apteczny skurczył się do poziomu z 2011 r.

Rzecznik prasowy Naczelnej Rady Aptekarskiej Tomasz Leleno tłumaczy, że kryterium dekoncentracyjne nie obowiązuje, jeśli nowa apteka powstanie w odległości kilometra od obecnie istniejącej: – Ten zapis powinien rozwiać wszelkie wątpliwości co do powstawania nowych aptek wszędzie tam, gdzie nie są spełnione kryteria geograficzno-demograficzne, w szczególności na terenach wiejskich i w małych miejscowościach.

Według NRA apteki znikają, ale z uzasadnionych powodów. Jednym z nich jest nierentowność, spowodowana sukcesywnym spadkiem marży aptecznej na leki refundowane – utracona kwota marży za lata 2012-2018 to 2,3 mld zł. Jak wyjaśniają analitycy, obniżka dopuszczalnej marży przyczyniła się również do tego, że aptekarze nie chcą mieć leków na stanie. Dlatego tak często potrzebnych specyfików nie można kupić od ręki.

Inne powody zamykania aptek to utrata zezwolenia, a także pandemia, co dotknęło szczególnie apteki przy szpitalach i przychodniach, do których przychodzi mniej pacjentów. Tomasz Leleno twierdzi zresztą, że obecnie jest mniej zamknięć niż przed wprowadzeniem nowego prawa – przed rokiem 2017 znikało ok. 1000 placówek rocznie, a obecnie niespełna 400. Największy zaś spadek miał miejsce w latach 2018-2019 w związku z wprowadzeniem e-recepty i aktualizacji rejestru aptek. – W ubiegłym roku był on znacznie mniejszy – mówi rzecznik.

Obecne przepisy krytykuje Irena Rej, prezes zarządu Izby Gospodarczej Farmacja Polska, zrzeszającej producentów, dystrybutorów i importerów produktów leczniczych. Jej zdaniem prawo farmaceutyczne wymaga zmian, ale nie takich. A likwidację aptek, która jest sterowana przez państwo, uważa za błąd. – Tego typu kwestie powinien regulować wolny rynek, a nie jakiś pan urzędnik – podkreśla. Ale też wskazuje zjawisko znikających aptek, których nie zamyka żadne prawo, po prostu nie mogą się utrzymać: – Dzisiejszy rynek apteczny nie jest łatwy. Bo kto w takiej sytuacji przetrwa? Tylko ten, kto grzecznie odkłada marżę, by potem zapłacić hurtownikom i producentom leków.

Z kolei Naczelna Rada Aptekarska twierdzi, że przyjęcie regulacji Apteka dla aptekarza to krok w kierunku rozwiązań z krajów europejskich, gdzie 70% aptek funkcjonuje na podobnych zasadach. Tak jest w Niemczech, Francji, Austrii, Hiszpanii, Danii, Finlandii i Belgii. – Co więcej, europejskie dane wskazują, że niemal wszyscy mieszkańcy Europy są w stanie dotrzeć do apteki w ciągu 30 minut, a ponad połowa w ciągu pięciu minut. Te dane obrazują również sytuację w naszym kraju, gdzie w jednej okolicy sąsiaduje ze sobą kilka aptek, nierzadko na tej samej ulicy – mówi Tomasz Leleno. Wszystko jest w porządku, uspokaja NRA, według statystyk w Polsce na aptekę przypada 2,8 tys. osób, podczas gdy średnia w UE wynosi 4,6 tys.

To hurtownie farmaceutyczne będą beneficjentami zmian w prawie.

Poseł Jakub Kulesza twierdzi, że na zmniejszaniu liczby aptek skorzystają wyłącznie hurtownicy. – Dekoncentracja rynku aptecznego spowoduje, że nie będzie na nim sieci aptek, a tylko pojedyncze placówki, które nie przetrwają, bo dziś prowadzenie jednej apteki się nie opłaca. Zaczną je przejmować hurtownie farmaceutyczne, pozostawiając ich właścicielom rolę kierownika apteki, który wydaje leki. To hurtownie będą beneficjentami zmian w prawie, a nie aptekarze. Mało tego, leki będą droższe. Bo niższe ceny mogą zagwarantować jedynie sieci aptek, a to dzięki większym zakupom i niższym kosztom

W dniu 11 lutego 2021 r.
po długiej i ciężkiej chorobie
w wieku 90 lat
zmarł
Ryszard Paciorkowski
długoletni pracownik
polskiej dyplomacji

o czym zawiadamia córka Janina

eprasa.pl 3efdd1c9f9

prowadzenia takich przedsiębiorstw. Mniejsze apteki mają trudniej, potykają się choćby o podwyżki opłat, które serwują im właściciele nieruchomości, od których wynajmują lokale.

– Chciałbym doprowadzić do tego, aby celem ustawodawstwa nie było zmniejszanie liczby aptek, bo o tym powinni decydować nie urzędnicy państwowi, ale klienci w ramach mechanizmów rynkowych. Będę zmierzał również do ograniczenia kompetencji samorządu aptekarskiego oraz inspekcji farmaceutycznej, które zostały tak rozbuchane – mówi Kulesza. Na razie, po odwołaniu głównego inspektora farmaceutycznego, wysyła dezyderat do ministra zdrowia, aby kolejny główny inspektor nie był farmaceutą. – Niech państwo zajmie się łataniem dziur w budżecie, apteki zaś zostawi wolnemu rynkowi. Przecież nikt nie ogranicza liczby sklepów czy banków, chociaż jest ich tak dużo – dopowiada Irena Rej. – Nikomu nie służy zjawisko znikających aptek.

Drugie dno

Kto ma rację – twórcy nowego prawa czy jego przeciwnicy? NRA czy poseł Kulesza? O co w tym wszystkim chodzi? Bo fakty są oczywiste – aptek ubywa. Odpowiedź jest prosta: jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Biznes apteczny opanowały bowiem dwie grupy właścicieli placówek, wzajemnie się zwalczające: farmaceuci i przedsiębiorcy. Jednych popierają NRA, inspektorat farmaceutyczny i Związek Aptekarzy Pracodawców Polskich Aptek, forsujący ustawę Apteka dla aptekarza, a drugich – PharmaNET Związek Aptekarzy Pracodawców Aptecznych. Sami właściciele aptek jasno mówią, że ich środowisko się podzieliło. – Moja sprawa jest typowym przypadkiem wojny konkurencyjnej – podkreśla Jerzy Tyś z Częstochowy.

Z kolei pani Danuta, właścicielka apteki przy Gagarina w Warszawie, farmaceutka i kontynuatorka tradycji rodzinnych w tym zawodzie, twierdzi, że sieci aptek są konkurencją nie do pokonania i tylko nowe prawo może spowodować, że takie firmy jak jej nie upadną. Pani Danuta mówi, że czasem nie bierze pensji, by związać koniec z końcem, ponieważ koszty utrzymania apteki są tak duże. – A ja chciałabym zachować płynność finansową. Nie mówię o zyskach – wzdycha. Uważa, że apteką kierować powinien farmaceuta, ponieważ tylko on może prowadzić taką placówkę z poczuciem misji, a nie dla pieniędzy i szybkich zysków, co ma miejsce w przypadku sieci, które funkcjonują przecież jak sklepy.

Racje są więc podzielone, wojna wśród aptekarzy trwa. A prawda, jak zwykle, leży pośrodku. Bo nie każdy przedsiębiorca myśli wyłącznie o forsie i nie każda farmaceutka tak kocha swój zawód, że chce prowadzić placówkę, która jest na granicy wydolności finansowej.

Barbara Jagas
b.jagas@tygodnikprzeglad.pl

BĄDŹ OCZYTANY
RABATY –20%
Przeżyj pandemię mądrze i czytaj książki PRZEGLĄDU

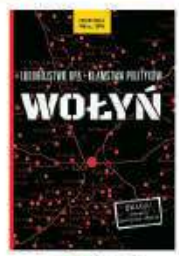

~~44 zł~~ 35 zł

~~49 zł~~ 39 zł

~~67 zł~~ 53 zł

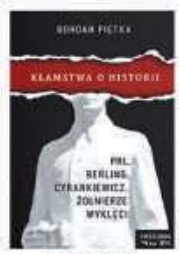

~~45 zł~~ 36 zł

2 książki ~~89 zł~~ 75 zł

~~45 zł~~ 39 zł

~~44 zł~~ 38 zł

5 książek ~~210 zł~~ 159 zł

~~41 zł~~ 32 zł

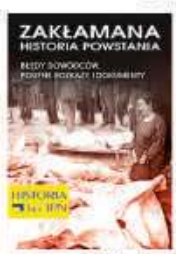

~~42 zł~~ 33 zł

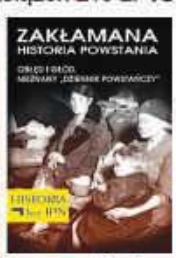

~~40 zł~~ 31 zł

~~44 zł~~ 35 zł

~~43 zł~~ 34 zł

Przegląd

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł. Promocja ważna do 28.02.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Na pochylniach hula wiatr

Rządowy program odbudowy przemysłu stoczniowego tonie w mule

Marek Czarkowski

To miał być jeden z fundamentów „dobrej zmiany". Opoka, na której mieliśmy budować przyszłość Wielkiej Polski! Symboliczne powstanie z kolan! Na haśle odbudowy rodzimego przemysłu stoczniowego Prawo i Sprawiedliwość oparło kampanie wyborcze w latach 2015 i 2019 nie tylko w Trójmieście, Koszalinie, Szczecinie i Świnoujściu. Na wiecach Jarosław Kaczyński osobiście zapewniał, że opuszczone doki znów będą tętnić życiem, a z odnowionych i znacjonalizowanych przez rząd PiS pochylni znów spłyną statki, by na morzach i oceanach świata sławić imię polskiego stoczniowca.

Basowali mu lokalni bonzowie partii rządzącej oraz liderzy Solidarności. Chcieli dobrze, a wyszło jak zwykle.

Pogłębiać dno i trzymać się koryta

Premier Mateusz Morawiecki od początku urzędowania miał wizje. Obiecał uruchomienie nad Wisłą produkcji miliona samochodów elektrycznych. Program Luxtorpeda 2.0 miał wynieść na wyższy poziom krajową produkcję lokomotyw i wagonów. W ramach programu Mieszkanie+ miało powstać 100 tys. nowych mieszkań. A branża stoczniowa miała rozkwitnąć dzięki programowi Nowoczesne Produkty Przemysłu Okrętowego, o którym już zapomnieli najstarsi eksperci rodzimego shipbuildingu.

W teorii chodziło o zapewnienie ram prawnych, organizacyjnych i finansowych niezbędnych do aktywizacji państwowych stoczni, a także o wsparcie ośrodków naukowo-badawczych opracowujących innowacyjne typy statków.

Na początek, w roku 2016, ruszyć miał projekt Batory, którego autorstwo przypisano ówczesnemu wiceministrowi gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Pawłowi Brzezickiemu. Podobno swoje olśnienia zmieścił na kartce formatu A4. Słusznie wyliczył,

FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

eprasa.pl 3efdd1c9f9

że w najbliższych latach kraj będzie potrzebował ok. 40 kutrów rybackich i 10 promów pasażerskich, jak również dziewięciu okrętów wojennych, w tym trzy łodzie podwodne, plus jednostki pomocnicze, takie jak holowniki i lodołamacze.

Pieniądze nie miały być problemem, choć w grę wchodziły miliardy złotych. Odradzający się przemysł stoczniowy miał się stać potężnym kołem zamachowym gospodarek Trójmiasta, Elbląga, Szczecina i Świnoujścia. Było więc po co się schylić.

W branży stoczniowej pojawiła się informacja, że tort został podzielony. Miała powstać „spółdzielnia", w skład której weszły: Stocznia Remontowa Nauta SA, Szczeciński Park Przemysłowy przedstawiany jako „kontynuator przemysłu stoczniowego w Szczecinie", Morska Stocznia Remontowa Gryfia SA oraz Gdańska Stocznia Remontowa im. Józefa Piłsudskiego SA. Dowodem na istnienie owej „spółdzielni" miał być list intencyjny w sprawie budowy promów pasażersko-samochodowych podpisany 9 czerwca 2016 r.

Trzy pierwsze podmioty były państwowe, lecz ich sytuacja ekonomiczna, delikatnie mówiąc, była skomplikowana. Jedynie prywatna Gdańska Stocznia Remontowa miała doświadczenie w remontach i przebudowie promów.

Od dawna wiedziano, że nowe jednostki będą bardzo potrzebne Polferries, czyli Polskiej Żegludze Bałtyckiej, oraz Unity Line wchodzącej w skład grupy Polska Żegluga Morska. Ich promy mają dziś od 24 do 43 lat. Poza tym kraje skandynawskie zapowiedziały, że wprowadzą surowe normy dotyczące ochrony środowiska, co wymusi na armatorach wymianę floty na promy napędzane ciekłym gazem ziemnym LNG lub korzystające z napędów dualnych (dwupaliwowych).

W roku 2017 minister Marek Gróbarczyk uważał, że mamy na to 10-15 lat. Z czego trzy zostały już zmarnowane. Jedynym zaś efektem projektu Batory jest osławiona stępka pod prom dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej rdzewiejąca na pochylni w szczecińskiej Morskiej Stoczni Remontowej Gryfia, odkąd 23 czerwca 2017 r. uroczyście położył ją ówczesny wicepremier, minister rozwoju i finansów Mateusz Morawiecki w towarzystwie lokalnych bonzów.

Gdy projekt Batory i program Nowoczesne Produkty Przemysłu Okrętowego utknęły na mieliźnie, politycy PiS przypomnieli sobie stary program Wisła – pogłębiać dno i trzymać się koryta!

Męczeństwo Pawła Brzezickiego

Pierwszą ofiarą ambitnych planów restytucji państwowego shipbuildingu przez rząd Zjednoczonej Prawicy padł wiceminister Brzezicki. Gdy pod koniec 2016 r. zorientował się, jaka jest rzeczywistość, zaczął ostrożnie zgłaszać wątpliwości i dostał kopa w bok.

W kwietniu 2017 r. zrobiono go zarządcą komisarycznym Polskiej Żeglugi Morskiej oraz prezesem zarządu spółki Fundusz Rozwoju Spółek SA, która była właścicielem Morskiej Stoczni Remontowej Gryfia oraz Stoczni Szczecińskiej. Miał pokazać, co potrafi, i ściągnąć z mielizny program budowy promów. Wytrzymał niecałe trzy lata.

We wrześniu 2019 r., w szczycie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu, na łamach przeznaczonego do użytku wewnętrznego w Grupie PŻM „Biuletynu Informacyjnego Polskiej Żeglugi Morskiej Bryza" Paweł Brzezicki nie zostawił suchej nitki na realizacji tego projektu. Pisał, że kierowany przez niego Fundusz Rozwoju Spółek ma jedynie 200 mln zł, a to za mało, by sfinansować budowę jednostki o rozmiarach lotniskowca z czasów II wojny światowej. Że władze odmawiają PŻM prawa decydowania o tym, w której stoczni i na jakich warunkach powinien być budowany prom. A co gorsza, w warszawskich instytucjach, mających decydujący głos w tej materii, pracują 30-latkowie kompletnie bez pojęcia o budowie statków.

Brzezicki ostrzegał, że brak nowoczesnych jednostek doprowadzi do utraty rynku na rzecz obcych armatorów, co zaowocuje podniesieniem stawek frachtowych oraz przeniesieniem korytarza transportowego do Skandynawii z polskich portów do niemieckich. Zarządca komisaryczny PŻM sugerował, że należy przyjąć ofertę chińskich stoczni i zacząć budowę promów w tym kraju. Zwłaszcza że Chińczycy oferują dogodne warunki finansowe.

W tym miejscu należy wyjaśnić, że państwowe stocznie dawno już utraciły zdolność budowy dużych jednostek. Głównie ze względu na utratę zaufania sektora bankowego. Poza tym Polska Żegluga Morska od lat zamawia statki w Chinach. Gdy w roku 2015 ten armator zwrócił się do polskich stoczni z pytaniem, czy podjęłyby się budowy nowych jednostek, żadna nie wyraziła zainteresowania.

Paweł Brzezicki dobrze wiedział, co robi. I zapewne nie miał złudzeń, jak skończy. 13 grudnia 2019 r. utracił stanowisko zarządcy komisarycznego PŻM. A potem pogonili go z Funduszu Rozwoju Spółek.

Restrukturyzacja, czyli odcięcie się od długów

Odbudowa przez rząd Zjednoczonej Prawicy dołujących państwowych stoczni musi kosztować. Budżet państwa nie jest z gumy, dlatego cennym uzupełnieniem stali się prywatni kooperanci. Dobrym przykładem jest Stocznia Remontowa Nauta należąca w ponad 95% do państwowego Funduszu Inwestycyjnego MARS FIZ, którego większościowym uczestnikiem jest Polska Grupa Zbrojeniowa SA.

Stocznia, której specjalnością były remonty statków, zaczęła tonąć, gdy ktoś wpadł na genialny pomysł, by zajęła się ich budową. Tak w roku 2013 powstał, likwidowany obecnie, Zakład Nowych Budów Stoczni Remontowej Nauta w Gdańsku. Początki były zachęcające. W wywiadach członkowie zarządu i dyrektorzy zapewniali, że na lata 2017-2018 mają pełny portfel zamówień i negocjują kolejne kontrakty. A potem zaczęły się problemy. Przykładem może być budowa statku naukowo-badawczego

Stocznia Nauta, której specjalnością były remonty statków, zaczęła tonąć, gdy ktoś wpadł na genialny pomysł, by zajęła się ich budową.

28 lipca 2017 r. w Stoczni Remontowej Nauta zwodowano trawler Ocean Star B-698 na zamówienie szkockiego armatora Mewstead.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

„Oceanograf” dla Uniwersytetu Gdańskiego. Jednostkę zwodowano w roku 2016. Jej matką chrzestną była Barbara Szczurek, żona prezydenta Gdyni. Co prawda, jednostka została odebrana przez uniwersytet, ale ten nie zgodził się zapłacić, gdyż stwierdził wiele usterek, które wymagały naprawy. W 2017 r. strony obrzucały się pretensjami, a długi rosły. Ostatecznie Nauta straciła na tym kontrakcie ponad 16 mln zł.

Jeszcze gorzej poszło z należącą do Grupy Lotos platformą wydobywczą Petrobaltic. Stocznia straciła kontrakt na jej przebudowę, a platforma w atmosferze skandalu została odholowana do konkurencyjnej prywatnej stoczni Remontowa Shipbuilding SA w Gdańsku.

Porażkę poniosła też Nauta w wartym ponad 283 mln zł przetargu na budowę sześciu holowników dla Marynarki Wojennej. Tę umowę również podpisano z Remontową Shipbuilding.

Od roku 2015 prezesi Nauty zmieniali się jak w kalejdoskopie. Za to firma wypracowała własny *modus operandi* w relacjach z prywatnymi podwykonawcami. Rzecz wyszła na jaw w maju ub.r., gdy nie dało się już dłużej ukrywać żałosnych wyników finansowych Nauty. 15 kwietnia 2020 r. sąd ogłosił otwarcie postępowania restrukturyzacyjnego, które uniemożliwiło prywatnym podwykonawcom windykację jakichkolwiek zobowiązań. Po czym nastąpił etap ustalania sumy wierzytelności. Można było usłyszeć, że długi przekroczyły 700 mln zł. 10 lipca 2020 r. Stocznia Remontowa Nauta przedstawiła propozycje układu. Podwykonawcy mieliby się zgodzić na 65-procentową redukcję wierzytelności oraz spłatę pozostałej części w okresie 15 lat. Wytłumaczono im, że „restrukturyzacja to jest odcięcie się od długów” – rzecz jasna w majestacie prawa! A jest od czego się „odcinać”. Oficjalnie zadłużenie wymagalne stoczni to dziś 320 mln zł.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że najwięcej zobowiązań Nauta miała wobec podmiotów państwowych. Jeśli więc zapadnie polityczna decyzja o zawarciu układu, „prywaciarze” zostaną elegancko oczyszczeni z pieniędzy.

Zbierając dokumentację do tego tekstu, korzystałem m.in. ze stenogramów posiedzeń sejmowej Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, której przewodniczy dziś były minister rolnictwa z PSL Marek Sawicki. Na 18 posłów nie więcej niż pięciu rozumie, co się dzieje. I fakt ten nie napawa optymizmem.

Ale co można powiedzieć, czytając informację o tym, jak „ratowano” państwową Stocznię Marynarki Wojennej w Gdyni będącą od 2011 r. w upadłości likwidacyjnej? W maju 2017 r. za kwotę prawie 225 mln zł zakupiła ją spółka PGZ Stocznia Wojenna z Radomia. Z kapitałem założycielskim 5 tys. zł! Wygląda na to, że odbudową państwowego przemysłu stoczniowego zajął się gang Olsena, który wpadł w szał.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Kaczyński-Gowin: imperium kontratakuje

Robert Walenciak

Nowa odsłona wojny Jarosław Kaczyński kontra Jarosław Gowin wiele nam mówi i o prawicy, i o Kaczyńskim, no i o tym, jak wyglądać będzie w najbliższym czasie polska polityka.

Kolejny etap tej wojny wywołał Adam Bielan, który ogłosił, że Gowin nie jest już przewodniczącym Porozumienia Jarosława Gowina (tak się nazywa ta niewielka partia), bo skończyła się jego kadencja, w związku z tym władzę obejmuje przewodniczący konwencji krajowej, czyli Bielan. To oczywiście spotkało się z kontrą Gowina i jego ludzi, którzy zawiesili buntownika i jego zwolenników. Darujmy sobie opis kolejnych przepychanek. Faktem jest, że Porozumienie się podzieliło, za Gowinem opowiedziało się 12 posłów, za Bielanem – czterech.

Jasne, że Bielan nie rozpocząłby walki o Porozumienie bez poparcia Jarosława Kaczyńskiego. Pytanie tylko, dlaczego dostał to poparcie. Według wersji rozpowszechnianej w mediach nastąpiło to, ponieważ Bielan przekonał szefa PiS, że Gowin potajemnie spotyka się z Donaldem Tuskiem. O tych spotkaniach napisał też portal braci Karnowskich wPolityce. I na prawicy było to szeroko komentowane.

Gowin tym spotkaniom zaprzeczał. „Kiedy czyta się kolejne absurdalne kłamstwa o moich rzekomych spotkaniach z D. Tuskiem, można by dojść do wniosku, że celem portalu http://wpolityce.pl jest na zlecenie opozycji jak najszybciej zakończyć rządy Zjednoczonej Prawicy. Spokojnie – prawnicy już pracują nad pozwem", napisał na Twitterze.

Na prawicy oskarżenie o konszachty z Tuskiem to jak zdrada stanu. Tylko kto te oskarżenia rozpowszechnia? Czy Adam Bielan? I dzięki temu udało mu się zdobyć poparcie Jarosława Kaczyńskiego? A może sprawa jest bardziej skomplikowana i plotki o spotkaniach Gowin-Tusk są propagandową przykrywką większej operacji marginalizowania wicepremiera?

Miniony rok funkcjonowania Zjednoczonej Prawicy pokazał bowiem, że jest ona formacją mało sterowną. I jeżeli Kaczyński chce sprawować nad nią kontrolę, musi mieć realny wpływ na zachowania Porozumienia i Solidarnej Polski. Innymi słowy, musi spacyfikować i Gowina, i Ziobrę.

Wiosną 2020 r. Jarosław Gowin narzucał ton, dzisiaj musi się bronić.

W tym świetle akcja Bielana nie jest jakąś przypadkową awanturą, tylko elementem większej rozgrywki wymierzonej w Gowina. Może o tym świadczyć zachowanie TVP Jacka Kurskiego. Z dnia na dzień przestano tam zapraszać polityków popierających Gowina, a plac dostali ludzie Bielana.

W tej sytuacji Gowin dysponuje jedną bronią – listą 12 posłów, którzy go popierają. Ciekawe jednak, jak długo będzie na niej tyle nazwisk. To ważne – Zjednoczona Prawica dysponuje w Sejmie niewielką większością, ma 235 „szabel". Kilkunastoosobowa grupa Gowina przesądza więc, kto ma większość. Przynajmniej w teorii. Wydaje się bowiem, że w zasięgu PiS są niektórzy posłowie Konfederacji i Kukiza. A jeżeli tak, to 13 gowinowców nie stanowi już dla PiS być albo nie być. Ale, jak można wnioskować z wypowiedzi polityków prawicy, to wariant na przyszłość. Na dziś mamy próbę sił Kaczyński-Gowin.

Wygląda ona tak, że prezes PiS, za pośrednictwem Bielana, proponuje Gowinowi nowe rozdanie. To znaczy sytuację, w której w posiedzeniu rady Zjednoczonej Prawicy uczestniczyć będą w imieniu Porozumienia Gowin i Bielan. To metoda na obniżenie znaczenia Gowina i podtrzymywanie konfliktu wewnątrz Porozumienia, na wyciąganie ludzi. Gowin nie godzi się na to, w jego interesie jest jak najszybsze zakończenie sporu. Dlatego napisał do Kaczyńskiego list, w którym przypomina mu rok 2007, kiedy to walcząc z Lepperem i Giertychem, rozbił koalicję i stracił władzę. Deklaruje też, że jest za utrzymaniem Zjednoczonej Prawicy. I ostrzega, że akcja Bielana jedności nie służy. Jest więc zdecydowanie przeciwny jego uczestnictwu w obradach Zjednoczonej Prawicy. Chce dla niego losu Jadwigi Emilewicz – żeby przepadł w czeluściach pisowsko-rządowych.

Tego się domaga i na razie (piszę te słowa w piątek, 12 lutego) odpowiedzią jest milczenie. Gowin jest w zdecydowanie gorszej sytuacji niż wiosną 2020 r., kiedy sprzeciwiał się majowemu terminowi wyborów prezydenckich. Wtedy to on narzucał ton. Dziś – musi się bronić. Gowinowcy już mówią, których ustaw nie poprą.

Aż 12 posłów popierających Gowina mogło być zaskoczeniem dla Kaczyńskiego. Pewnie spodziewał się, że będzie ich mniej. Nie pomagają mu także sondaże, które nie są złe dla PiS, ale wyraźnie pokazują pogarszające się nastroje.

Siłowanie się zatem nie ustaje. Wojna Kaczyński-Gowin jest zapowiedzią tego, czego możemy się spodziewać w najbliższych miesiącach. Kolejnych wojen politycznych, tym razem wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Kaczyński-Gowin, Kaczyński-Ziobro… To będzie tak trwać.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Nieodparty urok MSZ

Ustawa o dyplomatach. Wiadomo, będą PiS-owscy. Ale kto będzie nimi zarządzał?

Robert Walenciak

Nieuchronne się zbliża. Ustawa o służbie zagranicznej wraca z Senatu do Sejmu. I gdy Sejm ją przegłosuje, trafi na biurko prezydenta. Nie, nie ma sensu rozdzierać szat, że oto PiS dostanie narzędzie, by przejąć MSZ, i że na pewno je wykorzysta. Z prostego powodu – PiS rządzi MSZ już ponad pięć lat i robi tam, co chce, bynajmniej nie przejmując się takimi lub innymi zapisami. Szacunek dla prawa to nie jest coś, co tę formację by wyróżniało.

Nowa ustawa w dziele przejmowania MSZ jest w zasadzie sprawą drugorzędną. Nie było jej, PiS-owcy robili swoje. Będzie – zyskają pole do działania szybciej i bez skrupułów. O co więc w tym wszystkim chodzi?

•

Dodajmy, że to już trzecie podejście PiS do przyjęcia ustawy o MSZ. Wnioski nasuwają się same – służba zagraniczna kusi polityków PiS. W mitologii tej partii jest ona czymś obcym i tajemniczym. Służbą, w której pracują wrogowie – „resortowe dzieci" i nie tylko dzieci, absolwenci moskiewskiej uczelni MGIMO, a potem – równie wrodzy i tajemniczy – ludzie z notesu Bronisława Geremka. Przeplatało się tam całe zło – i to z PRL, i to z Unii Wolności. Wejście polityka PiS do MSZ było postrzegane jako wejście do gniazda żmij. Sam byłem mimowolnym świadkiem rozmowy posłów PiS z ich kolegą, świeżym wiceministrem w MSZ. „Jak ci się pracuje z tymi ludźmi? Jak dajesz radę?", podpytywali go z mieszaniną zgrozy i podziwu. A on z tajemniczą miną odpowiadał: „Nie było łatwo. Ale jakoś w to wchodzę…". Gdyby to nie było prawdziwe, byłoby jak z kabaretu.

W historii rządów PiS było kilka przymiarek do opanowania i przebudowy MSZ. Pierwszą był pomysł Witolda Waszczykowskiego, by do MSZ weszli ludzie z zewnątrz, najchętniej z tytułami profesorów, którzy byliby początkiem nowej dyplomatycznej elity. Było to powtórzenie manewru z czasów Krzysztofa Skubiszewskiego, kiedy to również ministerstwo zostało otwarte na ludzi z uniwersytetów.

Pomysł Waszczykowskiego upadł wraz z nim. Jego następca, Jacek Czaputowicz, miał inną koncepcję – że MSZ, takimi siłami, jakimi dysponuje, będzie realizowało politykę PiS. W praktyce nie realizowało żadnej polityki, za to stało się polem bitwy różnych koterii. O tych bitwach i szalejącej prywacie opowiadali w poprzednich numerach PRZEGLĄDU byli ambasadorowie – Jacek Izydorczyk i Jarosław Suchoples. Z ich opowieści mogliśmy się dowiedzieć, jak koteria dyrektora generalnego Andrzeja Papierza przejęła kontrolę nad polityką kadrową. Naszą wiedzę uzupełniły też rozmowy z posłami z sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i z centrali ministerstwa.

Otóż Andrzej Papierz, który kilka lat wcześniej był szefem Biura Kadr MSZ, przekonał decydentów w PiS, że on najlepiej orientuje się w kadrowych sprawach ministerstwa i najskuteczniej przeprowadzi zmiany. Jako były działacz NZS i Ligi Republikańskiej (tej od rzucania kamieniami w demonstrację pierwszomajową), oficer UOP oraz kolega Mariusza Kamińskiego miał odpowiednie papiery. Przynajmniej dla polityków PiS.

Na pewno w ich oczach wzmocniła go operacja wyrzucenia z MSZ ludzi wiązanych ze służbami specjalnymi PRL oraz tych, którzy studiowali w MGIMO. Kolejnym wzmocnieniem jego pozycji jest idąca za nim legenda, że reprezentuje służby specjalne, czyli więcej może. Z oczywistych przyczyn nie jesteśmy w stanie tej legendy zweryfikować, ograniczymy się więc do stwierdzenia, że istnieje i wpływa na postawy wielu ludzi.

Ale Papierz potrafił się dogadać także z politykami PO. Doszły do nas niepotwierdzone informacje, że spotykał się z posłami opozycji w Komisji Spraw Zagranicznych. Miał ich przekonywać, że skończył się czas wysyłania za granicę amatorów, a on przypilnuje, by wysyłani byli zawodowcy.

I faktycznie, jako kandydaci na ambasadorów zaczęli być wysuwani ludzie, którzy pracowali w MSZ przynajmniej kilka lat. Zawodowcy? Niekoniecznie, bo jeżeli przyjrzymy się ich życiorysom, tym oficjalnie podanym, okaże się, że ich doświadczenie dyplomatyczne jest więcej niż skromne. Praca w konsulacie, praca w kadrach, praca w Gabinecie Dyrektora Generalnego, praca w Inspektoracie Służby

Kontrolę nad polityką kadrową MSZ przejęła koteria dyrektora generalnego Andrzeja Papierza.

Andrzej Papierz przekonał decydentów w PiS, że najlepiej orientuje się w kadrowych sprawach MSZ i najskuteczniej przeprowadzi zmiany.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Zagranicznej… Ogólnie – w pionie podległym dyrektorowi generalnemu, czyli w obsłudze. W normalnych czasach ludzie o tak niewielkich kompetencjach nie byliby brani pod uwagę jako kandydaci na szefów placówek. A tu – wielka kariera.

Są tylko dwa możliwe wytłumaczenia. Pierwsze, że Papierz w ten sposób buduje sobie w MSZ koterię i korzystając z „bezkrólewia", załatwia kumplom dobre stołki. Ostatni mocny szef MSZ, Witold Waszczykowski, nazwał go zresztą Rasputinem. Co prawda, nie mówiąc, o kogo chodzi, ale przecież każdy wie. Druga teoria zakłada, że stoją za nim służby i że to ludzie stamtąd zapełniają wysokie stanowiska. Jeżeli tak, to fatalnie, bo dyplomacja i służby specjalne to są zupełnie inne dziedziny.

•

Gdy omawiamy stan MSZ, koniecznie trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedną patologiczną przypadłość. Mówiono o niej w Sejmie: „Obecna struktura (MSZ) jest niefunkcjonalna, jest patologiczna. Kilka przykładów, żeby państwu uzmysłowić, jak wygląda w tej chwili podział etatów, podział departamentów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Departament Ameryki, obsługujący przecież znaczną część terytorialną świata, liczy ok. 20 pracowników, Departament Azji i Pacyfiku – także 20, Departament Wschodni liczy w tej chwili 30 etatów. Tymczasem Biuro Administracji liczy 180 etatów, kilkakrotnie więcej niż te departamenty, które przed chwilą wymieniałem, które zajmują się merytoryczną pracą dyplomatyczną. To nie koniec, Inspektorat Służby Zagranicznej liczy także 180 etatów, a biuro informatyki liczy 100 etatów. Teraz uzmysłówmy sobie, jak bardzo biurokratyczną i zajmującą się samą sobą instytucją stało się w ostatnich latach Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

(…) W tej chwili procent osób pracujących merytorycznie, zajmujących się zadaniami dyplomatycznymi jest niepokojąco mały. Wszystkie te departamenty, o których mówiłem, są mniejsze niż jeden departament zajmujący się administracją. Coś jest nie tak, ten system wymaga zmian".

Nie jest to wystąpienie polityka opozycji. Tak w kwietniu 2017 r. mówił, prezentując projekt ustawy o służbie zagranicznej (który ostatecznie poległ w parlamentarnych bojach), ówczesny sekretarz stanu w MSZ Jan Dziedziczak.

Od tego wystąpienia mijają prawie cztery lata i nadal departamenty merytoryczne są niewielkie, za to puchną komórki zajmujące się (w teorii) obsługą dyplomatów, ich kontrolowaniem, zarządzaniem.

Dziedziczak w tymże wystąpieniu odgrażał się, że nowa władza wprowadzi szkolenia dyplomatów, że otworzy szeroko nabór do Akademii Dyplomatycznej itd. Nic z tych rzeczy nie nastąpiło.

Obecna ustawa, którą położyło na stół PiS, idzie zaś dokładnie w przeciwnym kierunku. Jej charakterystyczną cechą jest to, że po prostu likwiduje dotychczasowe bariery, które miały chronić służbę dyplomatyczną przed rozmaitymi spadochroniarzami, znajomymi, ludźmi nie wiadomo skąd.

Demontuje również wewnętrzne procedury dotyczące obsadzania stanowisk, awansów, wysyłania na placówki. Wzmacnia za to pozycję… szefa MSZ-etowskiego personelu. Nawet dla laika widoczne jest, kto tę ustawę pisał, komu ma ułatwić życie.

•

Co więc konkretnie zmienia? Skupmy się na najważniejszych rzeczach. Ustawa szeroko otwiera dostęp do MSZ. Nie oznacza to jednak, że obecnie ministerstwo jest zamknięte. Owszem, w teorii dostęp do niego jest utrudniony. Teoretycznie można się tu dostać jedynie poprzez Akademię Dyplomatyczną. Trzeba do niej aplikować, ukończyć ją, zdając na koniec egzaminy dyplomatyczno-konsularne. Taka jest droga teoretyczna. W praktyce jest oczywiście inaczej. Przykładem niech będzie niedawny awans na stanowisko wicedyrektora Biura Kadr warszawskiej radnej PiS Moniki Sobczak.

MSZ funkcjonuje i funkcjonowało od lat w sposób dwojaki. Dla jednych było niezdobytą twierdzą i zawsze znajdowały się jakieś przepisy, które uniemożliwiały im zatrudnienie. Dla drugich stało otworem. Po co więc PiS ogłasza, że teraz MSZ zostanie szeroko otwarte? Łatwo to zrozumieć, politycy będą mogli mówić: Otworzyliśmy MSZ! To już nie jest kasta!

Ale w realu tak nie będzie. Jeżeli bowiem nie zostaną rozkręcone czystki kadrowe, to nagle nie wzrośnie liczba nowych etatów. Limit przyjęć do ministerstwa będzie podobny. Ale zmieni się jedno – dotychczasowe ograniczenia formalne znikną. A poza tym osobą, która będzie decydowała, kogo do MSZ przyjąć, będzie szef służby zagranicznej. W myśl ustawy będzie on mógł zatrudnić każdego z pominięciem konkursu i aplikacji. Nie mówiąc już o egzaminie dyplomatyczno-konsularnym.

Szef służby zagranicznej to nowe stanowisko, które ustawa powołuje do życia. Dzieli ona władzę nad MSZ; *de facto* ministerstwem rządził będzie triumwirat: minister spraw zagranicznych, dyrektor generalny i szef służby zagranicznej. W tym systemie minister zostanie zmarginalizowany. Będzie prowadził politykę zagraniczną i w zasadzie nic poza tym. I nie za bardzo będzie miał wpływ na to, kim ją będzie realizował – bo cały *staff* ułoży mu szef służby zagranicznej. Nawet jeśli zechce zmienić np. pracownika swojego gabinetu, będzie musiał z szefem służby zagranicznej to uzgadniać.

Papierz to były działacz NZS i Ligi Republikańskiej (tej od rzucania kamieniami w demonstrację pierwszomajową), oficer UOP oraz kolega Mariusza Kamińskiego.

Byłoby fatalnie, gdyby ludzie ze służb specjalnych zajmowali wysokie stanowiska. Bo dyplomacja i służby to zupełnie inne dziedziny.

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 3efdd1c9f9

A to tylko niewielki zakres władzy, jaką ów szef służby zagranicznej dostanie. Otóż będzie ogłaszał nabór do Akademii Dyplomatycznej i wyznaczał limity tego naboru, będzie zatrudniał, zwalniał, awansował, wysyłał za granicę. Ustawa daje mu też prawo przymusowego kierowania pracowników służby zagranicznej na wskazaną placówkę. Pracownik raz będzie mógł odmówić, a za drugą odmową będzie musiał się liczyć z sankcją finansową, z obniżeniem uposażenia o 20%.

Jedynym pozytywem tej sytuacji jest fakt, że minister będzie mógł odwołać szefa służby zagranicznej, kiedy zechce, bo ustawa nic nie mówi o jego kadencyjności. Ale to jedyne narzędzie – w zasadzie broń atomowa – którym będzie dysponować, by wywrzeć wpływ na dobór współpracującej z nim ekipy. Poza tym uzależniony będzie od kadr, które podsunie mu szef służby zagranicznej.

•

Ustawa zmienia także pozycję ambasadora. Zacznijmy od tego, że jeśli chodzi o nominacje ambasadorów, to minister będzie musiał je uzgadniać w specjalnym konwencie, w którym będą też przedstawiciele prezydenta i premiera oraz szef służby zagranicznej. Rola ministra w tym procesie wyraźnie zmaleje.

Do tej pory stanowisko ambasadora było najwyższym w dyplomacji, zwieńczeniem kariery. Tymczasem nowe rozwiązania zakładają, że ambasadorowie to stanowiska *stricte* polityczne, natomiast reszta korpusu dyplomatycznego ma być „apolityczna".

Jak to rozumieć? Owszem, zdarzają się szefowie placówek z politycznego nadania, spoza ministerstwa. Ale zdecydowana ich większość to ludzie z MSZ. Jaka jest więc intencja twórców ustawy? Oni już powiedzieli, że stopień ambasadora nie będzie dla dyplomatów z MSZ, bo oni są urzędnikami, ambasador zaś to persona polityczna. Ale cóż to znaczy? Że ambasadorami będą mogły być tylko osoby spoza ministerstwa? Czyli skąd? Czy też na czas ambasadorowania urzędnicy MSZ będą z korpusu dyplomatycznego występować?

Warszawska radna PiS Monika Sobczak awansowała na stanowisko wicedyrektora Biura Kadr.

Jest jeszcze jeden element wart zauważenia. Otóż ustawa wprowadza nowy rodzaj tajemnicy – tajemnicę dyplomatyczną. To kuriozalne, bo w służbie dyplomatycznej funkcjonują różne gryfy tajności: ściśle tajne, tajne, poufne, urzędnicy znakomicie w tym się orientują i nie ma potrzeby wprowadzania kolejnej bariery. Choć czytane jest to przez pracowników resortu w sposób absolutnie jednoznaczny – chodzi o to, by ich zakneblować, by już nic nie mogli mówić. By szefostwo MSZ mogło robić, co chce, pewne, że nic z tego nie wyjdzie poza mury ministerstwa.

•

Tak oto PiS prezentuje nam ustawę, która zmienia MSZ. Po pierwsze, bardzo mocno ogranicza pozycję ministra spraw zagranicznych. Można wręcz twierdzić, że degraduje go do roli reprezentacyjnej. Po drugie, rozbudowuje w sposób niebywały rolę szefa służby zagranicznej. Wszystko jest w tej ustawie napisane jakby po to, by temu szefowi było łatwo i wygodnie. To on odpowiada za kadry ministerstwa, przyjmuje, zwalnia i wysyła na placówki ludzi, jakich będzie chciał i gdzie będzie chciał. I za ile. Bo odpowiada i za nadawanie stopni dyplomatycznych, i za finanse. Nie odpowiada jedynie za merytoryczny kształt polityki zagranicznej, ale jeśli przeczytamy ustawę, zauważymy, że te sprawy w ogóle jej twórców nie interesują.

To wiele mówi. MSZ „poprawiane" było od zawsze. Co kilka lat kolejni ministrowie próbowali, za pomocą ustawy lub rozporządzeń, wzmacniać jego funkcjonalność. Na przykład Tadeusz Olechowski w roku 1988 wprowadził bardzo rygorystyczny system awansów na kolejne stanowiska (dyrektorem departamentu można było zostać po minimum ośmiu latach pracy w MSZ, znając co najmniej dwa języki obce), chroniąc kadrę przed spadochroniarzami z aparatu partyjnego. Inny przykład – Włodzimierz Cimoszewicz wprowadził zasadę, że każdy dyplomata wyjeżdżający na placówkę musi zdać egzamin ze znajomości języka obcego (niezależnie od posiadanych papierów). Za PO to zarzucono. Z kolei Radosław Sikorski (nie jest to przykład zasługujący na pochwałę) rozbudował gabinet ministra i inne komórki kosztem departamentów merytorycznych.

Minister zostanie zmarginalizowany, nie za bardzo będzie miał wpływ na to, kim będzie realizować politykę zagraniczną.

Teraz napisano ustawę, w której obiecano PiS łatwe wejście do MSZ, a władzę nad tym wejściem oddano w ręce szefa służby zagranicznej. I jeszcze wiele innej władzy. Takie dziś mamy zapotrzebowanie i takie horyzonty.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Z Galicji

Jan Widacki

Chyba jeszcze długo będziemy taplać się w bagnie

Gdyby Rafał Trzaskowski od razu po nieznacznie przegranych wyborach prezydenckich rozkręcił budowę nowego ruchu, dziś bylibyśmy w innym miejscu. Ale nie rozkręcił. Wedle wersji oficjalnej przeszkodziły mu w tym pęknięta rura warszawskiej oczyszczalni ścieków i trudny do opanowania wyciek fekaliów do Wisły. Nie bardzo pojmuję, co ma jedno do drugiego. Osobiście jako prezydent miasta tamował wyciek ścieków? Bał się, że PiS będzie huczało, że tu g… wycieka do Wisły, a prezydent Warszawy zamiast to g… łapać, jakiś ruch polityczny buduje? I tak PiS z podległymi mu mediami winą za wyciek obarczały Trzaskowskiego i straszyły go prokuratorem. Bał się, że będą jeszcze bardziej obarczały i jeszcze bardziej straszyły?

Problem w tym, że sam Trzaskowski nie bardzo, zdaje się, wiedział, co to ma być za ruch i jaka ma być jego relacja z Platformą. Platforma też nie wiedziała i dlatego na Trzaskowskiego i jego pomysł patrzyła nieufnie. Gdy wreszcie ten ruch wystartował (bo chyba wystartował), okazało się to wydarzeniem w społeczeństwie niezauważonym, a potencjalnych członków zgarnął już w większości Hołownia.

Teraz Platforma ogłosiła nowe otwarcie. Właściwie w jej imieniu ogłosili to Borys Budka i Rafał Trzaskowski. O nowym ruchu Trzaskowskiego już nie mówiono. Platforma zaproponowała wszystkim partiom opozycyjnym stworzenie wspólnego bloku anty-PiS. Gdyby to było przygotowane, poprzedzone rozmowami z potencjalnymi partnerami, miałoby jeszcze jakiś sens. Wspólny program całej opozycji (może poza Konfederacją) mógłby się ograniczyć do dwóch haseł: walki z pandemią i jej skutkami oraz odtworzeniem państwa prawa. Tyle, i aż tyle, mogłoby połączyć platformianych liberałów i lewaków z Razem. Z wszystkim, co jest pośrodku. Taki blok miałby szansę wygrać z PiS w wyborach (tym bardziej że system D'Hondta premiuje duże bloki).

Rzecz w tym, że Platforma jest arogancka i uważa, że nie musi z nikim niczego uzgadniać, bo przecież nadal jest najpoważniejszą siłą opozycyjną – więc nie uzgodniła. Z całego wielkiego programu pozostał tylko spór, czy Budka i Trzaskowski mieli prawo powiesić sobie w tle logo innych partii. Faktycznie istotny spór o imponderabilia. Platforma wciąż się łudzi, że wyłuska ze Zjednoczonej Prawicy kilku posłów i zdobędzie w Sejmie większość. Ale równocześnie w programie „nowego otwarcia" jest postulat odwołania nielojalnych wobec wyborców posłów w drodze referendum. Gdyby zatem wyłuskała i zrobiła Gowina marszałkiem Sejmu, musiałaby się bardzo śpieszyć z reformami, zanim w referendum nie odwołano by tych „wyłuskanych".

W tym wszystkim jest sporo marzycielstwa opozycji i indywidualnych ambicji liderów. Pomijając już to, że spór o aborcję dzieli członków i sympatyków Platformy i nie wiadomo, czym w tej partii się zakończy. Na razie Platforma w tej najgorętszej (obok pandemii) sprawie nie jest w stanie nic sensownego powiedzieć i na wszelki wypadek nic nie mówi. Obawiam się, że w kwestii aborcji znaczna część posłów Platformy podziela pogląd PiS i Kościoła.

Gdyby nawet opozycja, wszystko jedno, czy startująca razem, czy osobno, wygrała najbliższe wybory albo jeszcze przed nimi „wyłuskała" kilku posłów np. z Porozumienia Gowina, z nim samym na czele (przy czym to ostatnie jest skądinąd mało prawdopodobne), i przejęła władzę, musiałaby się liczyć z kilkoma faktami. Po pierwsze, miałaby przeciw sobie niemal połowę Polaków, którzy myślą tak jak PiS. Po drugie, zwycięstwo byłoby niewielkie, a przewaga liczebna posłów nowej koalicji rządzącej zbyt mała, nie tylko by zmienić konstytucję, ale nawet by odrzucić weto prezydenta, nie mówiąc już o postawieniu tegoż prezydenta, premiera albo ministrów przed Trybunałem Stanu.

Nawet gdyby PiS straciło władzę, Duda, Kaczyński, Morawiecki czy Ziobro mogą spać spokojnie. Gdyby więc dzisiejsza opozycja zdobyła władzę, czego jej życzę, jedyne, co w sprawie rozliczeń mogłaby zrobić, to ogłosić „grubą kreskę". Żadnych rozliczeń nie będzie!

Po przejęciu władzy opozycja mogłaby zaledwie spowolnić dalszą dewastację demokracji i państwa prawa, zacząć odbudowywać i poprawiać zrujnowane sądownictwo, przywracać społeczeństwu media i zapoczątkować powolną odbudowę społeczeństwa obywatelskiego, bez którego nie ma demokracji. Destrukcyjne procesy spowodowane przez pseudoreformy PiS jeszcze długo toczyć się będą same, własną energią. Mogłaby też opozycja zacząć prowadzić jakąś politykę zagraniczną, poprawiając stosunki z UE i wszystkimi sąsiadami, z którymi jesteśmy teraz skłóceni. Ale to praca na lata. W dodatku może ją przerwać kryzys gospodarczy, nieuchronna konsekwencja pandemii. Jeśli kryzys będzie głęboki, może spowodować zasadnicze zmiany na całej naszej scenie politycznej. Ale nie jestem pewien, czy te zmiany będą korzystne dla Polski. Po głębokich kryzysach do władzy często dochodzą populiści. W naszych konkretnych warunkach obawiam się, że mogą to być populiści jeszcze więksi od obecnie rządzących.

Wszystko niestety wskazuje, że w tym bagnie taplać się będziemy jeszcze długie lata. A taplając się, zwiększać będziemy dystans do Europy i całego świata zachodniego.

Chciałbym na koniec napisać coś optymistycznego, ale nie bardzo potrafię. Może tylko to, że historia płata nam czasem figle i stają się rzeczy trudne do przewidzenia. Może zatem stanie się coś, czego nie potrafimy przewidzieć?

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Skąd się wzięli komuniści?

Prawica pisze opowieść o lewicy. Prostackie klisze i fałszywe mity mają zastąpić historię Polski

Rozmawia Robert Walenciak

W przedmowie do książki o polskich komunistach napisał pan: „W powszechnej świadomości współczesnych Polaków komunizm został utożsamiony wyłącznie ze zbrodniami. Zanikła podstawowa wiedza o ideologii, jaką niósł. Szeroko rozpowszechniana w ostatnich latach ideologia nacjonalistyczno-klerykalna zastępuje wykład historii serią schematów i obrazków sławiących bohaterstwo patriotycznych Polaków. Eliminuje się przy tym opis podziałów społecznych, sporów ideowych, realiów, w których toczył się proces historyczny. Już nawet nie czytanka dla maluczkich, ale prostackie klisze i fałszywe mity mają zastąpić historię Polski". Porozmawiajmy więc o komunistach i socjalistach. Skąd się wzięli w Polsce?

– Wielka grupa w Polskiej Partii Socjalistycznej, ale i w Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy to inteligencja, najczęściej postszlacheckiego pochodzenia. Druga część to inteligencja pochodzenia żydowskiego, ci, którzy wyszli z tego środowiska. Trzecia – robotnicy.

Dalecy od stereotypów. W dużym stopniu samoucy, inteligentni, mający rozległą wiedzę.

– Dam przykład – Tomasz Arciszewski. Ten, który pod koniec II wojny światowej zostanie premierem polskiego rządu w Londynie. On był ślusarzem! Nie kończył żadnych szkół. A jednak całe życie był działaczem politycznym, wygłaszał bardzo poważne przemówienia, był posłem. Wcześniej zaś bojowcem.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
– historyk

To jest robotnik, choć o szlacheckich korzeniach.

Grzecznarowski…

– Józef Grzecznarowski! Bojowiec, robotnik, który po roku 1918 będzie prezydentem Radomia, posłem na Sejm. Takich ludzi na lewicy było całkiem sporo. Ktoś wychodzący ze środowiska robotniczego poprzez działalność poszerzał horyzonty, wiele czytał i stawał się aktywnym działaczem społecznym. Wśród komunistów też ich nie brakowało.

Fascynujący urok Marksa

Ale co takiego się stało, że młodzi ludzie z tych grup zaczęli zasilać partie rewolucyjne? Bo postulat niepodległości również był rewolucyjny, prawda?

– Niepodległość Polski to postulat programowy PPS przyjęty w roku 1892 i oczywiście powtarzany w propagandzie, w publicystyce „Robotnika" i innych pism. Jako cel, do którego się dąży. Ale to jest horyzont.

Tak samo odległy jak państwo socjalistyczne.

– Rewolucja, niepodległość – to były wtedy podobne perspektywy. Tak samo dalekie.

Dlaczego więc były pociągające? Spójrzmy na losy Piłsudskiego i Dzierżyńskiego. Obaj wywodzili się z polskiej zubożałej szlachty, obaj chodzili do tego samego gimnazjum w Wilnie. I jeden jest symbolem niepodległości Polski, a drugi komunizmu i NKWD.

– Skąd się brały takie wybory? Z buntu wobec okropnej rzeczywistości. To jest rzeczywistość okropna pod względem narodowym, ostra rusyfikacja, brak możliwości rozwijania polskiej kultury. Nie można zostać nauczycielem, sędzią, nie ma możliwości zatrudnienia się w administracji, wszystko jest rusyfikowane. Wywodzący się z elit społecznych w gruncie rzeczy nie mają żadnych perspektyw, najwyżej w carskiej armii. Chyba że zostaną w swoim majątku, ale to trudne, dlatego że warunki społeczne, zniesienie pańszczyzny,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, EAST NEWS/ŁASKI DIFFUSION

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Rewolucja 1905 r. w Łodzi.

bardzo mocno uderzają w tę klasę. Piłsudski pochodzi z rodziny, która zbankrutowała. Jego ojciec po zniesieniu pańszczyzny nie był w stanie prowadzić majątku. A z drugiej strony czuć powiew nowych idei, socjalistycznych. Idą z Zachodu, ze Szwajcarii, z Niemiec, i ze Wschodu, z petersburskich kółek młodzieżowych. Marksizm współczesny był kierunkiem fascynującym młodych ludzi. Dającym opis społeczeństwa, przemian społecznych, powstawania klasy robotniczej, przemysłu.

Widzieli to na własne oczy.

– Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie nędzy środowiska robotniczego, biednych ludzi w miastach. Ludzi, którzy nie mieli żadnych praw, żadnej opieki – zdrowotnej, społecznej – gnieździli się w strasznych warunkach, w jakichś suterenach, na kupie, chorowali. W fabrykach brak ubezpieczeń społecznych, 11 godzin pracy, żadnych związków zawodowych, żadnych praw, całkowita zależność od administracji. To wszystko powodowało, że bunt miał absolutne podstawy, i intelektualne, i moralne.

Do lewicy dochodzi też cała masa wychodźców ze sztetla.

– Bo trwa modernizacja, powstaje kapitalizm. Dynamika zmian społecznych w drugiej połowie XIX i na przełomie XX w. rozsadza zamknięte do tej pory grupy społeczne, feudalnie zamknięte. Również te, w których całe życie regulowała religia. Ludzie zaczynają coś czytać, nie tylko religijnego, zaczynają mieć aspiracje, szukają pracy, także w fabrykach, aspirują do zawodów świeckich. Wszystko to razem powoduje, że w świecie żydowskim pojawia się nurt świecki. Ma on wiele barw. Pojawia się syjonizm, jego różne odcienie, od bardzo konserwatywnych po bardzo radykalne. To otwiera marzenia o innym świecie i innej egzystencji.

I zachęca do buntu?

– Ponieważ w takim społeczeństwie, jakie było, w gruncie rzeczy dla takich ludzi nie było miejsca. Mówiliśmy, że Polacy nie mogli pracować w administracji, nie mogli sprawować wielu funkcji. Te same zakazy, tylko jeszcze większe, dotyczyły Żydów, skazanych na bycie ludźmi drugiej kategorii. Nie mogli mieszkać w Moskwie czy Petersburgu, bo mieli strefę osiedlenia, już nie mówiąc o pogromach. Dlatego Żydzi opowiadali się za głębokimi zmianami, które ich równouprawnią jako ludzi. To pewną ich część poprowadziło do ruchu socjalistycznego. Do PPS, do SDKPiL. Choć mam wrażenie, że jest pewna różnica. To znaczy głębiej zasymilowani do polskości przeważnie trafiali do PPS. Gdzie obowiązywał język polski, gdzie była cała tradycja patriotyczno-państwowa. Zorientowani bardziej międzynarodowo wybierali SDKPiL, która była dla nich prostsza. Bo tam nie było żadnego rozróżnienia na narody, nie miało znaczenia, czy ktoś jest Polakiem, Żydem, czy Niemcem.

Andrzej Friszke, *Państwo czy rewolucja. Komuniści polscy a odbudowanie państwa polskiego 1892-1920*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Rok 1905 – początek nowoczesności

I na takiej glebie wybucha rewolucja 1905 r.

– Rok 1905 to wielka erupcja społeczna. W dodatku w społeczeństwie, które właściwie nigdy wcześniej takiej erupcji nie przeżywało.

Bo poprzednie powstania, listopadowe i styczniowe, rozgrywały się w innym społeczeństwie?

– Rok 1905 jest początkiem nowoczesności. Nie tylko dla ruchu robotniczego, ale i dla innych nurtów społecznych i politycznych. To czasy strajku szkolnego, strajków w fabrykach, nawet poruszenia wśród chłopów. Robotnicy mają poczucie, że mogą o coś walczyć. Zwykle o poprawę warunków pracy, o możliwość samoorganizacji. To jest też czas powstawania pierwszych związków zawodowych. Oraz masowych demonstracji ulicznych, których przedtem w zasadzie nie było.

I rozpędzania tych demonstracji.

– Strzelania do ludzi, bicia nahajkami… Na ulicach dochodzi do bezpośrednich starć. Są ranni, zabici. Jednak poza tym jest to czas samoorganizacji. Partie robotnicze, liczące przedtem – jak Róża Luksemburg napisała SDKPiL, swojej partii - najwyżej kilkuset ludzi w kraju, rosną w tysiące. To samo dotyczyło PPS – rok 1905

eprasa.pl 3efdd1c9f9

powoduje, że ta partia gwałtownie się rozrasta. Co prawda, po odpływie fali rewolucyjnej to wszystko wygaśnie, ale, jak wiemy z doświadczenia Solidarności, taki okres samoorganizacji, dyskusji zostaje w pamięci. I potem wraca. Wtedy również wrócił.

Piłsudski kierował Organizacją Bojową PPS. Z drugiej strony były bojówki endeckie, które tłukły się z PPS-owcami. Dziś mało kto rozumie wrogość Piłsudskiego do Narodowej Demokracji, do Dmowskiego. A w roku 1905 ich ludzie do siebie strzelali.

– Kiedy schodziło to na poziom środowiska robotniczego, o niskiej kulturze politycznej, rzeczywiście przybierało charakter krwawych odwetów. Tam były ogromne emocje i walka o wpływy w środowisku. Czy pociągnie robotników endecja, czy socjaliści? Zamachy Organizacji Bojowej w dzisiejszym rozumieniu to działalność terrorystyczna. Miały one parę kierunków. Po pierwsze, były rodzajem samoobrony. Uderzały w ludzi podejrzewanych, że są agentami policji. To oczywiście dramat, bo często nie było pewności. Ale istnienie agenta w organizacji stanowiło śmiertelne zagrożenie. Po drugie, miały paraliżować aparat carski. Miały go zastraszać. Czyli zamachy na dygnitarzy carskich, na policmajstrów, oficerów żandarmerii i policji. Trzecia rzecz to uderzanie tam, gdzie są pieniądze – poczty, przewóz pieniędzy… Chodziło o zdobycie środków na działalność organizacji, a przy okazji o dezorganizowanie aparatu carskiego.

Naczelna linia podziału

Czy w roku 1905 te nurty lewicy, komuniści i PPS, były wobec siebie wrogie, czy się przenikały?

– Raczej były wrogie. Linii podziału nie wytyczały kwestie ideologiczne, związane z marksizmem, jego interpretacją itd., te sprawy pozostawały na dalszym planie. Naczelną linią podziału był problem niepodległości. Czy robotników organizujemy w ruch polski, którego celem jest odzyskanie wolności przez Polskę i ustanowienie państwa? Czy raczej budujemy ruch, który jest częścią ruchu międzynarodowego, a jego celem będzie obalenie kapitalizmu i stworzenie nowego społeczeństwa, w którym nie ma miejsca na odrębności państwowe w klasycznym rozumieniu, jedynie na odrębności kultur, na odrębność języków? I to reprezentowała Róża Luksemburg. Uważała PPS właściwie za rodzaj dywersji postszlacheckiej inteligencji, warstw dawniej posiadających, wobec ruchu robotniczego. Że wyprowadza z ruchu coraz większe grupy robotników, po to by ich wiązać z wizjami, które są w interesie burżuazji, a nie robotników. Bo wszystko jedno, czy burżuj jest polski, rosyjski, niemiecki lub żydowski – wszyscy są jednakowymi wrogami. To była perspektywa SDKPiL.

A co na to PPS-owcy?

– Odpowiadali, że ten ruch ponadnarodowy w gruncie rzeczy oznacza próbę rozwodnienia polskiego proletariatu w ruchu rosyjskim. Że to będzie część ruchu rosyjskiego, a więc w gruncie rzeczy służyć będzie rusyfikacji, przyjęciu, że Rosja jest tym obszarem, w którym tkwimy i w którym pozostaniemy. A PPS-owcy chcieli oderwania od Rosji. Piłsudski uważał, że Rosja wskutek takiego rozwoju historycznego, jaki ją kształtował, nigdy nie będzie ani naprawdę demokratyczna, ani tolerancyjna dla innych narodowości, to jest jakby wpisane w rosyjski kod. Napisał to w roku 1895, ale te opinie wyznaczają jego horyzont w postrzeganiu Rosji na całe życie.

Dlatego tym łatwiej mu przyszły zaangażowanie we współpracę z armią austriacką i budowa legionów.

– I wokół tego toczyła się polska polityka przed I wojną światową oraz w jej trakcie: czy iść na układy, co czynił Piłsudski. Bo natychmiast mu wypominano, że szukanie niepodległości to gra w obozie burżuazyjno-kapitalistycznym, a nie żadnym rewolucyjnym. Potem do tego dojdzie spór dotyczący rewolucji październikowej.

Bitwa o duszę robotników

Czy polscy komuniści rzeczywiście nie dostrzegali siły idei niepodległości państwa? Tego, że zamknęli się w wierze, że tylko rewolucja się liczy?

– Odmawiali przyjęcia do wiadomości, że mogą powstać akceptowalne porządki kapitalistyczne. W związku z tym porządek państwa polskiego, takiego, jakie ono było, był dla nich nie do przyjęcia. Bo było to państwo klasowe, w którym dominowała prawica.

A po pierwszych decyzjach rządu Moraczewskiego?

– PPS-owcom w momencie tworzenia państwa udało się narzucić ograniczenia kapitalizmu: ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia społeczne, prawo do strajku i działalności związkowej, równouprawnienie kobiet, prawo kobiet do głosowania… Takie oczywistości, które tu wymieniam, były kiedyś postulatami rewolucyjnymi.

> Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie nędzy środowiska robotniczego. Gnieździli się w strasznych warunkach, 11 godzin pracy. Bunt miał absolutne podstawy.

Komunistów to nie przekonywało?

– Uważali, że w państwie burżuazyjnym to jest nie do spełnienia. I trzeba dokonać rewolucji, żeby obalić istniejący porządek społeczny i budować nowy. Wzorem była rewolucja w Rosji. Czy budujemy w jakiejś mierze separatystyczne państwo polskie, bo tak oni na to patrzyli, czy przyłączamy się do międzynarodowego wielkiego ruchu, który zmiecie państwa kapitalistyczne i ustanowi nowy porządek – to był zasadniczy punkt sporu. Lata 1918-1920 były bitwą o duszę klasy robotniczej, robotników, czy oni poprą PPS i kompromis z partiami burżuazyjnymi, czy pójdą w kierunku rewolucji, która ma to wszystko zmieść. Tę bitwę, rozłożoną na wiele etapów, komuniści przegrali. Kiedy Armia Czerwona szła na Warszawę, nie było w społeczeństwie polskim żadnych ruchów solidarności z bolszewikami, z Armią Czerwoną i rewolucją rosyjską. Zwyciężyło poczucie, że główną wartością jest Polska niepodległa. I walka o różne zmiany będzie musiała się toczyć na gruncie tego państwa, a nie na gruncie połączenia z rewolucją rosyjską.

Może więc komunistom bardziej opłaciłoby się zweryfikowanie wcześniejszych poglądów? Choćby w sprawie niepodległości Polski?

eprasa.pl 3efdd1c9f9

– W KPP też były napięcia. Ujawniły się na II Zjeździe KPP w roku 1923. Adolf Warski, który, jeśli chodzi o środowisko komunistyczne, jest na pewno najbardziej dojrzałą intelektualnie i politycznie postacią, i Maria Koszutska proponowali, żeby przyjąć taki program partii, który dotrze do mas. Oczywiście trzeba obalić państwo burżuazyjne, ale własnymi siłami. Mając zaplecze społeczne. Na drugim biegunie znajdowali się Julian Marchlewski czy Julian Leński, którzy mówili: wojna jest nieuchronna, Armia Czerwona zajmie Polskę i my z Rosji weźmiemy kadry. Te dwa sposoby myślenia będą kontynuowane. Rozbieżności między Gomułką a Bierutem w 1944 r., jeszcze zanim powstał PKWN. Gomułka mówił: tak, rewolucja, ustanowienie władzy ludowej, bo Armia Czerwona nadejdzie, ale musimy zbudować zaplecze społeczne dla tej rewolucji. A Bierut odpowiadał: przyjdzie Armia Czerwona i wraz z nią kadry.

Dlaczego zamarła tradycja PPS?

PPS dała Polsce niepodległość. Zbudowała II Rzeczpospolitą. Dlaczego nie przetrwała? Mamy renesans endecji, funkcjonują ludowcy, a PPS nie.

– Generalnie powiem, że tradycję PPS-owską wykończyła Polska Ludowa. Najpierw w sensie organizacyjnym, – rozbijając odrębność PPS w pierwszych latach po wojnie, wiążąc ją z PPR. A już połączenie w 1948 r., powiązane z wymuszeniem potępienia całej tradycji PPS-owskiej jako usług dla burżuazji… Ta tradycja w PZPR nie mogła być podnoszona. W pewnych momentach będzie ona wracać w postaci książek, działalności typu społecznego czy związków sportowych, ale w gruncie rzeczy tradycja PPS-owska w świadomości zbiorowej zostanie rozmyta. Jako część komunizmu. Przez to odbudowanie socjaldemokracji, czy PPS, jest tak trudne. Chociaż wielu ludzi z tą partią związanych było czynnych w opozycji demokratycznej. W KOR chyba było pięciu członków PPS!

PPS-owcy nie wojowali z Kościołem, z religią, ale byli świeccy.

Starsi państwo! To był ich ostatni polityczny strzał!

– KOR był ostatnią odsłoną tego myślenia, społecznego, demokratycznego. Natomiast obecne imaginarium na temat PPS, wartości, które ta partia wniosła, zostało ukształtowane pod wpływem prawicy. Z tym że jakby z dwóch nurtów. Z jednej strony, takiego piłsudczykowsko-sanacyjnego, uwolnionego od myślenia lewicowego, a głównie skupionego na sprawach militarnych. Z drugiej zaś, mamy imaginarium narodowo-religijne, typowe dla endecji. Ono było używane w walce z obozem lewicowym, socjalistycznym.

I teraz bezkarnie powtarzają tę swoją propagandę sprzed 100 lat.

– Dam przykład: PPS-owcy nie wojowali z Kościołem, z religią, ale byli świeccy. To znaczy nie było tam miejsca na myślenie o realiach wyznaniowych jako istotnej tkance społecznych powiązań. O Kościele właściwie się nie pisało. Przejrzałem „Robotnika" od końca 1918 do końca 1920 r. – nie znalazłem w nim ani jednego artykułu o Kościele, to w ogóle było poza sferą zainteresowań. Życie świeckie, życie rodzinne, a że ktoś się modli – proszę bardzo, niech się modli. Natomiast jak kler wkracza i próbuje określać, na kogo mają ludzie głosować – o, to oburzające. To jest łamanie zasady odrębności Kościoła od państwa. To zostało rozmyte w PRL. Kościół z różnych przyczyn stał się autorytetem politycznym, z którym władza się liczyła. Sytuacja z okresu PRL spowodowała, że Kościół stał się trochę zastępcą w mówieniu o sprawach politycznych, społecznych, w kulturze. Pod jego skrzydłami rozwijała się aktywność społeczna i kulturalna.

A myślenie lewicowe uznano za głos PZPR, odchodzącej formacji.

– Ostatecznie tradycja PPS zamarła po roku 1989. Jest to chyba związane ze stworzeniem innego modelu ekonomicznego. Bo jakkolwiek patrzeć na tradycję PPS, to jednak klasa robotnicza, prawa robotników, sprzeciw wobec kapitalizmu, cały język, który z tym się wiąże – to wszystko, krótko mówiąc, było nie na czasie. Bo budowano porządek prywatnej własności środków produkcji, liczyły się pieniądze itd. To dobiło tradycję lewicową. I stworzyło sytuację, w której opowieść o odrodzeniu państwa polskiego i życia politycznego II RP została głęboko zafałszowana.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Poczta Polska
Płać mniej!
Jeden egzemplarz w prenumeracie
~~7,50 zł~~ **5,69 zł**
Przedłuż pocztową prenumeratę PRZEGLĄDU
Zamówienia można składać do 25 lutego 2021 r.
Realizacja od kwietnia 2021 r. po dokonaniu przedpłaty
74 zł – II kwartał, 222 zł – II, III, IV kwartał
• we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
• drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

Zostań w domu! Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Jak CIA finansowała Solidarność

Amerykańska centrala wywiadowcza czynnie uczestniczyła w organizowaniu struktur nielegalnej opozycji w Polsce

Prezydent Ronald Reagan z szefem CIA Williamem Caseyem, 1984 r.

Bruno Drwęski

W Stanach Zjednoczonych pojawiła się książka[1] o Solidarności i CIA napisana przez amerykańskiego politologa Setha G. Jonesa, byłego członka Dowództwa Operacji Specjalnych USA (USSOCOM), a obecnie eksperta do spraw terroryzmu w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) w Waszyngtonie. W przeszłości napisał on także książkę o roli CIA w tworzeniu grup mudżahedinów afgańskich. Mamy więc do czynienia ze specjalistą w tej dziedzinie, patrzącym na sprawy z samego centrum struktur szpiegostwa i interwencji zagranicznych. Nie można zatem pominąć tej pracy, która przynosi wiele szczegółów na temat zakresu ingerencji Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników w wewnętrzne sprawy Polski. Wspiera to tezę, że oprócz cywilnych agencji rządowych i organizacji społeczeństwa obywatelskiego finansowanych ze środków publicznych i prywatnych sama amerykańska centrala wywiadowcza czynnie uczestniczyła w organizowaniu i finansowaniu struktur nielegalnej opozycji w Polsce. Pomaga to również zrozumieć, dlaczego mimo niewątpliwie socjalistycznego charakteru strajków z sierpnia 1980 r. struktury Solidarności stopniowo popadały w uzależnienie od politycznych, ekonomicznych i ideologicznych opcji reprezentowanych przez Waszyngton. Na podstawie swoich badań autor twierdzi, że CIA bezpośrednio wydała co najmniej 20 mln dol. na podziemną Solidarność (obecnie byłoby to ok. 40 mln dol.). Podkreśla on, że pomoc ta została zorganizowana w taki sposób, by pieniądze krążyły w długich obiegach, w celu uniemożliwienia identyfikacji pierwotnego fundatora.

Seth G. Jones jest zwolennikiem amerykańskiej polityki interwencji zagranicznych i dlatego pozytywnie ocenia rolę CIA w Polsce, podobnie jak we wszystkich innych krajach. Oparł się na dokumentach znalezionych w archiwach ośrodka wywiadowczego w stanie Maryland, ale także na zeznaniach emerytowanych agentów CIA, byłych urzędników lub byłych dostojników Białego Domu, z którymi miał możliwość się spotkać. Zgodę na wydanie jego książki wyraziła też sama CIA, która musiała zatem uznać, że publikacja ta dobrze się przysłuży legitymizacji tej instytucji w oczach zwolenników „amerykańskiej demokracji". Mimo że Stany Zjednoczone działały w Polsce od dłuższego czasu i utrzymywały kontakty w kręgach opozycji intelektualnej przynajmniej od lat 70., a tajne służby mocarstw kapitalistycznych nawiązywały kontakty z przywódcami Solidarności od momentu jej narodzin, dopiero pod koniec 1982 r. prezydent Reagan sformalizował system pomocy dla tajnych struktur w Solidarności, podpisując dokument o kryptonimie „QRHELPFUL".

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Poprzednikiem tej operacji agencji była operacja o kryptonimie „QRBERETTA", której przedmiotem było początkowo, w latach 40. i 50., udzielanie pomocy polskiemu miesięcznikowi kulturalno-politycznemu „Kultura" oraz wydającemu go Instytutowi Literackiemu z Maisons-Laffitte, który publikował utwory literackie oraz książki o tematyce historycznej i społeczno-politycznej. Instytutem kierował ziemianin i imigrant pochodzący z Kresów Wschodnich, Jerzy Giedroyc. Ten rodzaj pomocy, pochodzącej bezpośrednio z funduszy CIA, zdaniem Jonesa rósł stopniowo z kilkudziesięciu tysięcy dolarów w pierwszych latach do kilkuset tysięcy w latach 70. Płynęła ona równolegle z pomocą udzielaną przez organizacje mniej lub bardziej powiązane z systemem amerykańskiej hegemonii, którego składnikami były związki zawodowe, partie polityczne, stowarzyszenia, organizacje zbierające fundusze, a także finansowanie w ścisłym sensie państwowe takich instytucji jak Radio Wolna Europa/Radio Swoboda z siedzibą w Monachium. Widzimy więc, że światowa potęga, znacznie bogatsza niż jej radziecka przeciwwaga, nie zawahała się użyć swoich potężnych środków i posłużyć się metodami, o które systematycznie oskarżała adwersarza.

Głównym zaś celem dyrektywy „QRHELPFUL" było kamuflowanie pochodzenia funduszy i sprzętu wysyłanego do Polski w taki sposób, by członkowie rządu Stanów Zjednoczonych mogli przez cały czas publicznie zapewniać, że ich kraj nie prowadzi tego rodzaju działań, nielegalnych w świetle prawa międzynarodowego i reguł dyplomacji. Dlatego potrzebna była cała siatka pośredników do zacierania śladów i obmyślania dróg transportu, opierająca się zwłaszcza na doświadczeniach zdobytych od początku wojny w Afganistanie. Widzimy tutaj, że ofensywa medialna krajów socjalistycznych, w szczególności Polski Ludowej, potępiająca tego rodzaju działania, prezentowana na Zachodzie jako wymysły wulgarnej, paranoicznej propagandy komunistycznej, odpowiadała prawdzie.

Funkcjonariusze CIA mieli zatem kontakt z polskimi imigrantami mieszkającymi w różnych krajach zachodnich: we Francji, w Niemczech Zachodnich, Anglii, Belgii, Szwecji, we Włoszech, lecz głównie w Paryżu, który odegrał kluczową rolę w historii Solidarności. Spektrum wsparcia CIA rozciągało się od finansowania utworów literackich, przez wysyłanie kserokopiarek lub drukarek, po pomoc w podtrzymywaniu kontaktów z polskimi internowanymi, ich rodzinami lub emigrantami. Jones szacuje, że ponad 30 funkcjonariuszy CIA było stale zaangażowanych w to zadanie.

Oficjalne wsparcie CIA dla struktur polskiej podziemnej opozycji trwało od 1981 do 1990 r.

Nawiązywali oni kontakty z emigrantami, dyplomatami z różnych krajów, biznesmenami związanymi z Polską, którzy byli w stanie zorganizować transport towarów do tego kraju, ale według Jonesa żaden z tych agentów nigdy nie spotkał się osobiście z przywódcami Solidarności, którzy dzięki temu mogli nie dostrzegać – lub udawać, że nie dostrzegają – prawdziwych źródeł finansowania i wsparcia swoich działań. Dowodzi to, że w tamtych czasach takie postępowanie w dużej mierze uważane było za hańbiące. Ludzie, z którymi

Seth G. Jones

kontaktowali się agenci CIA, mieli dojścia do przewoźników, kierowców ciężarówek lub innych pośredników. Można było przemycać nielegalne towary (atrament, kserokopiarki, drukarki, plakaty itp.), pomysłowo umieszczone w skrytkach w dużych ciężarówkach, co pozwalało na ominięcie kontroli służb celnych na granicach Polski lub innych krajów socjalistycznych, przez które samochody przejeżdżały. Robiono wszystko, by – w przypadku zatrzymania ciężarówki na granicy – jej kierowca nie znał tożsamości osób, które dostarczyły zabronione towary, by nie można było w ten sposób dotrzeć do pierwotnego źródła.

Nawet szefowie polskiej organizacji podziemnej, którzy byli odbiorcami tych towarów lub funduszy, nie wiedzieli dokładnie, kto był ich nadawcą, a pracownicy podziemnego ruchu na ogół woleli nie zadawać pytań o pochodzenie tego, co wykorzystywali do prowadzenia działań przeciw polskiemu rządowi. Zrobiono wszystko, by poprzestać na atmosferze plotek bez żadnych dowodów, pozwalając jednak polskim opozycjonistom wierzyć, że mają oparcie w partnerach solidnych, którzy ich nie porzucą, ale bez zadawania sobie pytań o sens etyczny i motywację tego partnerstwa. A ponieważ pomoc pochodząca od CIA dokładała się do tej, która z pewnością została uruchomiona z zaangażowaniem CIA, ale pochodziła od organizacji publicznych lub prywatnych, z założenia cieszących się większym poważaniem, takich jak związki zawodowe lub organizacje pozarządowe (NGO), przywódcy polskiej opozycji mogli odnieść wrażenie, że opierają się na szerokim, powszechnym ruchu społecznym, skupiającym wszystkich członków „demokratycznej rodziny".

Rzecz jasna, trzeba także wziąć pod uwagę, że podziemne struktury Solidarności były penetrowane przez agentów bezpieczeństwa polskiego państwa. Dlatego tak duże znaczenie nadawano temu, by źródła pomocy ze Stanów Zjednoczonych pozostawały jak najbardziej nieprzejrzyste. CIA odegrała kluczową rolę w tworzeniu całej tej siatki, czasami przy udziale innych służb, takich jak brytyjski MI6 lub izraelski Mosad. Zauważmy, że jeśli Paryż stanowił ważną bazę działań skierowanych na Polskę, francuskie władze i tajne służby musiały zostać o tym poinformowane, by mieć pewność, że działania te nie dotyczą Francji. Rewanżowały się zaś przymykaniem oka na poczynania amerykańskich kolegów. Ponadto Amerykanie uzyskali milczące przyzwolenie państw Europy Zachodniej, na obszarze których zbudowana

FOT. AP/EAST NEWS, NATIONAL MUSEUM USAF

eprasa.pl 3efdd1c9f9

została ich siatka, w szczególności Francji, Niemiec Zachodnich i Szwecji. Według Jonesa Watykan także był świadomy tych działań, chociaż nigdy nie był informowany o konkretnej formie, jaką przybierały. Jones przypomina, że ówczesny dyrektor CIA Bill Casey był katolikiem, co według niego mogło pomóc w tworzeniu się pewnej formy porozumienia między dwiema instytucjami zaangażowanymi z różnych powodów w walkę z komunizmem.

Oficjalne wsparcie CIA dla struktur polskiej podziemnej opozycji trwało zatem od roku 1981 do 1990, pod koniec którego oficjalnie się zakończyło. W międzyczasie jednak wielu amerykańskich doradców zainwestowało w liczne polskie ministerstwa i urzędy administracji wyższego szczebla, a także w niektórych przywódców politycznych, dziennikarzy, wyższych rangą urzędników, wojskowych, oficerów polskiego wywiadu, którzy odbyli szkolenie w Stanach Zjednoczonych, w tym w siedzibie CIA. Według Jonesa dokumenty dotyczące tych operacji zostały wówczas spalone, a funkcjonariusze odpowiedzialni za ten sektor otrzymali inne misje, w innych krajach, gdzie, jak można przypuszczać, wykorzystali doświadczenie zdobyte na froncie polskim.

Książka Setha G. Jonesa pozwala również na refleksję, że CIA nie stara się już, tak jak w latach 70. i 80. i w czasie tworzenia NED[2] jako pararządowej struktury stanowiącej przykrywkę dla działań specjalnych, maskować swoich interwencji, nawet wtedy, gdy media zachodnie prowadzą jedna za drugą kampanie w sprawie domniemanych rosyjskich, a nawet chińskich ingerencji w życie polityczne mocarstw zachodnich. Można postawić hipotezę, że kampanie te mają usprawiedliwić na zasadzie kontrastu rosnący wpływ „głębokiego państwa" na życie polityczne i powinny się przyczynić do „militaryzacji" morale Zachodu.

Książka odbiła się już w Polsce pewnym echem, przyczyniając się do debat, które dzielą społeczeństwo i dotyczą zewnętrznego finansowania Solidarności, powiązań między polskimi dysydentami a obcymi mocarstwami, zdrady pułkownika Kuklińskiego lub innych obywateli polskich itp. Polacy są podzieleni na tych, którzy uważają, że Polska Ludowa była rzeczywiście ich ojczyzną, której nie należy zdradzać, niezależnie od tego, co można myśleć o jej ustroju politycznym, i tych, którzy uważają, że mocarstwa zachodnie, szczególnie Stany Zjednoczone, były i zawsze pozostaną naturalnym i wiarygodnym sojusznikiem ich kraju.

CIA wydała co najmniej 20 mln dol. na podziemną Solidarność. Pieniądze krążyły w długich obiegach, by nie dało się zidentyfikować fundatora.

Po 30 latach kampanii medialnych potępiających w imię moralności byłych współpracowników polskiego aparatu bezpieczeństwa sprzed 1989 r. musimy postawić pytanie o moralność tych, którzy kolaborowali z instytucją, której konto w skali globalnej obciąża wiele śmierci i która ponadto jest dla Polaków organizmem obcym. Wprawdzie antykomuniści podkreślają, że Polska Ludowa i jej służby również były powiązane z obcą potęgą, Związkiem Radzieckim, ale zapominają, że polskie tajne służby nigdy nie przekazywały nazwisk swoich agentów radzieckim towarzyszom.

W obozie przeciwnym Amerykanie mieli kompletną wiedzę na temat wszelkich działań swoich podopiecznych, którzy skądinąd po 1989 r. mieli również przekazywać im informacje dotyczące wszystkich siatek wywiadowczych Polski Ludowej. Stało się tak zwłaszcza w przypadku inwazji USA i Polski na Irak w 2003 r., gdy władze w Warszawie podały nazwiska agentów mających powiązania z agentami służb irackich, ułatwiając w ten sposób inwazję na ten kraj, ale niszcząc tym aktem, odebranym przez Arabów jako zdrada, korzystny wizerunek Polski w Iraku i krajach sąsiednich. Z państwa, które aktywnie uczestniczyło w rozwoju gospodarczym i kulturalnym Iraku, Algierii, Libii, Syrii itp., Polska nagle przeistoczyła się w wasala w służbie możnych. W oczach świata nowa Polska jest jeszcze mniej suwerenna niż ta, która rozwijała się przy „ograniczonej suwerenności" w czasach obozu radzieckiego.

[1] Seth G. Jones, *A Covert Action: Reagan, the CIA, and the Cold War Struggle in Poland,* W.W. Norton, New York 2018; polskie wydanie: *Tajna operacja. Reagan, CIA i zimnowojenny konflikt w Polsce*, Sonia Draga Post Factum, Katowice 2019.

[2] Chodzi o National Endowment for Democracy, organizację, której misją jest promocja wartości demokratycznych w świecie, realizowana w drodze finansowania wielu działań, od wydawania czasopism (choćby „Journal of Democracy") i publikacji po fundowanie grantów i stypendiów (np. Reagan-Fascell Fellowship Program) oraz sponsorowanie organizacji i instytucji, takich jak Światowy Ruch na rzecz Demokracji, Międzynarodowe Forum Studiów nad Demokracją czy Sieć Instytutów Badawczych Demokracji. Ma ona status prywatnej fundacji, organizacji pozarządowej i *non profit.* W rzeczywistości finansowana jest na podstawie decyzji Kongresu z budżetu federalnego USA, poprzez transfery z USIA i innych agend rządowych.

Fragment książki Brunona Drwęskiego, *Zagrabiona historia Solidarności. Został tylko mit,* Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2020

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jak znieważyć naród polski – krótki kurs

Proces państwa polskiego przeciw dwojgu wybitnym badaczom Zagłady Żydów, profesorom Janowi Grabowskiemu i Barbarze Engelking, przechodzi do historii jako coś, co w języku prawa międzynarodowego ma swoje określenie: strategiczny pozew przeciwko zaangażowaniu w sprawy publiczne (*Strategic Lawsuit Against Public Participation* – SLAPP).

Formalnie proces był sprawą cywilną z pozwu Filomeny Leszczyńskiej, 80-latki, która wystąpiła o ochronę dóbr osobistych, po tym jak postać jej stryja, sołtysa Edwarda Malinowskiego, pojawiła się w mającej ponad 1,5 tys. stron monografii naukowej „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", wydanej w 2018 r. przez Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, pod redakcją wyżej wymienionej pary naukowców. *De facto* za procesem stało (i stoi, będzie apelacja) państwo polskie w postaci Reduty Dobrego Imienia z jej prezesem Maciejem Świrskim, byłym wiceprezesem umocowanej setkami milionów publicznych pieniędzy Polskiej Fundacji Narodowej, a obecnie przewodniczącym rady nadzorczej Polskiej Agencji Prasowej. Świrski jako szef Reduty zasłynął z wielu akcji „bezpośrednich" (czyli głównie występowania do sądów z pozwami), jak opisywali to w swoim tekście Anna Dąbrowska i Rafał Kalukin, kiedy chciał „wyperswadować antypolonizm bezczelnemu belgijskiemu eurodeputowanemu Guyowi Verhofstadtowi, który na Marszu Niepodległości dopatrzył się faszystów (odrzucony przez sąd pozew o »zniesławienie tysięcy obywateli RP«). Trzeba odebrać wreszcie Grossowi Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP. Objaśnić polskiemu widzowi, że oscarowa »Ida« jest filmem zakłamanym i antypolskim. Zmotywować 90-letnich weteranów powstania warszawskiego, aby zeznawali w procesie o zniesławienie wytoczonym twórcom niemieckiego serialu »Nasze matki, nasi ojcowie«".

Po wydaniu dwóch tomów „Dalej jest noc" pełną parą ruszyła kwerenda inkwizycyjna. Reduta wspomagana była pracą (kiedyś poznamy jej rozmach i koszty) funkcjonariuszy policji historycznej z IPN. Miesiącami grzebano w tysiącach wojennych dramatów Żydów. Natrafiono na historię małej wioski Malinowo, którą w niewielkim fragmencie tekstu zainteresowała się autorka. Pisała o ówczesnym sołtysie Edwardzie Malinowskim, który pomógł przeżyć jednej z ukrywających się Żydówek (Esterze Drogickiej), równocześnie ją okradając, oraz najprawdopodobniej wziął udział w wymordowaniu przez Niemców kilkudziesięcioosobowej grupy ukrywających się Żydów. W książce Barbara Engelking dopisała Edwardowi Malinowskiemu czyny innego Edwarda Malinowskiego z tej samej wsi, który tylko z Esterą handlował – również w ten sposób ją ratując. Bratanica (za poduszczeniem i ze wsparciem finansowym, prawnym i logistycznym Reduty) wystąpiła z pozwem w obronie „prawa do tożsamości i dumy narodowej, realizowanej jako duma z bycia potomkiem bohatera Edwarda Malinowskiego, który ratował Żydów podczas II wojny światowej, duma z bycia Polakiem – członkiem narodu, który ratował Żydów podczas II wojny światowej". Barbara Engelking tylko przytacza opinię Estery Drogickiej. Prawdę mówiąc, pomieszanie dwóch Edwardów nie ma żadnego znaczenia ani dla tej historii, ani dla wymordowanych Żydów; dla Malinowskiego ma tylko takie, że rodzina nie chce i cierpi z powodu tego, że przypisano mu po prostu współpracę handlową z ukrywającą się Esterą.

Sąd Okręgowy w Warszawie pochylił się bardzo głęboko nad sprawą, która w normalnym trybie mogłaby się zakończyć przypisem, zmianą w kolejnym wydaniu, doprecyzowaniem zdania w tekście, i wydał w pierwszej instancji wyrok określany jako salomonowy – nakazał przeproszenie powódki przez naukowców. Równocześnie odrzucił wszystkie zarzuty o naruszenie dóbr takich jak obrona tożsamości i dumy narodowej, nie zasądził kary finansowej (domagano się 200 tys. zł od badaczy). Wszystko to, jak powiedział sąd, żeby nie wywołać efektu mrożącego wobec badaczy.

> O zachowaniach Polaków wobec Żydów w czasie II wojny nie wolno pisać krytycznie, ujawniać niewygodnych dla dumnego narodu zdarzeń.

Nie udało się. Efekt jest, niezależnie od wyroku i postanowień sądów wyższej instancji. O zachowaniach Polaków wobec Żydów w czasie II wojny nie wolno pisać krytycznie, ujawniać niewygodnych dla anielskiej, niepokalanej wizji tożsamości dumnego narodu zdarzeń, działań, czynów. Pisanie prawdy bowiem obraża, znieważa i lży Wielki Katolicki Naród Polski, którego personifikacją staje się sołtys Malinowski, który wprawdzie jedną Żydówkę uratował, okradając ją m.in. ze swetra, ale innych Żydów dla hitlerowców wytropił w lesie, gdzie zostali zamordowani.

Biedny sąd, biedny. A Świrskiego gęba, usmarowana publicznymi konfiturami, roześmiana od ucha do ucha. Hiszpańska inkwizycja? A po co, gdzie, kiedy? Tu mamy swoją, za nasze. I nie jest to śmieszne, to haniebny dzień dla nas wszystkich.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Spadek

Bogactwo teścia wzięło się z mordu, była jakaś piwnica pełna Żydów i nikt nie wie, co się z nimi potem stało. Byli Żydzi i nie ma Żydów, taka historia

Mirosław Tryczyk

– Moje życie jest jakieś nieudane… Wżeniłem się w tę rodzinę, a teść to był zawsze zły człowiek, trudny, groził mi pozwem o zniesławienie, gdy zacząłem pytać o przeszłość. Policję chciał wzywać, krzyczał: „Wypierdalaj! Nie jesteś godzien chodzić po tej świętej ziemi!", choć z charakteru to w zasadzie spokojny człowiek. Wtedy jednak się zdenerwował. Jestem kierowcą i często jeżdżę, gospodarkę mam dużą, budynki, kupa forsy w tym siedzi, wszystko od teścia, wszystko żony. Jak się tu sprowadziłem w latach 90., to ludzie od razu gdzieś przy wódce gadali, że to rodzina, co Żydów zabijała. Raz taki miejscowy chłopak, wie pan, trochę niedorozwinięty, którego z szosy zabrałem, żeby podwieźć, w samochodzie mi wypalił, że wszystko, co mamy, to z żydowskiego złota, co to ojciec mojego teścia ich namordował. Ukrywali się, widać, w tej piwnicy i ojciec teścia trzymać dłużej ich nie chciał… Ojciec teścia już nie żyje, a teść ma 75 lat. Żyje brat jego ojca, ma ponad 90 lat. Zawsze jak się spotykali, kiedy ojciec teścia jeszcze żył, to kazali wszystkim domownikom, mnie też, wypierdalać z domu na dwór. Jak to? No normalnie. Spotkali się ojciec teścia i jego brat i wszyscy won z domu na dwór! Sami tylko rozmawiali, żeby świadków nie było. Albo może wykopywali coś spod podłogi, skarby jakieś, tak moja żona mówiła. Z opowieści rodzinnych dowiedziałem się, że bogactwo teścia wzięło się z mordu, że była jakaś piwnica pełna Żydów i nikt nie wie, co się z nimi potem stało. Byli Żydzi i nie ma Żydów, taka historia. Tylko po nich bogactwo teścia zostało. Ale najgorszy to ten brat ojca teścia, ech, zły człowiek, wszyscy się go boją i mówią o nim źle we wsi, a tacy źli to szybko nie umierają. Więc żyje jeszcze, ale nic nie powie, jeszcze za siekierę chwyci, gdyby go pytać. A teść to ma jedną parę sztućców i tylko nimi do dziś dnia jada, innymi nie chce. Te jego sztućce mają wygrawerowaną swastykę. Muszę przerwać, bo syn idzie… Zadzwonię innym razem.

•

– Była taka historia opowiadana, że gdzieś w okolicy mojego obecnego domu i gospodarki, tej teściowej znaczy się, zakopali po Żydach kilka furmanek bogactwa, bo te Żydy stąd były bogate, znaczy się szczególnie bogaty był jeden potentat, miał fabrykę porcelany i stąd to było. Duża forsa. Wszystko ich. Czy to kto potem zabrał? Widać zabrał, bo rodzina mojego teścia przed wojną biedna była jak mysz, kromki chleba nie mieli, rozumie pan. A po wojnie brat teścia pobudował sobie wielki dom, teść olbrzymią gospodarkę kupił, co ja na niej też siedzę, bo to wszystko żony. Ten brat teścia, jak już kapitalizm nastał, ogromną fabrykę sobie zbudował, ogromne pieniądze… Ja to się teraz nawet boję pytać, skąd to, po kim. Bo mi grożą. Ja się zresztą i w tej chwili boję, jak z panem rozmawiam, może niepotrzebnie mówię to wszystko panu. A drugi z braci profesorem został w Warszawie, ale on już na emeryturze. Muszę przerwać, bo dzwonię z garażu, z samochodu… Zadzwonię innym razem.

•

– Jak budowaliśmy w gospodarstwie nowe miejsce do odsączania owoców i przechowalnię, to odsłoniliśmy podłogę i tam była jakaś taka betonowa wylewka, stara, patrzyliśmy na nią z bratem i jak zaczęliśmy kuć, to się rozpękła trochę i pod nią była studnia chyba, no, dół w każdym

FOT. NAC

eprasa.pl 3efdd1c9f9

razie, ciemno jak cholera, i brat, i kilku chłopa zaraz zaczęli gadać dziwnie, że to jest to miejsce, gdzie albo trupy, albo bogactwa ojciec teścia zakopał. Ale nie zaglądaliśmy tam, bo po co? Zakopaliśmy z powrotem, betonem nową wylewkę zrobiliśmy i po sprawie. Nikt nie pyta, nie ma co pamiętać… A jednak dzwonię do pana, no tak, sprawa spokoju nie daje, bo wie pan, teść to zły człowiek i ja bym chciał mu pokazać: patrz, jaka twoja rodzina była, tu wszyscy wiedzą, żeście Żydów mordowali, tu każdy od pierwszego dnia, jak się tu sprowadziłem, mi przygaduje, a ty taki dumny jesteś, mówiłeś, że ja niegodny po świętej ziemi chodzić? To patrz, jaka twoja świętość! Patrz, jak ci Żydzi spod ziemi wychodzą! Tak mu chciałem przygadać. Prawdę w oczy rzucić i dlatego do pana dzwonię, żeby tę prawdę poznać, żeby mu dogryźć… Bo co, to moja rodzina albo mój grzech? Byłem kiedyś u niego pytać, jak to było z Żydami, to mnie do ściany z synami przyparł, kurwami zbluzgał i znowu tylko wypierdalać kazał. Tu wszyscy się go boją. I ja też teraz, jak do pana dzwonię.

Im dłużej z panem rozmawiam, tym bardziej, bo co, jak u mnie na gospodarce, znaczy tej teściowej, ciała ich znajdą, to przecież z rodziną będę się musiał stamtąd wyprowadzić… Bo kto będzie chciał tam żyć? Albo kto to ode mnie kupi? A tak, jak nieruszone? Jak niewykopane, to sprawy jakby nie ma… Zapomni się i już. Żona to rację miała, jak mi doradzała, by nie pytać o te sprawy. Trzeba było nie pytać. Niech mi pan obieca, że pan tu nie przyjedzie. Już słyszę, że pan chce przyjechać, ale niech mi pan obieca, że tego nie zrobi. Jak pan przyjedzie, to przecież wszyscy będą wiedzieć, że to ja pana przysłałem, że parę puściłem, żyć mi tu nie dadzą, a ja mam małe dzieci! Ktoś idzie, muszę kończyć… Zadzwonię kiedy indziej.

•

– Może to jednak źle, że starą sprawę poruszam, tak teraz myślę, tak jak dłużej z panem rozmawiam…

– Może jak przyjedziemy z georadarem, to coś wyjdzie?

– Żeby sensacji szukać?

– Żeby znaleźć grób tych zamordowanych ludzi i postawić im macewę.

– Tak, macewę na środku mojego podwórka!

– Ma pan ten grób na środku podwórka?

– No tak z boku trochę, ja mam duże podwórko, 12 budynków…

– Wie pan, ilu ludzi tam leży?

– Z tego, co się mówi tutaj, to kilkunastu.

– Może jednak przyjedziemy, zrobimy badania? Przecież to ludzie.

– Panie, ja mam dwoje dzieci! Nie dadzą mi tu żyć! Coraz bardziej myślę, że źle, że zadzwoniłem. A jak ich znajdziecie? Ekshumację zrobicie? Boże, jaki to wstyd będzie, na całą wieś! Teraz też gadają, ale to co, że gadają, że my Żydów nabili, skoro po cichu gadają, nikt mi w oczy nie powie, a jakby ekshumacja była, to strach-mogiła! A tak, jak nikt nie wie, że oni tam leżą, to spokój jest, nie ma o czym myśleć, przecież to nikt nie pamięta, we wsi wszyscy starzy, co to pamiętali, co się tu z Żydami wyprawiało, to już umarli. No tak, ja sam zadzwoniłem, ale teraz widzę, jak to panu opowiadam, że to chyba zły pomysł był, że tej prawdy lepiej nie ruszać. Ale wie pan… Bo to nie jedna taka historia była tu w okolicy, więcej było. Przecież w mieście więcej przed wojną było Żydów jak Polaków. Jest taki pan na rynku, zbiera rodzinne historie z miasteczka i macewy… tak się mówi na żydowskie nagrobki, prawda? Nie wiem, po co mu one, ale zbiera, historią się interesuje, a to przecież wszyscy wiedzą, że jego rodzina, jak tego mojego teścia, na żydowskim złocie utuczona. Czy zabijali? Nie wiem. Wiadomo, że majątki przejęli. Dam panu numer do jednego, co dużo wie… Muszę kończyć, ktoś idzie… Tylko niech mi pan obieca, że tu nie przyjedzie…

Jak się tu sprowadziłem w latach 90., to ludzie od razu gdzieś przy wódce gadali, że to rodzina, co Żydów zabijała.

Dzwonię na podany numer. Jarosław, autor bloga w jednej z miejscowości pod Łodzią, mówi, że idzie do domu, spaceruje i możemy spokojnie rozmawiać, nikt nie będzie słuchał.

– Mam dwie informacje – zaczyna. – Bo pan nie wie, ale ja przez 15 lat prowadziłem gazetę lokalną, od kilku lat jestem na emeryturze. Słyszałem o tym, bo kto by nie słyszał, wszyscy znają tę historię, ale obcemu, rzecz jasna, nic nie opowiedzą. Jest tu sad i ktoś mi mówił, jak zbierałem materiał do tekstu, że w tym sadzie pod każdym drzewem Żyd leży. No, ojciec tego sadownika ich zbierał i pod tymi drzewami zakopywał, bardzo się miał na tym wzbogacić. Po wojnie złotem szastał, a teraz jego syn jest elitą miasteczka, polityczną i biznesową, rodzina rządzi gminą. Drugi grób ma się znajdować nad brzegiem Wisły, nieopodal miasteczka. Ten grób to mogiła tych Żydów, którzy zostali zabici w czasie ewakuacji z getta w 1942 r. Zabijano słabszych i chorych, którzy nie nadążali za główną kolumną. Potem zebrano ciała i tam pochowano, ale nie wiem dokładnie. Byłem w radzie gminy, gdy prezydent Aleksander Kwaśniewski uchwalał tę ustawę o zwrocie mienia. Blady strach padł wtedy u nas, że co to będzie z domami, placami, przecież przed wojną dwie trzecie mieszkańców naszego miasteczka to byli Żydzi i do nich należała większość budynków. Od tego czasu, jak tylko ktoś w jarmułce się pojawiał, to na niego bykiem zaraz patrzyli, ale mało Żydów przyjeżdża, bo ilu ich przeżyło stąd wojnę… Garstka. Jako radny mówiłem strażakom, żeby napisali do jakiejś gminy żydowskiej, bo zajęli cmentarz żydowski pod remizę, żeby potem nieprzyjemności nie mieli, gdy gmina się obudzi, ale oni tylko śmiali się i mówili, że z Żydami gadać nie będą. Jest jeszcze jedna taka sprawa z naszymi Żydami. Jak ich wywozili z naszego miasteczka, to żandarmi ich pilnowali i strzelali, gdy im się który nie spodobał. To byli żandarmi niemieccy, tylko dziwne, że mieli takie polskie nazwiska… Na jednego z nich, żołnierza Narodowych Sił Zbrojnych, dziś mówią „wyklęty" i pomnik mu chcą stawiać, a on w żandarmerii niemieckiej służył i nie tylko Żydów, ale też Polaków zabijał. U nas Bataliony Chłopskie były, AK, no i NSZ. Byłem kiedyś na zebraniu koła tego NSZ i oni tam z jednego żołnierza NSZ bohatera robili, mówili, że NSZ go wysłał do żandarmerii niemieckiej na przeszpiegi. Bujdy, panie! Sam poszedł z przekonania, a jak nawet na przeszpiegi, to czy musiał strzelać do dziewczyny w ciąży? Bo wiado-

eprasa.pl 3efdd1c9f9

mo, że taką Helę zastrzelił, Polkę. Powiedziałem to wtedy głośno, potężna awantura była z tymi członkami NSZ.

– To ja, mogę rozmawiać. Chce pan, żebym podał nazwiska wszystkich sprawców mordów w naszym miasteczku? Nie, nie mogę. No niech pan nie naciska. No dobrze… Myślę, że mogła to być grupa ludzi, która tu pracowała… Myślę, że głównym prowodyrem był ojciec mojego teścia. Nie wiem, ile to trwało, może to było jednorazowe, ale coś się działo na pewno, bo słyszy się o tym we wsi. Ojciec teścia musiał mieć znajomych wśród Niemców. Teściowa mi tylko powiedziała, że byli Żydzi przechowywani u nas w piwnicy, a potem wywozili ich furmankami… Z tego, co mi powiedziała, to na bogactwie po Żydach najwięcej skorzystał ten brat mojego teścia, który został potem profesorem w Warszawie, ale więcej nie chciała powiedzieć. A jeszcze powiem panu, że ten teścia ojciec był wielkim politykiem przed wojną, jak na swoje czasy, siedział dwa lata w więzieniu za zamieszki, gdy się chłopi zbuntowali przeciwko komornikom, którzy przyszli zabierać im gospodarstwa za długi. Był przywódcą tych chłopów. Nie bardzo sobie umiem wytłumaczyć moją sytuację. Mój teść mówi, że ziemia, na której pracuje, jest święta, a ja mam takie przekonanie, że ta ziemia jest przeklęta. Myślałem, czy ci Żydzi są na tych 60 ha. Ale niech się pan postawi w mojej sytuacji: gdyby te ciała tutaj znaleziono… ja nie miałem z tym nic wspólnego, a ja mam dwójkę dzieci. Żeby ujawniać te groby, musiałbym poczekać, aż moje dzieci wyjdą z podstawówki, i dopiero wtedy ewentualnie…

Ktoś mówił, że w tym sadzie pod każdym drzewem Żyd leży. Ojciec tego sadownika po wojnie złotem szastał, a teraz jego syn jest elitą miasteczka.

Z akt IPN dowiedziałem się, że w 1950 r. jeden z wymienionych przez mojego rozmówcę mężczyzn został oskarżony o to, że w 1942 lub 1943 r. razem ze swym zięciem przechowywał Żyda Joska, który płacił im za ukrywanie. Gdy majątek się Żydowi skończył, mieli go zastrzelić, a zabójstwo zrzucić na nieznanych bandytów. Sąsiedzi nie bardzo dawali temu wiarę, ale polscy granatowi policjanci przyjechali rowerami, popatrzyli na trupa, machnęli ręką i kazali go zakopać. Dopiero po wojnie zaczęły się mnożyć anonimowe donosy na obu mężczyzn. Milicja wszczęła postępowanie, ale kiedy zaczęła wypytywać, nikt nie chciał zeznawać. W lutym 1951 r. milicja umorzyła dochodzenie.

Reportaż z książki Mirosława Tryczyka *Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć*, Znak Literanova, Kraków 2020

fn
1901
2021
19.02 piątek / 19:30
Chór
Filharmonii Narodowej
Bartosz Michałowski
dyrygent, dyrektor chóru
Jakub Pankowiak
organy
transmisja internetowa
→ filharmonia.pl
Organizator
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Widor / Fauré
A. Becker / Poulenc
Eben / Kreek
2020 / 2021
Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko
Filharmonia
Narodowa

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Smog moralny

Do szkoły nr 34 chodziłem całe szkolne życie, od pierwszej klasy do ostatniej. Budynek wzniesiono w połowie lat 50., ma dwa skrzydła, podstawowe i licealne, połączone podziemnym korytarzem (teraz ten korytarz zagracono i zamurowano). Na taśmę mojej pamięci nakręcona jest scena: pierwszy dzień szkoły, stoję w tym podziemnym korytarzu, jesteśmy ustawieni parami, niepewny i zagubiony wołam do nauczycielki: „Czy to pierwsza a?". Poczucie zagubienia będzie mi towarzyszyć całe życie, jest ze mną też teraz. Los obdarzył mnie nędzną pamięcią, jaki pech, mój ojciec miał pamięć świetną, znał całą polską poezję. Słaba pamięć jest udręką mojego życia, nie tylko szkolnego, potem nauczyłem się z tym funkcjonować, jak można nauczyć się funkcjonować bez jednej ręki. Ta moja szkoła to Polska Ludowa, jej ograniczenia i ta do dzisiaj smuta polskiej edukacji. Nieszczęśliwi, sfrustrowani, często zdziwaczali nauczyciele, sztywny program, polityczna indoktrynacja, ale z tym jakoś sobie dawaliśmy radę. I zawsze zdarzali się nauczyciele niezwykli. Taką była Ewelina Lipko-Lipczyńska, dla nas Ewa, piękna jako kobieta, piękna jako człowiek; uczyła polskiego, mądra, lubiąca swoich uczniów. To była ulga te lekcje. W Marcu '68, podczas studenckich manifestacji, miała na lekcji płomienne wystąpienie w obronie studentów, z oburzeniem mówiła o antysemickiej kampanii, o kłamstwach. Mieliśmy kolegę, chorobliwego antysemitę, więc kampania antysemicka była mu bliska, na polskim siedziałem z nim w jednej ławce, słyszałem, jak szepce: „Co za odwaga".

Ewy nie wyrzucono ze szkoły. Sama odeszła. Wyrzucono za to z posady dyrektora Redlicha, miał złe pochodzenie. A pani Lipko wyjechała na stałe z Polski, nie miała złego pochodzenia, więc zawarła fikcyjny ślub z kimś, kto wyjeżdżał (w czasie wojny jej rodzina ratowała Żydów). Funkcjonariusze SB dziwili się: „Czemu pani wyjeżdża? Sprawdziliśmy, nie ma pani żydowskich korzeni". Wyjechała do Szwecji. Kiedy więc w latach 90. byłem w Sztokholmie dyrektorem Instytutu Polskiego, spotykaliśmy się, oboje już w innych rolach. Ze swoją córką, historykiem sztuki, zaczęła zbierać obrazy i stworzyła niezwykłą kolekcję, którą potem przekazała bodaj Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Już od dawna jej nie ma, ale żyje w moim sercu i w pamięci, też ten jej charakterystyczny przechył głowy, gdy mówiła, jakby łagodnie czesząc słowa.

Odwiedzam teraz dyrektorkę szkoły, chcę się spotkać z minionym czasem. W tym gabinecie rezydował kiedyś dyrektor Redlich; miejsce owiane grozą, był dyrektorem dyktatorem, bali się go uczniowie i nauczyciele. Ewa opowiadała mi, że w 1968 r. nauczyciele rzucili się na niego i go zagryźli, ale wyleciał z posady za wspomniane złe pochodzenie. Opowiadała, że liczył na to, że kiedyś jeszcze wróci, że im pokaże. Nad drzwiami sali, gdzie Ewa uczyła, wisi teraz upamiętniająca ją tabliczka. Szukam dawnych śladów. Wzrusza mnie szczegół, poręcze przy schodach, parapet, na którym graliśmy w cymbergaja. Patrzę jak niegdyś z okna na dziedziniec – na postumencie, na którym stała głowa patrona szkoły gen. Świerczewskiego, teraz głowa obecnego patrona, Cervantesa. A ścięta po 1989 r. głowa generała trafiła do Kozłówki, gdzie zgromadzono „słuszne" pomniki z tamtej epoki.

•

PiS chce wbić nóż w brzuch wolnych mediów. Czekaliśmy, z której strony przyjdzie cios. I już wiemy. Reklamy. A na razie telewizja reżimowa rusza z kampanią nienawiści wobec Macieja Stuhra, bo powiedział: „Zastanawiam się nad tym, na ile mamy jeszcze siły, czy nam się jeszcze chce walczyć o ten kraj. Jeśli mam szczerze odpowiedzieć, jaka była moja pierwsza myśl, to była ona taka: czy mnie się jeszcze w ogóle chce być patriotą? Czy mam w sobie wystarczająco dużo determinacji, by toczyć bój o sprawy, o które w mojej opinii walczyć trzeba? Czy zostawić to innym? Bo ileż można się kopać z koniem?".

Z kraju wyjadą tysiące młodych, z powodów nie ekonomicznych, ale moralnych. Z powodu niesmaku i oburzenia.

Przy okazji od razu padają nazwiska Jandy i innych artystów, zwanych przez reżimową propagandę celebrytami, to ludzie obcy duchem. Swoi i obcy, niezwykle ważne pojęcia dla prawicy narodowej. Swój to abp Jędraszewski, ojciec dyrektor, a nie jakaś Janda. I ciągle to marzenie o wymianie elit. Jak stworzyć nowego Polaka, prawicowo-narodowego. Zanurzony w Norwidzie śledzę jego nieustanne zmaganie z polskością, próby znalezienia nowej, bardziej nowoczesnej formuły Polaka. To, co nam proponuje dziś PiS, to jakaś karykatura. „Polak jest jak olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł – jesteśmy karykatury i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi", pisał Norwid. Stuhr nie wyjedzie z Polski, jestem pewien, nadal będzie się kopał z koniem czy raczej z osłem. Ale wyjadą tysiące młodych i to będą ludzie szczególnie wartościowi, wyjadą z powodów już nie ekonomicznych, ale moralnych. Z powodu niesmaku, oburzenia, smogu moralnego, jaki wisi nad Polską.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Marka Tyrol do stworzenia na nowo

Tyrol się zamyka, choć mieszkańcy nie chcą się zgodzić z krytyką, że zlekceważyli niebezpieczeństwo COVID-19

Beata Dżon-Ozimek

Dla czego bije twoje serce, pyta agencja reklamowa odpowiedzialna za oficjalny wizerunek turystyczny Tyrolu. Dla zaśnieżonego stoku, skrzypiących desek czy promiennej twarzy gościa? Dla miejsca, w którym zwyczajnie cieszysz się chwilą? O miłości do regionu opowiadają w idyllicznych obrazkach z austriackiego Tyrolu jego mieszkańcy. Ale i o tym, że czasami chwila wywraca życie do góry nogami.

Rok temu życie regionu wywrócił koronawirus. Pierwsze infekcje w Austrii wykryto w hotelu w Innsbrucku już w lutym, potem pojawiły się masowe zarażenia w Ischgl, wynoszone z baru Kitzloch we wszystkich kierunkach. Odtąd region nosi też przydomek „Tirol-Virol". Tu niestety rok temu znalazło się centrum roznoszenia koronawirusa na Austrię i Europę. Mimo ostrzeżeń lekarzy do połowy marca czekano z zamknięciem stoków i hoteli. Rządzący landem zapewniali: „Zrobiliśmy wszystko dobrze", co podważyła później komisja śledcza badająca zarządzanie kryzysem epidemicznym w Tyrolu. Tylko kilka rozsądnych politycznych głosów przyznało, że katastrofa zachorowań i późniejsza izolacja landu były spowodowane błędnymi decyzjami, wymuszanymi przez lobby turystyczne i właścicieli wyciągów. Dodawano, że nigdy więcej to się nie powtórzy. Ale „nigdy więcej" nie trwało długo.

Turystyka jest w Tyrolu uważana za świętą, daje prawie 18% PKB regionu.

Brukowce i nizinne mądrale

Turystykę uważa się tu za świętą, daje ona prawie 18% tyrolskiego PKB. Ze średnim dochodem brutto w wysokości 27 312 euro rocznie Tyrol zajmuje drugie od końca miejsce w Austrii. Ponadto niemal połowa pracowników, tj. 47%, jest zatrudniona w niepełnym wymiarze godzin.

Krytyka nie jest tu mile widziana. Region od początku pandemii pojawia się w mediach w negatywnym świetle, a górale są wrażliwi na złe słowo, zwłaszcza od „nizinnych mądrali" z Wiednia. Tymczasem po roku, podczas lockdownu, turystów znów witały otwarte szkółki narciarskie w Jochbergu i wyciągi narciarskie w Zillertalu, do Arlbergu przyjeżdżali weekendowi i imprezowi turyści. Trudno się dziwić, że w prasie pojawiały się negatywne nagłówki. Mówienie o naruszaniu ograniczeń i niewłaściwym postępowaniu uznawane było za „biczowanie" Tyrolczyków. Krytyczne środki przekazu, takie jak dzienniki „Kurier" czy „Der Standard", przedstawiano jako brukowce.

W minionym roku na odsiecz regionowi serca Alp ruszyli znani Tyrolczycy, m.in. szef tyrolskiej Caritas, a także aktor wiedeńskiego Burgtheater, Tobias Moretti. Zarzucał innym państwom brak solidarności, a „drobne błędy" niektórych krajan uznał za „wybaczalne". W ramach podniesienia samopoczucia Tyrolczykom rząd landu z ÖVP zaproponował pozytywną kampanię wizerunkową „Tyrol trzyma się razem" (*Tirol haltet zsamm*) za 200 tys. euro.

„Błędy" zdarzają się również w innych regionach, choćby w Salzburgu 152 uczestników kursu instruktora narciarstwa w Pongau musiało się poddać kwarantannie. Wśród tych, którzy mieli wynik pozytywny, było dwóch Brytyjczyków, a brytyjska mutacja koronawirusa została wykryta w ściekach Salzach-Pongau. Mutant został znaleziony w 54% pozytywnych próbek przebadanych na początku stycznia. Na 109 szybkich testów 29 było pozytywnych, potem ich liczba wzrosła. „To są prawdziwi instruktorzy narciarstwa. Nie grupa wycieczkowa, ale grupa szkoleniowa", zapewniali urzędnicy z landu Salzburg.

Tyrol przez dwa tygodnie pod koniec stycznia gościł też 80 żołnierzy 1. Batalionu Piechoty Grenadierów z Leopoldsburga, elitarnej jednostki

eprasa.pl 3efdd1c9f9

belgijskiej. Byli na obozie szkoleniowym. W ojczyźnie żołnierzy wzywa się do całkowitego powstrzymania od jazdy na nartach, ale w Tyrolu mogli to robić. Michael Bauer, rzecznik austriackich Federalnych Sił Zbrojnych, zapewniał, że żołnierze pozostawali na poligonie lub w koszarach. To wszystko w ramach Mountain Training Initiative, europejskiego projektu pod kierownictwem austriackich sił zbrojnych, którego celem jest zsynchronizowanie szkolenia w walce górskiej. W tyrolskim Jochbergu zaś uczyła się nieformalna grupa adeptów narciarstwa, nie wiadomo, czy legalna, choć kursy nie są zabronione. W Sankt Anton z kolei przebywało dziesiątki Skandynawów i Brytyjczyków, którzy zapewne oficjalnie przybyli w celach zawodowych, by móc się zameldować i uzyskać nocleg. Mówi się o „kombinacjach alpejskich" w kwestii organizacji pobytu oraz o instrukcjach, co robić, by policja nie mogła niczego turyście zarzucić. Policja w Sankt Anton ustaliła, że *après-ski* czasami odbywa się np. w stodole z sianem, przy puszkach piwa z marketu.

Byleby kasa wpadała

W Tyrolu niektórzy zachowywali się tak, jakby chcieli znowu zapewnić regionowi pierwszeństwo w liczbie zakażonych. Zamożni właściciele zamkniętych hoteli i ośrodków wracali z wakacji w RPA z południowoafrykańską mutacją wirusa. Została wykryta w co najmniej siedmiu przypadkach w Zillertalu oraz Innsbrucku, a 21 innych przypadków jest wyjaśnianych. Także w powiecie Schwaz i sąsiednim Münster w 80% przypadków odnotowano odmianę południowoafrykańską. Brytyjscy goście przywieźli własny szczep koronawirusa. Policja rozwiązała imprezę 20 studentów w Innsbrucku, a mimo to część tyrolskiej branży hotelarskiej bez skrupułów oferowała pokoje lub mieszkania jako stałe lokum albo turyści „podróżowali służbowo". W międzyczasie koszty stałe i utracone dochody przedsiębiorstw hotelarskich zostały przejęte przez państwo, więc można było przeczekać bez otwierania stoków i drzwi.

Tyrol tęskni za rosyjskim gościem sprzed nałożenia sankcji na Rosję i sprzed pandemii. Obok Wiednia to najchętniej odwiedzany przez zamożnych Rosjan region w Austrii, tutaj też Rosjanie inwestują w nieruchomości. W prasie pojawiają się informacje, że wyciągi zostają otwarte, a sporo „królów wyciągów" nie płaci podatków, „ponieważ ponoszą straty na coraz to nowych rozbudowach hoteli". „Królowie" hoteli i wyciągów rządzą najdroższymi ośrodkami turystyki narciarskiej, takimi jak Ötztal, Ischgl, Zillertal, Kitzbühel i Arlberg, tym samym mają pod kontrolą Tyrol i lokalną politykę, uważają niektóre media. Walter Müller ze „Standardu" pisze, że to oni „tworzą feudalny obraz moralności, który tylko sami Tyrolczycy mogliby zmienić". Bo zwykły mieszkaniec nie korzysta z turystyki, nie jest zamożny, słabo zarabia. Raczej cierpi z powodu konsekwencji. A te będą poważne, bowiem od 12 lutego Tyrol jest zamknięty. Kto nie ma testu nie starszego niż 48 godzin, nie wyjedzie stąd ani nie wjedzie. Do kontrolowania zmobilizowano 1200 żołnierzy i policjantów. W przypadku braku testu grozi kara do 1450 euro. Dotyczy to także osób regularnie przekraczających granicę, w tym dojeżdżających do pracy, ale nie transportu tranzytem. Intensywna kontrola ma trwać 10 dni, a być może do połowy marca.

Niewątpliwie ci, którzy uważają Tyrolczyków za odpornych na krytykę, a narciarskie lobby za niechętne do przeprosin za błędy, nie zechcą zrozumieć faktycznych problemów regionu.

Wnioski z kryzysu

Trwa konflikt pomiędzy Wiedniem, czyli kanclerzem Sebastianem Kurzem, a szefem rządu Tyrolu z ÖVP, Güntherem Platterem w sprawie naruszania lockdownu. Czy kryzys doprowadzi do pojawienia się nowego sposobu myślenia w turystyce. „Marka Tyrol" musi zostać przeanalizowana i przedstawić inteligentne oferty, mówi dr Andreas Braun, który postawił tę markę na nogi w latach 1974-1989. Pod jego okiem powstała inteligentna kampania regionu. Obecny dyrektor Tirol Werbung, Florian Phleps, wyjaśnia, jak niesprawiedliwie jest traktowany Tyrol, i zapewnia, że przyjmuje głosy krytyczne. Ale nie rozmawia ze wspomnianym dziennikiem „Der Standard". Były wicenaczelny regionalnego „Tiroler Tageszeitung", Peter Plaikner, potwierdza, że Tyrolczycy mają „wielkie trudności w porównywaniu obrazu innych i siebie", jakby z podejrzeniem, że „Tyrolczycy są potęgą tylko w Tyrolu". A w tej dyskusji chodzi przecież o coś zupełnie innego. O zdrowie, czasem życie; o przyszłość.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

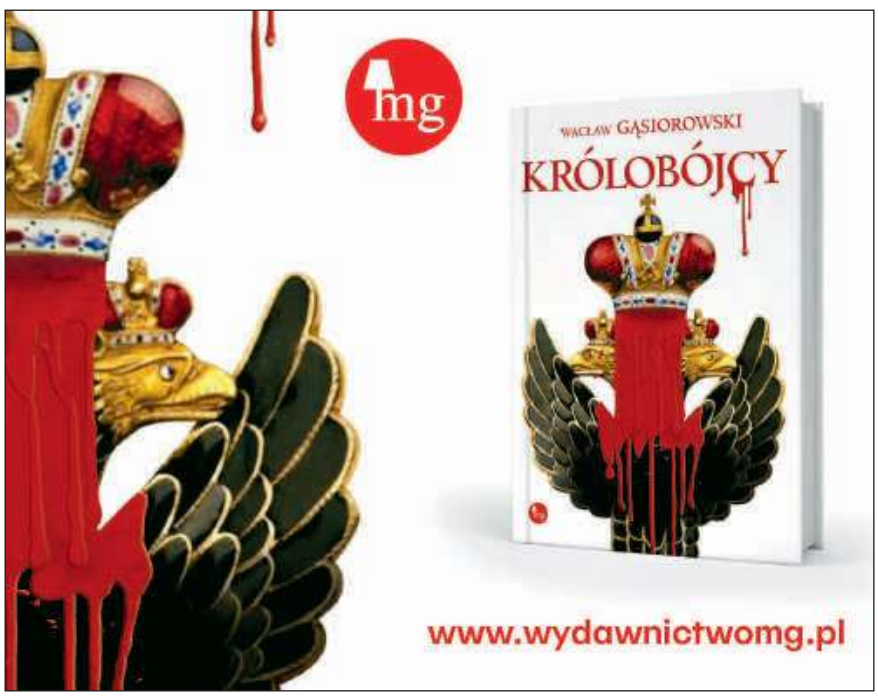

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Portugalia na intensywnej terapii

Lekarze decydują o życiu i śmierci, muszą wybierać, których pacjentów leczyć

Tomasz Skowronek

W piątek 29 stycznia przed szpitalem Santa-Maria w Lizbonie czekało 30 karetek. Poprzedniego dnia – prawie 40. Ciężko chorzy leżeli w karetkach przez wiele godzin, a ci w lepszym stanie czekali w kolejkach.

– Naprawdę nie wierzyłem, że coś takiego może się wydarzyć w Portugalii: pacjenci chodzili od drzwi do drzwi, aby znaleźć szpitali który ich uratuje – powiedział reporterowi „New York Timesa" Tomás Lamas, lekarz, który pracuje na oddziałach intensywnej terapii dwóch szpitali w Lizbonie. Lekarze decydują o życiu i śmierci, muszą wybierać, kogo leczyć. – Trzy miesiące temu przyjmowaliśmy na oddziały intensywnej terapii pacjentów w podeszłym wieku i z przewlekłymi chorobami, ale teraz nie są oni brani pod uwagę – ubolewa Lamas.

Licząca 10 mln mieszkańców Portugalia znalazła się w ogniu najgorszego kryzysu pandemii. Tylko w styczniu zanotowano tam 5576 zgonów związanych z koronawirusem.

Paraliż szpitali

By zobrazować rozmiary kataklizmu, przypomnijmy, że wiosną kraj był jednym z tych, które najlepiej poradziły sobie z pandemią – rekordowa liczba zakażeń to 800 dziennie. Natomiast przez prawie cały styczeń codziennie rejestrowano od 10 do nawet 16 tys. nowych pacjentów z COVID-19. Prawie połowa przypadków pochodzi z regionu Lizbony. W ostatnich tygodniach Portugalia ma najwyższy na świecie wskaźnik zachorowań (16,8 tys. na 1 mln osób) i śmiertelności (340 zgonów na 1 mln). Liczby te znacznie przewyższają wskaźniki z Wielkiej Brytanii (6,5 tys. zachorowań i 250 zgonów) czy Stanów Zjednoczonych (odpowiednio 6,9 tys. i 131). Również w sąsiedniej Hiszpanii jest lepsza sytuacja (10,5 tys. zachorowań i 107 zgonów na 1 mln).

– Jesteśmy zdesperowani – mówi Luís Miguel Janeiro Mós, regionalny prezes Sindepor, portugalskiego związku pielęgniarek. – Napięcie i stres są ogromne. Żyjemy w strachu, że popełnimy błąd.

Wiele placówek z okolic Lizbony i Sintry przyjmuje prawie trzy razy więcej pacjentów z covidem, niż teoretycznie są w stanie. Z braku wystarczającej ilości tlenu kilkudziesięciu pacjentów musiało zostać przeniesionych do innych szpitali. Jak donosi dziennik „Público", oddziały intensywnej terapii są przepełnione. Z powodu paraliżu szpitali dramatycznie wzrosła liczba zgonów na covid w domach. Jak podało ministerstwo zdrowia Portugalii, tylko w styczniu w domach zmarło 324 zarażonych, podczas gdy od marca do grudnia ub.r. – 287 osób.

System ochrony zdrowia z takim trudem zmaga się z trzecią falą covidu, ponieważ jest osłabiony przez politykę oszczędności i cięć budżetowych, które towarzyszyły ostatniemu kryzysowi gospodarczemu. Brakuje też personelu medycznego. Duża część lekarzy, pielęgniarek i ratowników medycznych wyemigrowała do Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii. Jorge Roque da Cunha, sekretarz generalny Niezależnego Związku Lekarzy, uważa, że covid poddał surowej próbie system opieki zdrowotnej, który nie został wzmocniony wraz z poprawą kondycji gospodarki. Jak podkreśla w rozmowie z „El País", zapóźnienia inwestycji w sprzęt można liczyć w dziesiątkach lat, a pracujący po wiele godzin lekarze są u kresu sił. Brak personelu nie dotyczy tylko szpitali. Na ratunek domowi opieki Lar Maria Luísa w Vila Nova de Cerveira, gdzie wszyscy mieszkańcy i pracownicy zostali zarażeni, wysłano studentów i pielęgniarki wolontariuszki.

Skutki świątecznego rozluźnienia

– Sytuacja jest zła – przyznał pod koniec stycznia premier António Costa w wywiadzie dla telewizji TVI. – Zaobserwowaliśmy wykładniczy wzrost liczby nowych przypadków, co prowadzi do nowych hospitalizacji, a to z kolei powoduje gigantyczną presję na państwową służbę zdrowia – powiedział, dodając, że z pewnością będzie to trwało kilka tygodni.

Aby zaradzić tej sytuacji, socjalistyczny rząd 15 stycznia pod hasłem *Fiquem em casa* (Zostańcie w domu) zatwierdził przedłużenie stanu wyjątkowego wraz z nowymi ograniczeniami, w tym zakazem wyjazdów mieszkańców za granicę, chyba że istnieje ku temu bardzo ważny powód. Przywrócono też kontrole graniczne i zawieszono połączenia kolejowe z Hiszpanią. Otwartych na stałe jest tylko osiem przejść granicznych, sześć kolejnych otwieranych jest co godzinę dla kierowców ze specjalnymi zezwoleniami, np. dla dojeżdżających do pracy lub rolników uprawiających pola za granicą.

Portugalczycy spotykali się, aby świętować Boże Narodzenie, i w ciągu zaledwie kilku dni nastąpił wzrost zachorowań.

Zamknięto sklepy z wyjątkiem tych z artykułami pierwszej potrzeby, wielu pracowników wysłano do obowiązkowej pracy zdalnej. W Lizbonie opustoszały ulice. Aby odstraszyć spacerowiczów, policja patroluje drogi wzdłuż promenady nad rzeką Tag.

„Jeśli sytuacja się nie poprawi, Portugalia ryzykuje, że stanie się tym, czym Bergamo we Włoszech podczas pierwszej fali covidu, w marcu zeszłego roku – symbolem niepowodzenia Europy w udzieleniu skutecznego

eprasa.pl 3efdd1c9f9

28 stycznia przed szpitalem Santa-Maria w Lizbonie czekało 40 karetek.

wsparcia krajowi członkowskiemu w rozpaczliwej potrzebie – pisała na portalu Politico profesor nauk politycznych Susana Peralta. – Żeby było jasne: ten kryzys jest naszą winą. Rząd Portugalii, któremu brakuje środków, popełnił krytyczne błędy w postępowaniu z pandemią i zdecydował się nadać priorytet rozwiązaniom krótkoterminowym. Podczas gdy reszta Europy zamykała restauracje i kawiarnie, nasze mogły działać w niepełnym wymiarze godzin. Obiekty sportowe, zakłady fryzjerskie i sklepy były otwarte aż do 15 stycznia".

Faktycznie wiele krajów wprowadziło *lockdown* znacznie wcześniej, już w listopadzie. Portugalia zostawiła restauracje otwarte i wprowadziła zakaz wychodzenia z domu bez wyraźniej potrzeby między godz. 23 a 5 rano w dni powszednie. Środki te zniesiono w Boże Narodzenie, aby umożliwić Portugalczykom spędzenie sylwestra z rodzinami, przy jednoczesnym przestrzeganiu zasad sanitarnych. – Pod koniec roku i w okresie świąt mieliśmy bardzo wysoką zachorowalność – wskazuje epidemiolog Manuel Carlo Gomes, profesor z Uniwersytetu Lizbońskiego i członek komisji ds. szczepień Dyrekcji Generalnej ds. Zdrowia. – Portugalczycy spotykali się, aby świętować Boże Narodzenie, i w ciągu zaledwie kilku dni nastąpił duży wzrost liczby kontaktów. Jednocześnie ludzie lekceważyli objawy choroby i nie chodzili do lekarza.

Dodatkowo w tym czasie pojawił się brytyjski wariant koronawirusa. Władze portugalskie są przekonane, że kryzys został pogłębiony przez szybkie rozprzestrzenianie się właśnie tego wirusa. – Najprawdopodobniej został on przywleczony do kraju przez Portugalczyków pracujących na Wyspach Brytyjskich, którzy wrócili do domu na Boże Narodzenie – mówi Pedro Siza Vieira, minister gospodarki w rządzie premiera Costy. – Mamy dowody, że to wariant brytyjski odpowiada za ponad połowę nowych przypadków, szczególnie w rejonie Lizbony i doliny Tagu. Niemcy wstrzymały ruch lotniczy z Wielką Brytanią 20 grudnia. Jednak turyści i Portugalczycy mieszkający w Anglii nadal bez przeszkód podróżowali do naszego kraju. Dopiero 23 stycznia Portugalia wstrzymała przyjmowanie samolotów z Wielkiej Brytanii i z Brazylii, gdzie pojawiła się kolejna mutacja. Także dopiero pod koniec stycznia zamknięto szkoły i uczelnie.

Eksport pacjentów

Sytuacja stała się na tyle poważna, że rząd część chorych wysyłał na Maderę i poprosił o pomoc międzynarodową. 3 lutego wylądował w Portugalii zespół medyczny z Niemiec. Berlin dostarczył również 50 respiratorów i 150 łóżek. Austria zaproponowała przyjęcie 10 pacjentów. Podobną liczbę przyjął szpital w Vigo w hiszpańskiej Galicji.

Wydaje się, że blokada nałożona 15 stycznia w kontynentalnej części kraju powoduje ograniczenie transmisji wirusa, ale nadal liczba zakażeń jest duża – 6 lutego zanotowano ich 6132. Liczba zgonów i pacjentów przyjmowanych do szpitali również powoli się zmniejsza. – Jest trochę lepiej, ale jeśli odblokujemy się tak jak poprzednio, wrócimy do tego samego – powiedziała 60-letnia pielęgniarka Graça Fonseca w rozmowie z korespondentem Agencji Reutera.

Chociaż premier Costa podkreśla, że blokada przynosi efekty, minister zdrowia Marta Temido ostrzega opinię publiczną, że do zakończenia kryzysu jeszcze daleko. – To będą kolejne bardzo trudne tygodnie dla szpitali, zwłaszcza dla oddziałów intensywnej opieki medycznej – powiedziała. Władze widzą nadzieję w szczepionkach. Na razie dwie dawki szczepionki dostał niecały 1% Portugalczyków, aby osiągnąć odporność populacyjną, musi się zaszczepić jeszcze 69% obywateli. Plan zakłada osiągnięcie 70% szczepień pod koniec lata. – Jeszcze mamy przed sobą tę zimę, mamy jeszcze wiosnę, lato, a ludzie są szczepieni każdego dnia. Tylko od nas samych zależy, jak przejdziemy ten ciężki czas – podkreśliła. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Zachód zamyka meczety

Stratedzy z ISIS wiedzą, że w czasach zarazy nie będzie im łatwo bez wsparcia „swoich ludzi" w europejskich meczetach

Chrystian Ślusarczyk

Miniony rok zapamiętany zostanie jako czas walki z nowym wrogiem. Wiosną pandemia i jej tragiczne następstwa zepchnęły na dalszy plan informacje o działaniach dżihadystów z tzw. Państwa Islamskiego czy zradykalizowanych mieszkańców świata Zachodu. Mało tego, wirus zaczął zapewniać nam… bezpieczeństwo. Pandemia COVID-19 przestraszyła terrorystów. Wielu z nich nie decydowało się, tak jak wcześniej, na przenikanie z Bliskiego Wschodu na Zachód. Większość bała się, że w razie zakażenia nie dostanie pomocy lub hospitalizacja zakończy się zdemaskowaniem. Strach terrorystów szybko jednak ustąpił poczuciu, że w pewnym sensie są oni wyręczani przez pandemię. Od Syrii, przez Bałkany, aż po Wyspy Brytyjskie COVID-19 zaczął być nazywany żołnierzem Allacha. Bronią, która dziesiątkuje społeczeństwa zachodnie.

Bliskowschodnie media zaczęły się naigrawać z amerykańskich i europejskich nakazów zakrywania twarzy. „Kpili sobie z nikabów, które noszą nasze kobiety – teraz sami takich używają", grzmiały arabskie media.

Nowe zagrożenie, stary strach

Z czasem dowiadywaliśmy się, że wirus stanowi zagrożenie głównie dla starszych, 20- i 30-letni „żołnierze Allacha" poczuli, że mogą wracać do codzienności. Jeszcze bardziej wzmocnił się trend, by ataki na Europę Zachodnią pochłaniały jak najmniejsze środki finansowe. Najważniejsze było pokazanie, że w roku 2020 Zachód musi się liczyć z podwójnym zagrożeniem: pandemią i terroryzmem islamskim. Terroryści zdecydowali się więc przydzielić dodatkowe zadania meczetom w zachodnioeuropejskich miastach.

Francuskie władze zdecydowały się zamknąć meczet w Pantin za nawoływanie do rozprawienia się z nauczycielem, który pokazał karykatury Mahometa.

Latem i wczesną jesienią ub.r. we Francji działało ok. 3 tys. miejsc muzułmańskiego kultu religijnego. W ilu z nich radykalni imamowie nawoływali do rozprawienia się z niewiernymi, służby miały mgliste pojęcie. Mimo że władze coraz skuteczniej radziły sobie z pandemią i coraz więcej środków przeznaczały na zatrzymanie islamskiego terroryzmu, nie udało się zapobiec tragedii. Pod koniec października 2020 r. bestialsko zamordowany został nauczyciel historii Samuel Paty, który pokazał uczniom karykatury Mahometa. Raporty służb potwierdzały, że za zamachem stoją radykalizujące się środowiska ze znanych francuskich meczetów.

Minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin nie miał wątpliwości. W obliczu tej tragedii należało nakazać zamknięcie Wielkiego Meczetu w Pantin pod Paryżem, za zamieszczenie na Facebooku, jak wyjaśnił, wideo wymierzonego w nauczyciela. Władze rozpoczęły zakrojoną na szeroką skalę akcję nalotów na dziesiątki meczetów, szkół koranicznych i stowarzyszeń muzułmańskich. Wszczęto trwające do dziś postępowania mające wskazać źródła finansowania wielu meczetów. Badane jest pochodzenie imamów, jak również cel ich pobytu we Francji – w wielu przypadkach nie do końca jasny. Gdy zamykano Wielki Meczet w Pantin, władze wskazały 78 innych świątyń, które w każdej chwili mogą zaprzestać działalności. Dziś takich „niepewnych meczetów" jest ok. 100.

Terroryści przydzielili dodatkowe zadania meczetom w zachodnioeuropejskich miastach.

Sąsiednia Belgia już wiosną 2020 r. została szczególnie dotknięta koronawirusem. Latem i wczesną jesienią pandemia osłabła, za to powrócił stary problem zagrożenia terrorystycznego. Zdecydowanie bardziej ze strony „swoich niezintegrowanych" niż przybyszów z Bliskiego i Środkowego Wschodu.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Belgowie długo nie mogli się otrząsnąć po tym, co wydarzyło się w ich stolicy w marcu 2016 r. Na brukselskim lotnisku Zaventem oraz przy jednej ze stacji metra w serii zamachów zginęły 32 osoby. Były to najkrwawsze akty terroru w historii kraju. Władze dmuchają więc na zimne i robią wszystko, by zniweczyć ewentualne plany kolejnych ataków. Takie widzenie rzeczywistości legło u podstaw decyzji Brukseli, która cofnęła wniosek o uznanie za miejsce kultu religijnego Wielkiego Meczetu, znajdującego się w dzielnicy unijnej, ok. 200 m od siedziby Komisji Europejskiej. Zdaniem belgijskich służb meczet – Belgijskie Centrum Islamu i Kultury – został zinfiltrowany przez marokańskich szpiegów: trzech jego pracowników, w tym dyrektora (nie włada ani francuskim, ani flamandzkim).

Od zamachu w 2016 r. władze belgijskie zaczęły baczniej się przyglądać meczetowi. Dwa lata później rząd zakończył dzierżawienie go Arabii Saudyjskiej z powodu obaw o radykalizację osób uczęszczających do świątyni. Ogłosił wtedy, że chodzi o „koniec zagranicznych wpływów na islam w Belgii".

Austria zamyka, Grecja otwiera

W ostatni przed jesiennym lockdownem listopadowy wieczór, kiedy tłumy wyległy na ulice wiedeńskiej starówki, samotny strzelec otworzył ogień z karabinu maszynowego. Zabił pięć osób, ranił aż 23. Zastrzelony przez policję napastnik został zidentyfikowany jako sympatyk tzw. Państwa Islamskiego. 20-letni muzułmanin Kujtim Fejzullahu, obywatel Austrii i Macedonii Północnej, o korzeniach kosowskich, urodził się w Mödling niedaleko Wiednia. I okazał klasycznym przykładem niezintegrowanego ze społeczeństwem zachodnim młodego człowieka z obrzeży Starego Kontynentu. Niezintegrowanego podwójnie, bo 20-latek brał udział w programie deradykalizacji prowadzonym przez stowarzyszenie DERAD.

Cztery dni po ataku w Wiedniu austriackie władze zdecydowały, że dwa meczety – w Ottakring (Melit-Ibrahim-Moschee) i Meidling (Tewhid-Moschee) – zostaną zamknięte. Jak podały służby, ich działalność przyczyniła się do radykalizacji napastnika. Obie świątynie były odwiedzane nie tylko przez Kujtima, ale także przez innych zdeterminowanych islamistów, z których kilku miało epizod walki w szeregach ISIS na froncie syryjskim.

Decyzję o zamknięciu dwóch austriackich meczetów oraz wydaleniu z kraju 60 finansowanych przez Turcję imamów ostro skrytykował prezydent Recep Tayyip Erdoğan. Jego zdaniem zamykanie meczetów doprowadzi świat do wojny między krzyżem a półksiężycem.

Ale gdy Europa Zachodnia zamyka znaczące dla tamtejszych muzułmanów świątynie, władze Grecji pod koniec 2020 r. z pompą otworzyły w Atenach nowy meczet. Według wielu mediów to pierwsza w greckiej stolicy muzułmańska świątynia, jednak meczet działał tu już 200 lat temu, w czasach imperium osmańskiego. Od dziesięcioleci w Atenach mieszkają Pakistańczycy, Syryjczycy i sąsiedzi z Albanii oraz Kosowa. Szacuje się, że dziś żyje w mieście ok. 250 tys. muzułmanów. Od lat liczyli, że za środki z greckiego budżetu otrzymają swoje miejsce kultu. I doczekali się. Natomiast mieszkańcy Aten i ogromna większość prawosławnych Greków robili wiele, by taka świątynia nie powstała. Ich sprzeciw wzrósł, gdy okazało się, że Turcy zamienili dawną bizantyjską świątynię Hagia Sophia w meczet.

Grecja jest pełna obaw, że nowy meczet może się okazać tym, czym są (były?) Wielkie Meczety w Paryżu czy Brukseli. Szczególnie że parki, zarówno Aten, jak i wielu greckich wysp, zapełniają dziś tysiące imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Grecy mają nadzieję, że otwarty na Boże Narodzenie meczet będzie wolny od wszelkich radykalizmów. Ale strach i niepewność pozostaną.

Nad Wisłą bez zmian

Mimo postępującej globalizacji, otwarcia granic i wyrównywania poziomu życia muzułmanie w Polsce to wciąż środowisko wolne od radykalizacji. Nic nie wskazuje, aby to się zmieniło. Nic też nie wskazuje, by któryś z pięciu wolno stojących meczetów w naszym kraju miał zostać z jakiegoś powodu zamknięty. Mało tego, cenny obiekt sztuki tatarskiej, XVIII-wieczny, najstarszy w Polsce meczet w podlaskich Kruszynianach, został niedawno gruntownie wyremontowany. Ewentualne zagrożenie może się pojawić jedynie z powrotami zradykalizowanych Czeczenów biorących udział w wojnie w Syrii po stronie ISIS. Przebywający u nas Syryjczycy to nieliczna grupa imigrantów. Wielu ma status uchodźcy. Nie wszyscy są muzułmanami.

Francuskie władze rozpoczęły akcję nalotów na dziesiątki szkół koranicznych i stowarzyszeń muzułmańskich.

A Europa Zachodnia wciąż pozostaje na celowniku dżihadystów. Z powodu ataków we Francji i Austrii w tym pierwszym kraju zaproponowano istotne zmiany w prawodawstwie. W wielu krajach „starej Europy" zaczęto zaś mówić o potrzebie zmian w unijnym prawie w całej strefie Schengen. Stratedzy z ISIS doskonale zdają sobie z tego sprawę, wiedzą, że w czasach zarazy bez wsparcia i wiedzy „swoich ludzi" w europejskich meczetach nie będzie im łatwo. Wiele wskazuje więc na to, że w roku 2021 z mapy Europy Zachodniej zniknie wiele meczetów zagrażających mieszkańcom. ■

Najnowszy numer tygodnika „NIE":
Protest wolnych mediów – bez wyboru, bez koloru.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Prezydenckie rekordy

Trump i Biden wiele rzeczy robili po raz pierwszy. To pokazuje przemiany, jakie zachodzą w Ameryce

W Białym Domu zamieszkały też dwa psy: Champ i przygarnięty ze schroniska Major.

Małgorzata P. Bonikowska

W artykule o młodej poetce Amandzie Gorman, która podbiła świat wystąpieniem na zaprzysiężeniu prezydenta Joego Bidena (PRZEGLĄD nr 6), napisałam, że z powodu pandemii była to pierwsza prezydencka inauguracja odbywająca się bez zwyczajowych tłumów, a także pierwsza w otoczonym kordonem policji Kapitolu, chronionym jak twierdza po – również pierwszym w historii – wtargnięciu do budynku zwolenników odchodzącego prezydenta zaledwie dwa tygodnie wcześniej. I wtedy pomyślałam, jak wiele w tych dwóch prezydenturach, Donalda Trumpa i Joego Bidena, jest takich nigdy przedtem niespotykanych wydarzeń i spraw.

Samo przekazanie władzy było inne niż dotychczas – ustępujący prezydent Trump i pierwsza dama nie przyjęli nowej pierwszej rodziny w Białym Domu, jak to zwykle bywało, a także nie wzięli udziału w inauguracji. Donald Trump nie przekazał osobiście czarnej teczki, tzw. *football*, zawierającej kody służące do kontrolowania arsenału nuklearnego. Ta ciężka walizka, noszona przez wojskowego znajdującego się zawsze w pobliżu prezydenta-naczelnego dowódcy sił zbrojnych USA, jest przekazywana nowemu prezydentowi podczas inauguracji. Tym razem były dwie atomowe walizki – kody Trumpa zdezaktywowano dokładnie wtedy, gdy uaktywniono kody w teczce Bidena.

46. prezydent USA Joe Biden, którego pełne imię i nazwisko brzmi Joseph Robinette Biden Jr., jest dość nietypową głową państwa. Pierwszy prezydent urodzony w czasie II wojny światowej (w 1942 r.) i najstarszy obejmujący ten urząd (78 lat) ma za sobą niezwykle długą i bogatą karierę polityczną. Przez osiem lat, od 2009 do 2017 r., był wiceprezydentem, zastępcą pierwszego w historii ciemnoskórego prezydenta, Baracka Obamy, a przedtem przez 36 lat, od 1973 do 2009 r., senatorem ze stanu Delaware. W sumie to prawie pół wieku służby w polityce.

Biden jest pierwszym w historii prezydentem, który został odznaczony prestiżowym Presidential Medal of Freedom przed objęciem funkcji przywódcy USA. Wszyscy pamiętają jego zdziwienie i łzy wzruszenia, kiedy Barack Obama wręczył mu to odznaczenie na pożegnalnej ceremonii w 2017 r.

To również pierwszy prezydent, który postanowił, że na każdym codziennym spotkaniu z dziennikarzami ma być obecny tłumacz języka migowego.

Oczywiście najwięcej historycznych decyzji Bidena dotyczy osób, które mianował na kluczowe stanowiska, poczynając od jego zastępczyni Kamali Harris – pierwszej kobiety i pierwszej Afroamerykanki, a zarazem osoby pochodzenia azjatyckiego (jest córką imigrantów z Jamajki i Indii), na stanowisku wiceprezydenta. Ale nie tylko Kamala Harris jest w ekipie Bidena historycznym wyborem. Rachel Levine to pierwszy transpłciowy urzędnik federalny, Avril Haines – pierwsza kobieta na stanowisku dyrektora wywiadu, National Intelligence, Lloyd Austin – pierwszy Afroamerykanin na stanowisku ministra obrony, Janet Yellen – pierwsza kobieta na stanowisku ministra skarbu, Pete Buttigieg – pierwsza otwarcie homoseksualna osoba na stanowisku rządowym i jednocześnie najmłodszy minister transportu, Alejandro Mayorkas – pierwszy Latynos i pierwszy imigrant na stanowisku ministra bezpieczeństwa wewnętrznego. Biden jest też pierwszym prezydentem, który stworzył stanowisko krajowego doradcy ds. klimatu – tę funkcję objęła Gina McCarthy – i który uznał, że w składzie Rady Bezpieczeństwa Narodowego ma się znaleźć urzędnik

Jill Biden to pierwsza w historii żona amerykańskiego prezydenta, która ma dwa stopnie magistra, z pedagogiki i z anglistyki, oraz doktorat.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

zajmujący się zmianami klimatycznymi – został nim były sekretarz stanu John Kerry.

Nie mniej ciekawa jest pierwsza dama. Jill Biden to pierwsza w historii żona amerykańskiego prezydenta, która ma dwa stopnie magistra, z pedagogiki z West Chester University i z anglistyki z Uniwersytetu Villanova, oraz doktorat. Poza tym pierwsza Amerykanka o włoskich korzeniach, która zamieszka w Białym Domu, do którego, także jako pierwsza, wprowadziła się z psem przygarniętym ze schroniska, o imieniu Major. I żadna przed nią pierwsza dama nie biegła w maratonie (Marine Corps Marathon, 1998 r.). Ani nie zdecydowała, że będzie kontynuować pracę zawodową.

Jakże inaczej wyglądają szczególne aspekty poprzedniej prezydentury, 45. prezydenta USA, Donalda Trumpa. Tak wiele mówiło się o wieku Bidena, tymczasem różnica między Bidenem a Trumpem wynosi zaledwie cztery lata. Trump był pierwszym, który skończył 70 lat przed objęciem stanowiska prezydenta.

W przeciwieństwie do Bidena, który zęby zjadł na polityce, Trump był pierwszym prezydentem, który objął ten urząd bez jakiegokolwiek wcześniejszego doświadczenia w służbie publicznej, wojskowej lub politycznej, ale zapisał się w annałach jako pierwszy amerykański prezydent miliarder. Trudno zatem się dziwić, że jego inauguracja w styczniu 2017 r. była najdroższa w historii – kosztowała 90 mln dol. A sam bohater tego wydarzenia utrzymywał przez całe cztery lata, że ceremonia ta przyciągnęła największe w historii tłumy, co było nieprawdą.

Życie osobiste Donalda Trumpa było także źródłem kilku prezydenckich rekordów – był pierwszym prezydentem rozwiedzionym więcej niż raz. Z pierwszą żoną Ivaną ożenił się w 1977 r., a rozwiódł w 1992, by poślubić Marlę Maples w 1993 r. i rozwieść się z nią w roku 1999. Był zatem pierwszym prezydentem, który miał trzy żony i dzieci z trzech małżeństw.

Trump to pierwszy w historii prezydent postawiony w stan oskarżenia, a mimo to ubiegający się o reelekcję, pierwszy, wobec którego uchwalono impeachment dwukrotnie, i pierwszy, którego sprawa będzie rozpatrywana w sądzie po zakończeniu prezydentury.

Melania Trump na koniec kadencji męża była najmniej popularna ze wszystkich prezydenckich żon.

Mimo obsesyjnego dążenia do popularności Trump to jedyny prezydent USA, który już na początku kadencji miał więcej przeciwników niż zwolenników – przez pierwsze pół roku prezydentury poparcie dla niego deklarowało 41,4% Amerykanów, a niechęć aż 52,5%. Dla porównania procent zwolenników i oponentów Baracka Obamy wynosił odpowiednio 60,2 i 30,8. Trump został również pierwszym prezydentem wyrzuconym z mediów społecznościowych (Twitter).

Długa jest lista jego niespotykanych wśród prezydentów zachowań. Bo któż inny nazywał wolne media wrogami amerykańskiego społeczeństwa, kto ukrywał swoje zeznania podatkowe, kto zamierzał zbudować mur wzdłuż południowej granicy i jeszcze obciążyć kosztami rząd Meksyku? Kto nazywał nielegalnych imigrantów zwierzętami, a dochodzenie FBI w swojej sprawie polowaniem na czarownice? Kto obrażał, zwalniał, kłamał, atakował, konfabulował i przez cały czas zachwycał się sobą?

A Melania? Nie jest pierwszą żoną prezydenta urodzoną poza USA, bo prawie dwa stulecia wcześniej szóstym prezydentem został John Quincy Adams (1825-1829), a jego żona Louisa Catherine Adams przyszła na świat w Anglii, ale jej ojciec był Amerykaninem, konsulem w Londynie. Melania Trump jest jednak pierwszą w historii żoną amerykańskiego prezydenta, która urodziła się poza obszarem Stanów Zjednoczonych (w Słowenii) z rodziców niebędących Amerykanami i nie jako obywatelka USA. Obywatelstwo amerykańskie otrzymała dopiero w 2006 r. Była pierwszą w historii żoną prezydenta USA biegle władającą pięcioma językami: słoweńskim, który jest jej językiem ojczystym, a także angielskim, niemieckim, francuskim i włoskim. A z nieco mniej nobliwych cech – pierwszą żoną prezydenta, której nagie zdjęcia publikowano w magazynach mody. I jako pierwsza opuszczająca Biały Dom pierwsza dama nie napisała własnoręcznie tradycyjnych podziękowań dla personelu. A na koniec kadencji męża była najmniej popularna ze wszystkich prezydenckich żon.

Donald Trump nie ukrywał swoich negatywnych emocji.

Trudno chyba znaleźć dwóch następujących po sobie prezydentów, którzy tak bardzo różniliby się wartymi odnotowania przez historyków cechami szczególnymi. To prezydenci z zupełnie innej bajki. A to dopiero początek, bo przed Joem Bidenem cztery lata. ■

FOT. WHITE HOUSE, EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Wiesław Kot

Miś

Po co był ten miś?

Krzysztof Kowalewski 1937–2021

Trzy lata temu położyłem przed Krzysztofem Kowalewskim instrukcję postępowania na wypadek pożaru. I poprosiłem, by zaznajomił z nią publiczność Ośrodka Kultury w Obornikach koło Poznania, ale bez użycia słów – tylko mimiką, gestem i przydźwiękami. Wywiązał się śpiewająco. „Mówił lepiej niż ci w telewizji", zachwycała się pani na widowni. Pomrukiem, pokasływaniem, tzw. głupią miną, kilkoma „yyy...", „eee..." wyraził z grubsza to, co przeciętny rodak ma w głowie. Nic dodać.

Krzysztof Kowalewski, rocznik 1937, adres: Warszawa, Nowogrodzka 25. Dostatni dom mieszczański, tata był dyrektorem historycznej fabryki papieru w Jeziornie pod Warszawą. Mama pochodziła z żydowskiej rodziny o korzeniach rabinicznych, ale szybko się asymilowała. O swoim (i syna) pochodzeniu powiedziała Krzysiowi dopiero po wojnie. W dodatku w Kielcach, dzień po osławionym pogromie. O tacie docierały mgliste wieści ze Wschodu – rozstrzelali go prawdopodobnie w Charkowie. Ale oni z matką i tak się cieszyli, że przeżyli całą tę nawałnicę. Ostatecznie oboje omal nie umarli w czasie powstania warszawskiego. Z głodu. Po latach Krzysztofowi kilka razy zdarzyło się grać esesmana. Bez sukcesu. Ze „Stawki większej niż życie", kiedy jeszcze nadawano ją w Teatrze Kobra, usunęli go po pierwszym odcinku. Z tą poczciwą gębą był nieprzekonujący.

Mozolnie, drogą stu przymiarek, budował swoje sceniczne postacie, zanim wychwycił własny azymut.

Szuka aktorska w stu krokach

Edukację zaczynał w ruinach Warszawy. Do pionu postawiła go na wpół resortowa szkoła Towarzystwa Przyjaciół Dzieci im. Klementa Gottwalda. Mama przeniosła go tam ze zwykłego powszechniaka, gdzie przyjęli chłopca od razu do drugiej klasy, choć właściwie nie umiał nic. A w TPD co który kolega z klasy, to syn jakiejś szychy – z aparatu, z resortu. Żeby pójść do takiego w odwiedziny, trzeba było pobrać przepustkę na bramie. Z czasem większość porobiła kariery, ale co z tego? W 1968 r. pożegnał ich z peronu Warszawy Gdańskiej.

Zdawał na aktorstwo, bo nie miał jeszcze ani matury, ani pomysłu na życie. Kiedy podczas pierwszego podejścia deklamował „Giaura", komisję po prostu cofnęło. Jego „interpretacja" radykalnie rozjechała się z duchem oryginału, a moda na teatr absurdu miała się zacząć dopiero dekadę później. Wyśmiany kandydat wycedził przez zęby: „Ja wam, k... pokażę!". Zapisał się do kółka dramatycznego w Pałacu Kultury, mama naraiła korepetycje i zdał. Zapisali go do sekcji dramatycznej, a jego ciągnęło do estradowej. Tak jak kolegę z roku, Janusza Głowackiego, który marzył, że zostanie piosenkarzem, choć utrzymanie się w jednej tonacji bodaj do połowy refrenu całkiem przekraczało jego możliwości. Kolega Tym był z kolei zapatrzony w klasycznych tragików i nic nie zmusiło go do obniżenia poprzeczki – do czasu aż się zorientował, że cokolwiek zadeklamuje, ludzie się śmieją.

Kowalewskiemu natomiast szło jak po grudzie. Mozolnie, drogą stu

eprasa.pl 3efdd1c9f9

przymiarek, budował swoje sceniczne postacie, zanim wychwycił ten własny azymut.

Możecie mnie pocałować

Początkowo – angaże w Klasycznym, w Polskim – nawet nie bardzo było przed kim się wykazać. „Organizatorzy widowni" zganiali wycieczki szkolne wprost z dworca Warszawa Główna, a dzieciaki miały frajdę, bo mogły postrzelać do aktorów z procy. Kowalewski miał sporo szczęścia, bo grywał w zbrojach i w szyszakach, dzięki czemu nie chadzał ślepy i dziobaty na twarzy. Teatr Polski najgorzej rzutował zresztą nie na jego twarz, lecz na wątrobę. Grywało się klasyków z zestawu szkolnych lektur, na widowni albo pokutowały wycieczki z prowincji, albo hulał wiatr. Za to był etat, a komu się nie podoba – prowincja zaprasza! Po spektaklu zawsze znalazł się ktoś, kto niby przypadkiem upuścił na podłogę stówę. Inny kolega podnosił i dokładał swoją, potem kolejny i kolejny. A kto leciał do monopolowego? Oczywiście „młody". I ta jego aktorska wątroba została gruntownie przeczołgana, bo musiała jeszcze przerobić końskie dawki streptomycyny, którą próbował zażegnać resztki okupacyjnej gruźlicy.

Los uśmiechnął się do początkującego aktora, gdy dostał angaż marzenie w Dramatycznym. Uśmiechnął się na krótko. Bo dyrektorem został tu Jan Świderski, artysta chory z ambicji i na hemoroidy – to było tabu. A tu pewnego dnia w teatrze zjawia się Świderski z kompletem wędek i oświadcza, że będzie jeździł na ryby. „Ale za to dupę można przeziębić", wypalił Kowalewski i w sekundzie zrozumiał, że właśnie stracił robotę. Z tym że z każdym rokiem na rynku siedział już coraz mocniej – grywał w Kobrach, w radiu nagrywał słuchowiska. Trafił się jeden i drugi epizodzik w filmie – raz hydraulik, raz milicjant, raz przechodzień. Z sentymentem ogląda się dziś te minutowe wstawki w „Zbrodniarzu i pannie", w „Stawiam na Tolka Banana" czy w „Zapalniczce"... W końcu, po Marcu '68, doprosił go do zespołu STS. Tam jedno przedstawienie grano dla widowni, a drugie – ważniejsze – miało każdego wieczoru premierę w bufecie na zapleczu. No i tu wykuwały się hasełka, które szły w Polskę: „Mnie nie jest wszystko jedno", „Myślenie ma kolosalną przyszłość", „Los sprzyja przeciwko nam" i dziesiątki podobnych. Ucierały się w kawiarni Czytelnika, w SPATiF-ie, w trakcie niezliczonych domówek. Pieniądze trzeba było wydawać szybko, bo wszystko drożało w oczach. Na widowni prof. Kotarbiński i Antoni Słonimski, od zaplecza: Osiecka, Stanisławski, Jarecki. „Wielkie łby, a jednocześnie zupełnie nie nabzdyczeni", wspominał Kowalewski po latach. Z tym że władza ludowa nie mogła się z nimi pieścić bez końca. Ostatecznie zamknęła imprezę w roku 1975 – pod pretekstem remontu sali. Jednak na samo gaszenie świec Kowalewski zdążył jeszcze zagrać dziennikarza w przedstawieniu „Solo na perkusji", które napisał Stanisław Tym. I kiedy zdesperowany dziennikarz Kowalewski sadzi nieprawomyślne teksty, odzywa się tytułowe solo na bębnach. Perkusista rąbie, publika bije brawo, a Kowalewski w ogłuszającym hałasie ryczy: „Możecie mnie wszyscy pocałować w dupę!!!".

Pan Sułek sunie przez rodzimy pejzaż ponad epokami i ponad podziałami. Nad Wisłą, Bugiem i Odrą klimat sprzyja mu najbardziej.

Za co kochamy pana Sułka

Taki numer mógł ewentualnie przejść w małej salce STS albo w prowincjonalnym domu kultury, bo spektakl wędrował po kraju, ale już nie w radiu. Tu prostak, nieodrodny syn przodującej klasy budującej socjalizm musiał zostać zakamuflowany. Na przykład jako pan Sułek w dialogach z Martą Lipińską. „Mam słabość do tego chama – powie aktor po latach. – 40 lat minęło, włączam radio, a ten kretyn ciągle tam jest". Ano jest, bo spotyka się go ciągle za najbliższym rogiem, w urzędzie, a i w telewizji pokazuje się często. Mówiąc ściśle, pan Sułek sunie przez rodzimy pejzaż ponad epokami, formacjami i podziałami. Nad Wisłą, Bugiem i Odrą jest rdzenny, stąd wyrasta i tu klimat sprzyja mu najbardziej.

Daleko od noszy

FOT. INPLUS/EAST NEWS, TRICOLORS/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Sejmik Województwa Mazowieckiego uchwalił, że jednym z patronów 2021 roku na Mazowszu będzie Wojciech Bogumił Jastrzębowski.

Jastrzębowski – uczony i wynalazca oraz nauczyciel, przyrodnik i ekolog – bardzo popularny w swoich czasach, został jednak zapomniany. Choć na powszechne uznanie zasługuje jak mało kto.

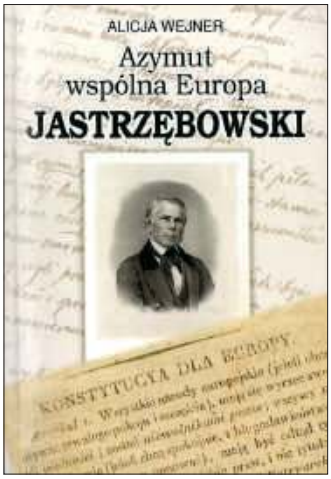

Wojciech Bogumił Jastrzębowski był wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Agronomicznego na Marymoncie oraz nauczycielem wielu pokoleń przyrodników i leśników. Przemierzając na piechotę Polskę wszerz i wzdłuż, zebrał, opisał i nazwał setki roślin, wzbogacając nimi warszawski Ogród Botaniczny. Jastrzębowski badał klimat Warszawy i wskazał na jego powiązania z okoliczną przyrodą. Stworzył też podstawy ergonomii, bez której dziś obejść się nie sposób.

Gorący patriota – kanonier w powstaniu listopadowym – w dokumencie „O wiecznym pokoju między narodami" napisał pierwszą w dziejach, zawartą w 77 artykułach, wizjonerską „Konstytucję dla Europy". Została opublikowana 3 maja 1831 r., a większość przedstawionych w niej tez jest dzisiaj obowiązującym prawem w Unii Europejskiej.

O tej wspaniałej, wielowymiarowej postaci wielkiego Polaka można się dowiedzieć więcej z książki Alicji Wejner „Azymut wspólna Europa. Jastrzębowski", Wydawnictwo Jagoda, www.jagodawydawnictwo.pl.

mrk.

Krzysztof Kowalewski: „Mam wrażenie, że Jacek (Janczarski) uchwycił pewne bardzo istotne cechy polskiego mężczyzny. Ten rodzaj zakutego łba, który właściwie nic nie przyjmuje, natomiast jest w stanie wypowiedzieć się na każdy temat. I może się podjąć w gruncie rzeczy objęcia każdego stanowiska. Takich Sułków do dziś jest od cholery".

Stąd był już tylko krok do filmów Stanisława Barei. I do scenariuszy Stanisława Tyma, w które Kowalewski wszedł jak brakujący element. Właśnie dlatego, że jako rodak urody przeciętnej idealnie nadawał się na chodzącą przeciętność, na Polaka z rocznika statystycznego. W dodatku miał na tyle wyczucia, że nie dociskał tych filmowych gagów do dechy, że ich nie podkręcał, nie dośmieszał. Pozostawał gapowaty, ospały, niepewny, czy rozumie, co do niego mówią. Widzowie patrzyli na Kowalewskiego i przyłapywali się na tym, że gapią się w lustro. „Z czego ci ludzie się śmiali? – pytał po latach aktor w wywiadzie rzece „Taka zabawna historia". – Z samych siebie. Dlaczego się wstydzili? Bo byli tacy jak ci bohaterowie. Zakłamani, uwikłani w różne sytuacje, starający się jakoś przeżyć w tym gównianym systemie. Lubiłem grać te postacie, bo miałem wrażenie, że robię coś więcej niż komedię".

Właśnie taki Kowalewski *made by* Tym & Bareja wszedł na stałe wyposażenie nie tylko filmu polskiego. Stał się ikoną, wizualnym skrótem, symbolem i hasłem wywoławczym tamtej epoki. To była ta linia polskiej satyry komediowej – gryzącej, sarkastycznej, gogolowskiej – która ciągnęła się od Munka i od podpory jego filmów – Bogumiła Kobieli. I to nie przypadek, że Kobiela nie miał gdzie zjeść obiadu, bo zaraz jak do swego dosiadała się cała knajpa i wybijała łokciem korek z butelki. Krzysztof Kowalewski o całą epokę później doświadczał tego samego. Sam widziałem.

Ale to pięknie wygląda dzisiaj, po latach. Bo w momencie premiery takiego „Bruneta wieczorową porą" (październik 1976) Kowalewski zupełnie nie ogarniał swojej roli. Zresztą do kina i tak szedł, gdy film już się trochę opatrzył, bo nie lubił ani wystawać w kolejkach do kasy, ani przepłacać u koników. I kiedy wreszcie się obejrzał na ekranie, niewiele rozpoznawał. Nic dziwnego – film został poddany kilku brutalnym i bezmyślnym kolaudacjom, Bareja przemontowywał go trzy razy, z pierwotnego projektu została sieczka. W dodatku przydzielano dziełku najniższe kategorie artystyczne – trzecią lub czwartą – co znaczyło, że reżyser dostanie minimalną stawkę.

Zagłoba za pięć złotych

Z tym że Bareja nie wyczerpywał komediowego zasobu aktora. Starczyło choćby na ekranizacje Sienkiewicza. Jak się kręciło pod Kijowem, to się brało na handel polski dżins, tu opychany jako amerykański. W zamian dostawało się ikony, „autentyki", które masowo tłukły chudożniki z tamtejszej akademii sztuk pięknych. No i do roli Rocha Kowalskiego w „Potopie" Jerzy Hoffman wziął Kowalewskiego prosto od Barei. Przeszczep przyjął się idealnie. Ale kiedy w „Ogniem i mieczem", zamiast tego rodaka z Barei cofnąć tylko do epoki wojen kozackich i zostawić, jak jest, reżyser kazał mu odstawić takiego sobie rubasznego szlachciurę jak z Kossaka, wyszła kicha. Podobnie skończyło się podnajęcie aktora do roli Greka Kaliopulego we „W pustyni i w puszczy". Ot, jeszcze jeden poczciwy grubasek, już w latach. Cóż, tymczasem zrobiło się za późno, by zatrudniać Krzysztofa Kowalewskiego na prawach statysty z kilkoma linijkami tekstu.

Ostatecznie to przecież nie byle kto! Bo choćby i Krasnal Wesołek z orszaku Królewny Śnieżki. A w czym Wesołek się specjalizuje? W byciu nieustająco w dobrym humorze. Na przekór wszystkiemu. Czym do pasji doprowadza krasnala Gburka. Wszystkich Gburków świata.

Wiesław Kot

Właśnie taki Kowalewski, od Tyma i Barei, stał się ikoną, wizualnym skrótem i hasłem wywoławczym epoki.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Droga na Budapeszt

Poranek jak co dzień – toaleta, kawka, e-gazeta… zaraz, co to ma być? Czarny ekran, apel „media bez wyboru" i list do władzy w sprawie bandyckiego projektu haraczu na nieprawomyślnych. Dzwoni telefon, u mamy już prawdziwa trwoga. Myślała, że znowu nie zapłaciłem „za dekoder", ale wczytała się i teraz lamentuje przerażona, że stan wojenny – nie ma jej ulubionych programów, „zostawili ino te k**ewskie kanały, jo tego nie szczymia". Pocieszam; nie mówię, że się cieszę jej zmartwieniem, bo to znaczy, że akcja działa – co tam gazety dla wykształciuchów, jak się ludożerka zorientuje, że PiS chce jej zabrać ulubione seriale, tę kiełbasę dla oczu, będzie rozróba.

Wojna z mediami spoza rządowego garnuszka wkracza w nową fazę; Kaczyński wciąż nie może się pogodzić z tym, że jesteśmy dwa kroki za Orbánem – wciąż mierzy w Budapeszt. Wierzę, że w końcu się doczeka – będzie zwiewał ze swoją świtą i jeśli gdzieś znajdzie azyl, to pewnie na Węgrzech. Kaczyści będą mieć swoją drogę na Zaleszczyki, choć wolałbym, żeby mieli swoją Norymbergę – nie ja jeden, zaprawdę, motywacją do przeżycia dla wielu ludzi w wieku podeszłym jest już tylko dożycie procesu pisowskiej mafii. Matka moja sędziwa dotąd „dożywała" pierwszych sakramentów pokaźnej gromadki wnucząt, ale najmłodszy – nasz Antoś – niechrzczony, więc przestawiła się na nowy cel: zobaczyć, jak Kaczorowi pogonią kota. Przez chwilę miałem nadzieję, że podczas najbliższych posiedzeń Gowin, zamiast głosować bez uśmiechu, z uśmiechem sięgnie po sprzeciw. Nadzieję, że ten haniebny oportunista, podnóżek wodza, nagle okaże się chociaż jakimś *wannabe* Wallenrodem i odważy pójść za głosem honoru. Innymi słowy, kolejna nadzieja na pożar w tej galerii potworów, wywołany samoistnie, bo z rozpaczą prawdziwą konstatuję, że skutecznych wrogów zewnętrznych Zjednoczone Prawactwo w Polsce nie posiada.

Opozycja jednoczyć się nie zamierza, kto tylko z takim projektem wychodzi, zaraz go obszczekuje sfora niedoszłych koalicjantów, co nasuwa mi natrętną myśl o tym, że na przejęciu władzy jej najzwyczajniej nie zależy – wdzięczna to i wygodna rola pobierać poselskie pensje wyłącznie za wytykanie cudzych łajdactw.

Co zatem będzie, jeśli naród nogą nie tupnie, pogodzi się z wyrobem kiełbasopodobnym zamiast kiełbasy, tureckie seriale i sanatoria miłości z czasem uzna za wystarczającą strawę, a zrażony propagandą TVP po prostu w ogóle odetnie się od informacji? Czas się cofnie, będziemy jak nasi rodzice „przy zgłuszonym odbiorniku aż po blady świt słuchać nowin i uderzać w gaz".

Najlepiej zakłócano Wolną Europę, choćby ojciec nie wiem jak wyginał antenę i owijał ją drutem, przełączaliśmy wtedy na BBC, a jeśli i tu szumiało, pozostawał Głos Ameryki – na dźwięki „Yankee Doodle" zaczynał taniec radości, udało się przebić żelazną kurtynę, znowu nasza sonda przewierciła się przez warstwy bolszewickiej propagandy do świata faktów. Wyszukiwanie zanikających pasm przypominało polowanie, bo stacje zagłuszania pracowały pełną parą, raz złapane wiadomości uciekały po kilku chwilach dopadnięte przez kakofonię trzasków, szumów lub innych stacji, błogosławionych rządowym imprimatur. Było w tym coś magicznego, kiedy ojciec kręcił gałką milimetr po milimetrze, wędrując przez audycje we wszystkich językach świata, przemierzał ten audialny kosmos i musieliśmy nawytężać słuch, zanim dało się usłyszeć polszczyznę niezniekształconą partyjną nowomową. Kiedy było ciemno, bo fabryki przechodziły na 20 stopień zasilania i wyłączano prąd cywilom, słuchanie przy świecach radia na baterie miało w sobie coś misteryjnego – mówiły do naszych PRL-owskich ciemności głosy z lepszego, wolnego świata, który znaliśmy ledwie ze słyszenia, ale czekaliśmy na jego zbawienne nadejście. Świadomi jego istnienia jakoś żyliśmy, czytaliśmy książki z samizdatu, słuchaliśmy płyt kupowanych od szczęściarzy z rodziną za granicą, nie dawaliśmy się ogłupiać partyjnym belfrom i wiedzieliśmy, że telewizja kłamie; dorastaliśmy w głębokim przekonaniu, że władza, która zagłusza i sieje tandetną propagandę, jest nie tylko zła, ale obciachowa, żenująca.

> Kaczyński coraz szybciej kręci bicz żenady nie tylko na siebie, ale na prawicowość.

Kaczyński coraz szybciej kręci bicz żenady nie tylko na siebie, ale na prawicowość – pozostaje mi tylko przyklaskiwać jego kolejnym pomysłom. Nie chodzi o to, żeby odsunąć od władzy PiS, chodzi o to, żeby na trwałe, a przynajmniej na lata długie skompromitować ideały katolickich nacjonalistów. Tylko tak dalej, panowie, chcecie mieć Budapeszt w Warszawie, będziecie mieli azyl w Budapeszcie.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Rozmawia Rafał Pikuła

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA
– poetka, eseistka, botaniczka, nominowana do Paszportów „Polityki", Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Witolda Gombrowicza za książkę „Patyki, badyle".

PRZYRODA da sobie radę bez nas

Troska o naturę przybliży nas do troski o społeczeństwo

Mamy środek zimy, śnieg i mróz, nieciekawy to czas dla botanika. Czy jest coś ciekawego w styczniowym lesie, w zimowej, martwej łące?

– Chyba muszę zacząć na poważnie, od tego, że natura opiera się na przemocy, na śmierci. Bo to, co żyje, zawsze umrze. Skurcz się do poziomu bakterii, a na własnym naskórku zobaczysz pobojowisko i nowe powstania. Idź do lasu, wszystko tam jest teraz umierające albo czekające. Może więc warto, byśmy przestali postrzegać naturę wyłącznie jako płaską fototapetę, piękno? W świecie natury sytuacja jest zero-jedynkowa, to walka o przetrwanie, trudne decyzje: być albo nie być. Mówię o ptakach, które szukają pożywienia, o drzewach, które zmagazynowały cukier, aby utrzymać metabolizm i przetrwać do wiosny, i by przeżyć potem lata, bez wody i zimy, w smogu.

Jednak w świecie natury chodzi o przetrwanie, a w przypadku człowieka przemoc często jest wynikiem zachłanności.

– Natura także jest pazerna w swoim pierwotnym założeniu i każdy gatunek dąży do ekspansji. Człowiek nie jest tu wyjątkiem, bo przecież my to przyroda. Po prostu skala działań człowieka jest większa i jego ekspansja bardziej zauważalna. Przez nasz intelekt. Przez zdolność poznania, uczenia się, niebywale intensywną w porównaniu z innymi ssakami, gadami czy roślinami.

Niszczymy przyrodę. Czy można mieć nadzieję, patrząc na takie akcje jak Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, że młode pokolenie jest coraz bardziej świadome zagrożeń, jakie niesie dewastacja natury?

– Jeżeli o świadomość chodzi, to najbardziej świadomi są ludzie najstarsi. Nie dzieci ani młodzież. Bardzo przepraszam, jeśli komuś teraz łamię nadzieję. Bo to właśnie starsi mają wiedzę prawdziwą, wynikającą z doświadczenia i czytania książek, a nie z pustej, naćkanej detalami teorii. Nie dociera też do starszych ludzi ta pusta narracja strachu i końca świata. Wiele już widzieli.

Oni są gdzie indziej. Oni wiedzą, na jakim świecie żyją. Rozpoznają drzewa, ptaki, chmury i owady, czują naturę swoim ciałem, nie muszą tego naukowo nazywać. Mnie wystarcza, że mogą mi coś o nich opowiedzieć. To ważne. Czy to wynika z tego, że dłużej żyją, czy może z tego, że inaczej poznawali kiedyś świat? Nie wiem. Młodzież, która strajkuje w obronie klimatu, niestety za wiele mi nie powie o owadach ani o roślinach. Szkoda! Wszystko przez to, że polska szkoła to pomyłka. Nie uczy zachwytu, ale testuje i karze. Opiera się na niewnoszącej niczego teorii bez łączenia dziedzin, wątków. Dzieci, młodzież boją się w szkole nawet zadawać pytania. Mnie w takich warunkach również by się nie chciało.

Mimo wszystko powinniśmy doceniać zaangażowanie młodych.

– Bezwzględnie. Nic nam już nie zostało. Ale wciąż wierzę, że droga do zmiany wiedzie przez coś takiego jak miłość. Jeśli człowiek kocha, to chce jak najlepiej dla ukochanej osoby albo przedmiotu zakochania. Gdyby ludzie zaczęli tak kochać las, to znaczy chcieli go także poznawać…

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Dzisiejsza edukacja odgradza nas od natury. Uczymy się o fotosyntezie, nie dotykając liści.

– Nie można wymagać wiedzy ani miłości do natury, nie ucząc, jak być blisko niej. Dziś chyba już musimy skrócić nieco teorię z zakresu biologii molekularnej, a zacząć zauważać kwiaty, liście, drzewa. Lepszym rozwiązaniem niż uczenie się formułek jest obserwowanie szkolnego ogródka (czy ktoś to robi?), obserwowanie ptaków, poznawanie zwyczajów zwierząt, które są blisko nas. Nauka dokonała takiego rozwoju, że próba jej zrozumienia w skali mikro, na poziomie szkoły średniej czy nawet studiów, jest skazana na niepowodzenie. Nie dogonimy nowinek biologii, nie musimy tego robić. Musimy zaś wrócić do pierwotnego kontaktu z naturą.

O takim spojrzeniu na naturę mówi twój najnowszy tomik „Piach". Wiersz dający tytuł całemu zbiorowi jest opowieścią o człowieku, który nie dostrzega złożoności natury i skupia się na nieistotnych detalach.

– W tym wierszu piszę o tym, że jestem bezradna wobec świadomości składu atomowego ziarenka piasku, wobec tej wiedzy na temat gwiazd i jej początków, kiedy ja czuję się tylko człowiekiem. Człowiekiem skończonym, ze swoim ciałem, przeciętnie idącym gdzieś w lesie w Wołominie.

Inny wiersz – „Bajeczka" – opowiada o tym, że natura jest wieczna, ludzkie życie zaś tymczasowe.

– Dla mnie baśń to fundamentalny i uniwersalny sposób opowiadania o świecie. W tym wierszu konwencja baśni zostaje przełamana. Zazwyczaj po „za górami, za lasami" następuje opowieść kluczowa, o człowieku. W tym wierszu to ludzkie dzieje są przecinkiem, dodatkiem. Tutaj lasy i góry są wieczne, człowiek zaś jest mgnieniem w dziejach życia natury. W tym wierszu są też opisy typowe dla języka biologii, dla biologicznego opowiadania o świecie, więc także w kwestii języka człowiek jest tu mało znaczący.

Perspektywa roślin jest dla ciebie bardzo ważna. W wierszu „Koniec niedzieli" otoczony roślinami człowiek nie dostrzega ich. Ma lniane spodnie, bawełnianą koszulkę, pije piwo jęczmienne i zagryza żytnim chlebem. Jest blisko natury, a zarazem daleko.

– W tym wierszu opisuję urywek życia człowieka, który zadowolony z siebie nie dostrzega, że świat się zmienia. Zajęty sobą nie widzi, że następuje tego świata koniec – wcale nie dramatyczny i tragiczny, ale zwyczajny, cichy. Cicha zagłada. Dla wielu z nas wydarzy się na uroczym ryneczku, bez piorunów ani burz.

W świecie natury sytuacja jest zero-jedynkowa, to walka o przetrwanie, decyzje: być albo nie być.

Miłosz w wierszu „Piosenka o końcu świata" pisze „Dopóki trzmiel nawiedza różę, Dopóki dzieci różowe się rodzą, Nikt nie wierzy, że staje się już". Dużo się mówi, że masowe wymieranie owadów, szczególnie pszczół, jest zapowiedzią wymierania ludzi.

– Tak naprawdę nie będzie końca świata. Świat, przyroda dadzą sobie radę bez nas. To znaczy będzie inna przyroda. Ludzie znikną. Zauważ, że nawet ludzkie troski o koniec świata są tak naprawdę lękiem przed jedynie naszą śmiercią. Nie chodzi nam o masowe wymieranie – mimo że poza owadami już co trzeci gatunek płazów uznawany jest za zagrożony wyginięciem – lecz o nas. Ale przecież nie ma w tym niczego nienaturalnego.

Czy nauka, bliższe poznanie świata i jego problemów, prowadzi do wrażliwości? Język jest metodą oswajania świata. Nazwy niektórych roślin brzmią poetycko: maziczka wytworna, zapłonka ciemnoowocowa…

– Moje pisanie: wierszy, esejów czy felietonów, wynika z tego, że w nauce brakuje tych poetyckich określeń, to znaczy odnoszących się do wrażliwości, budujących refleksje na płaszczyźnie emocji i wyobraźni. Musimy pisać sztywnym naukowym językiem, musimy produkować raporty z naszych działań. Nie żebym gardziła tym stylem, ma on swoją wartość, ale brakuje tam miejsca na wolność wrażeń. A są gatunki literackie, które mogą opisać świat natury w inny sposób. Książka „Piach" jest też mocno związana z ciałem, z cielesnością. Ludzie czytają te wiersze i piszą mi, że odnajdują się w nich, czują, że piszę ich słowami. Tego typu spotkania są dla mnie najsilniejsze.

Co było więc pierwsze: biologia czy literatura? Z wierszy „Wołomin, prawie północ" i „Wołomin. Noc" wyłania się obraz twojej inicjacji w naturę. Piszesz: „Wciągam / To wszystko / Od razu / W krew".

– Gdy piszę albo obserwuję rośliny, znikam. Nieważne wtedy, czy jestem poetką, czy biolożką, jestem obok przedmiotu mojego poznania. I wiem, że to najlepsze, co może mi się na tym świecie wydarzyć. Niby jestem, a mnie nie ma. Jestem nieważna. Dokładnie tak jak Joanna Rajkowska założyła teraz w swojej wystawie „Rhizopolis" w warszawskiej Zachęcie. Można wejść pod korzenie drzew i zniknąć, by ciałem, wszystkimi swoimi zmysłami doświadczać, jak bardzo silny jest ten dysonans między naszą pewnością siebie, niszczycielstwem a niewinnością, potęgą przyrody. Jak silnie zależymy od niej, od poziomu atomowego po cały wszechświat.

Nie traktujmy lasu jak przestrzeni zarezerwowanej tylko dla człowieka. My w lesie jesteśmy gośćmi.

Idź więc do „Rhizopolis". Schowaj się pod korzeniami drzew i wreszcie tego wszystkiego się przestrasz. Gdzie jesteś, a jak traktujesz przyrodę, jak siebie wysoko ustawiasz, jak widzisz las.

Mamy nie chodzić do lasów?

– Rzecz nie w tym, żeby nie chodzić, ale w tym, żeby nie traktować lasu jak przestrzeni zarezerwowanej tylko dla człowieka. My w lesie jesteśmy gośćmi. Zauważyłam, jak łatwo dziś się oburzamy na leśników. Protestujemy przy wycince, sami siedząc przy drewnianych stołach, w domach z bali albo pod dachem z drewnianych

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Guillaume Pitron
Wojna o metale rzadkie
Ukryte oblicze transformacji energetycznej i cyfrowej
Tłum. Andrzej Bilik
Wydawnictwo Kogut, Warszawa 2020

Transformacja energetyczna, rewolucja cyfrowa, przemiana ekologiczna – politycy, media i przemysłowcy obiecują nam nowy świat, niezależny od ropy, pozbawiony zanieczyszczeń, niedostatków i konfliktów zbrojnych. Książka francuskiego dziennikarza, będąca owocem sześcioletniego dochodzenia prowadzonego w 12 krajach, pokazuje, że wcale tak się nie stanie. Odchodząc od paliw kopalnych, pogrążamy się w nowym uzależnieniu – od metali rzadkich, takich jak grafit, kobalt, ind czy platynowce. Koszty środowiskowe i gospodarcze tej zależności będą jeszcze większe niż te, które ponosimy obecnie.

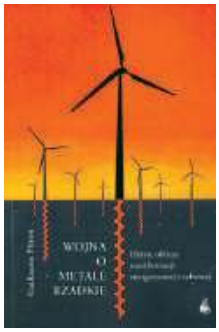

Jean-François Bouvet
Dzieci na zamówienie
Tłum. Andrzej Bilik
Wydawnictwo Kogut, Warszawa 2020

Obecnie w większości krajów świata coraz więcej dzieci rodzi się dzięki technikom rozrodu wspomaganego. W ten sposób zostało poczętych już ponad 5 mln mieszkańców Ziemi. Jean-François Bouvet, neurobiolog, nauczyciel akademicki, popularyzator nauki, otwiera przed czytelnikami drzwi laboratoriów, w których gra idzie o przeobrażenie ludzkości. Pokazuje, że majstrowanie przy genach jest lukratywnym rynkiem, często pozbawionym ram prawnych i bioetycznych. Autor podaje w wątpliwość kult postępu i pyta o odpowiedzialność naukowców oraz o to, jakiej ludzkości potrzebujemy.

krokwi. Z kompleksami patrzymy na Skandynawię, a tam budownictwo opiera się na drewnie. W Polsce od czasów II wojny światowej lesistość wzrasta. Ale nam to też nie pasuje, bo co to za nowe lasy, takie małe albo pokraczne sosny. A nikt nie pomyśli, że na dawnym kartoflisku inne drzewa nie wyrosną. Takie „brzydkie" sosny robią wielką robotę, przekształcają glebę, często pełną chemii, w ziemię, która jest podkładem pod przyszły, bogaty życiem las.

Trochę brzmisz, jakbyś broniła wycinki Puszczy Karpackiej.

– Oczywiście jestem przeciwna wycince w puszczy, mimo że wiem, że leśnicy po prostu wykonują tam swoje gospodarcze plany, bo na razie taki jest tam ten las. Został posadzony przez człowieka. Ale to jest myślenie lasu gospodarczego. Puszcza Karpacka na to nie zasługuje. Jestem za tym, by Polska uznała, że należy ustanowić tam nowy park narodowy. Nie zrobi tego, bo to strata pieniędzy. Czy Lasy Państwowe w ramach swoich możliwości będą chciały tam odpuścić? Nie wiem, może? Nie mam zamiaru nikogo tu sądzić.

Czyli koronawirus nie zwrócił nas w stronę natury i nie nauczyliśmy się jej rozumieć?

– W naturze pandemie wydarzają się co jakiś czas i wymieranie jest czymś normalnym. Nie zauważaliśmy tego, póki nie dotknęło nas. Nagle okazało się, że to, co wydarzało się w świecie zwierząt i roślin, wydarza się i u nas, a my nie możemy temu zapobiec. Zauważ, że wirus jest tylko białkiem z genem i żeby się rozwijać, potrzebuje naszych komórek. I taki martwy wirus zabija światową gospodarkę. Tak krucha okazała się potęga człowieka.

Tęsknimy za tym, żeby było jak dawniej, nie zwracając uwagi, że jeśli nie zmienimy swoich zachowań, to pojawią się nowe pandemie, nowe zagrożenia.

– Czekamy, aż będziemy mogli konsumować jak dawniej. Czekamy, aż wszystko „wróci do normy". Wracając do dawnych przyzwyczajeń, skazujemy się na nowe pandemie i załamania, z czego największym będzie ostateczna śmierć człowieka. Przez nas. Glony, bakterie przeżyją. My nie.

W Europie pojawiła się szarańcza znana dotychczas w krajach Afryki i Bliskiego Wschodu.

– Zmiany klimatu dzieją się na naszych oczach. To, że ludzie emigrują do Europy, jest wynikiem tych zmian. Coraz większe obszary Afryki i Bliskiego Wschodu pustynnieją i nie nadają się do życia. Musimy sprawić, żeby żyli z nami inni, uciekinierzy. W przyrodzie istnieje takie pojęcie jak ekoton. To miejsce przejścia pomiędzy dwoma ekosystemami. Jak idziesz łąką do lasu, to kilkanaście, nawet kilkadziesiąt metrów przed lasem jest miejsce graniczne, gdzie żyją gatunki, których nie spotkasz ani w lesie, ani na łące. One żyją na pograniczu. Ekoton to przestrzeń najbogatsza w różnorodność. Musimy stworzyć taki ekoton wśród ludzi. Nauczyć żyć nowych Europejczyków wśród nas, a nas żyć między nimi.

> Wracając do dawnych przyzwyczajeń, skazujemy się na nowe pandemie.

Trzymając się biologicznej metafory, powinniśmy postawić na przyleśne łąki, a nie starannie przystrzyżone, homogeniczne murawy?

– Ani w naturze, ani w życiu społecznym homogeniczność nie jest pożądana. Homogeniczność jest szkodliwa i kosztowna. Utrzymanie trawnika wymaga chemicznej pielęgnacji i hektolitrów wody. Łąka chroni się sama – chwasty, różne kwiaty i nawłocie wzmacniają odporność całej łąki. Tak samo ze społeczeństwem. Jedna kultura, jedna religia, jeden wódz – to przepis na tragedię.

Chwalmy zatem łąki umajone!

– Wierzę, że troska o naturę przybliży nas do prawdziwej troski o człowieka. Dlaczego? Badając naturę, zniżamy się do poziomu dżdżownicy, stajemy się pokorni. Wybierając łąkę zamiast murawy, godzimy się na niedogodności: gryzące owady i parzące pokrzywy. Gdybyśmy czasem sobie odpuścili i zobaczyli, jak pięknie dziczeje ogródek i sad, zauważylibyśmy, że nasza mania kontroli nigdy nie była potrzebna. Nie musimy przycinać trawy co do milimetra i nie musimy wymagać, aby inni ludzie byli szyci na naszą miarę. Niech żyją!

Rafał Pikuła

eprasa.pl 3efdd1c9f9

KURTYNA W GÓRĘ

DEMON TURYSTYKI

Premiera online spektaklu „Bieguni" według powieści Olgi Tokarczuk to krzyk rozpaczy nad stanem naszej turystyki wyjazdowej w środku pandemii. Scena w poczekalni dworcowej przemienia się w mgnieniu oka w różne egzotyczne krainy i pokazuje ludzi ogarniętych manią podróżowania. Wśród nich jest sama autorka, grana przez Barbarę Wysocką, która dzięki charakteryzacji do złudzenia przypomina naszą noblistkę. Rozmowy toczą się w kilku językach, a bohaterowie spektaklu opowiadający historie zupełnie ze sobą niepowiązane na końcu ustawiają się w jednej kolejce. Do czego? Wystarczy porównać to ze znanym obrazem Andrzeja Wróblewskiego. Zresztą takich obrazów symboli, a także symbolicznej muzyki jest w spektaklu więcej.

Bronisław Tumiłowicz

Olga Tokarczuk, „Bieguni", reżyseria Michał Zadara, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera online 30 stycznia 2021

NA EKRANACH

JESZCZE JEST CZAS

reż. Viggo Mortensen, prod. USA, już w kinach

Viggo Mortensen przyzwyczaił nas do wizerunku twardziela – był kowbojem w „Hidalgo – ocean ognia" czy dzielnym rycerzem we „Władcy pierścieni". Dlatego jego reżyserski debiut tak zaskakuje. Amerykanin występuje tu w podwójnej roli: kręci i wciela się w Johna, geja, który z partnerem wychowuje w Kalifornii adoptowaną córkę. Spokój ich ułożonego życia zakłóca pojawienie się ojca Johna, homofoba i damskiego boksera, który nie zamierza stosować się do reguł panujących w domu syna. Senior dąży do konfrontacji za wszelką cenę, młodszy

nie daje się sprowokować. Napięcie z każdą minutą rośnie, ale Mortensen nie kręci klasycznego pojedynku na racje. John wie, że nie musi staruszkowi niczego udowadniać, że tacy schorowani *macho* odchodzą w niebyt. I nic tego nie powstrzyma, choćby nie wiadomo jak się starali. Na tym właśnie zasadza się moc filmu Mortensena, który bez sentymentu pokazuje naturalny cykl życia, wypieranie starości przez młodość, zastanego porządku przez nowy. Pocieszające i niepokojące.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Radosław Młynarczyk

Hłasko. Proletariacki książę

Czarne, Wołowiec 2020

Z Markiem Hłaską jest jeden podstawowy problem. Jego legenda, którą sam misternie tworzył, a w końcu tragiczna śmierć wciąż przesłaniają prawdziwego pisarza i jego prozę. Przebicie się przez te mity to trudne zadanie. Na szczęście podjął się go Radosław Młynarczyk, specjalista od autora „Pięknych dwudziestoletnich". Młynarczyk kilka lat temu odkrył i opublikował młodzieńczą prozę Marka Hłaski „Wilk", teraz wydał świetną biografię pisarza. Chociaż Hłasko żył tylko 35 lat, zdarzeniami z jego życia można obdarzyć kilka osób, a wraz z legendami to i dwa tuziny. Młynarczyk pokazuje, że w ciągu tych lat Hłasko zdążył być nie tylko autorem, kochankiem, obywatelem świata, ale również damskim bokserem, oszustem, maminsynkiem. Czytelnicy tej znakomitej pozycji sami odpowiedzą sobie, ile w nim było z polskiego Jamesa Deana, ile z marymonckiego chłopaka, a ile ze zblazowanego chojraka.

Rafał Pikuła

Liane Moriarty

Sekret mojego męża

tłum. Anna Kłosiewicz

Znak Literanova, Kraków 2021

Mężowie miewają sekrety, od których małżeństwo się sypie. Żony oczywiście też swoje mają, ale tu zaczyna się od sprawek mężowskich. Will ze swoją tajemnicą nie nosił się długo. Gdy kuzynka żony, zarazem jej najlepsza przyjaciółka, mocno schudła i objawiła pełnię urody, wyznał, że się zakochał. Na ślad ataku szczerości Johna-Paula żona trafia po latach, gdy ze szpargałów na strychu wypada list z adnotacją „otworzyć po mojej śmierci". Co powinno wygrać: lojalność czy przezorność? John-Paul wydaje się takim dobrym mężem i ojcem, chociaż teraz Cecilia już dostrzega niepokojące sygnały. To może lepiej zaniewidzieć? W tym doskonała jest jej teściowa. Jednak Liane Moriarty, autorka „Wielkich kłamstewek", poprzez łańcuch zdarzeń opisanych pozornie lekko przekonuje, że ukrywanie prawdy może uderzać rykoszetem w niewinne osoby. Mówi o gniewie, który szuka ujścia, i życiu z poczuciem winy. Warto też spojrzeć uważnie na przyjaźń owej kuzynki z żoną Willa – czy nie jest podszyta sabotażem emocjonalnym?

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Rozmawia Igor Nazaruk

Włochów chowa się w modnym ubraniu

Czasem rodzina zmarłego chce, żeby podbicie do trumny było w barwach Juventusu albo Interu Mediolan

O swojej pracy opowiada Jakub Murasicki, pracownik zakładu pogrzebowego na włoskiej prowincji

Jak to się stało, że w epoce pandemii ty, chłopak z Mrozów, miasteczka pod Mińskiem Mazowieckim, zacząłeś pracować w zakładzie pogrzebowym we Włoszech?

– Mieszkam we Włoszech, z rodzicami i siostrą, od 2016 r. I tam zastała mnie pandemia. Jak tylko skończył się *lockdown*, poszedłem do pracy. Wysłałem ze sto CV, byłem na kilku spotkaniach i nic. Któregoś dnia znalazłem ogłoszenie na Facebooku, że zakład pogrzebowy Le Carraresi w 20-tysięcznym mieście Carrara szuka pracownika.

Nie miałeś żadnych oporów?

– Niby miałem, ale nic innego nie było. Nie boję się wyzwań. Szukali do roboty, to poszedłem. Szef zatrudnia dziesięć osób, jestem jedynym obcokrajowcem w zakładzie.

Duża konkurencja na rynku?

– Prócz nas w Carrarze są jeszcze cztery zakłady. Nie jesteśmy najlepsi, ale też nie najgorsi.

Na czym polega twoja praca?

– Na organizacji i przeprowadzeniu całej ceremonii pogrzebowej. Dostajemy telefon od rodziny lub ze szpitala, że ktoś umarł. Bogate zakłady biją się o pogrzeb, ktoś umiera, a oni są od razu z wizytówką. Mój zakład czeka, oni czyhają. Po takim telefonie jako pierwszy jedzie człowiek od papierkowej roboty, czyli wypełniania akt. Następnie jedzie ekipa od ubierania zmarłego – bo w 80% przypadków to my ubieramy.

W domu?

– Tak. Dostajemy ubranie od rodziny. Naszym zadaniem jest rozebranie zmarłego. We Włoszech nie ma czegoś takiego jak makijaż pośmiertny, zdarza się golenie, poprawianie włosów. Następnie obok łóżka, na którym leży zmarły, ustawiamy trumnę, zasłaniamy rolety i wtedy przychodzą krewni, przyjaciele i sąsiedzi na ostatnie pożegnanie. Za trumną ustawiamy plakat z Ojcem Świętym, Matką Boską, ojcem Pio – w zależności od tego, co wybierze rodzina. Jak wszyscy się pożegnają, zamykamy trumnę i jedziemy do kościoła. A później konwojem na cmentarz.

A jeśli zmarły był niewierzący?

– Większość pogrzebów odbywa się w kościele, nawet jeśli zmarły był niewierzący czy niepraktykujący. Ale ceremonia wygląda inaczej niż w Polsce. Jest mniej formalna. Zdarza się, że Włosi przychodzą w dresach na pogrzeb. Większość pogrzebów, nawet 70-80%, kończy się kremacją. Prochy są wydawane rodzinie i nie trzeba wykupywać miejsca na cmentarzu. Jeżeli jest to pogrzeb kremacyjny, wstawia się trumnę do tzw. sali oczekujących. I wtedy składa się po raz ostatni kondolencje rodzinie. W tej sali można też ostatni raz pożegnać się ze zmarłym. Czasami dopiero po dwóch-trzech dniach rodzina jest wzywana po odbiór prochów.

Ale najpierw trzeba wybrać urnę.

– Wybór jest ogromny. Ceny od 500 do 3,5-4 tys. euro. Można sobie wybrać klepsydrę, serce, krzyż, ale te są droższe i na zamówienie. Usługi pogrzebowe plus ksiądz w kościele i opłata za miejsce na cmentarzu to koszt 4-6 tys. euro.

Pamiętasz swój pierwszy pogrzeb?

– Pierwszego dnia tylko ubierałem, pogrzeb był drugiego. Szef, żeby mnie nie nastraszyć na wstępie, zadzwonił, żebym przyjechał na przymiarkę garnituru. Okazało się, że jest garnitur w moim rozmiarze, biała koszula, krawat, lakierowane pantofle. „Skoro masz już garnitur, to pojedziesz z nami, starszymi, na przeszkolenie do szpitala". Do szpitala weszliśmy osobnym wejściem – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to wejście do kostnicy.

Poczułeś strach?

– Raczej respekt. Zresztą dopiero jak przyszedł lekarz i odkrył naszego zmarłego, zrozumiałem, gdzie jestem. Zdjęliśmy marynarki, zostaliśmy w koszulach, na to fartuch, czepek, maska, gumowe rękawiczki. Była powaga tej chwili.

I naprawdę nie przeszły cię ciarki?

– Nie, nie przeszły. To dobrze, bo w tych czasach jest ciężko o pracę.

Jak cię ocenił szef po tym pierwszym dniu?

– Kierownik powiedział szefowi, że jestem silny. W tej robocie trzeba obrócić ciało, żeby je ubrać, przenieść do trumny. Czasami trzeba znieść trumnę po schodach w bloku. Raz musieliśmy na piąte piętro wnosić, a później znosić. Zdarzają się napiwki. Na przykład jest życzenie, żeby podbicie do trumny było w barwach Juventusu albo Interu Mediolan. I się robi. Po wszystkim podchodzi ktoś z rodziny, dziękuje, mówi, że jesteśmy świetną drużyną. Po 50 euro napiwku dostali teraz koledzy, jak mnie nie było, bo przyjechałem do Polski.

Co jest najtrudniejsze w tej pracy?

– Świadomość, że jak przychodzimy po ciało, to rodzina, bliscy zmarłego rozumieją, że przyszliśmy, żeby go zabrać na zawsze. To są silne emocje. Ale zdarzają się niespodzianki. Ostatnio chowaliśmy starszą panią, która w młodości była tancerką, i wnuczki zażyczyły sobie, żeby na ostatnie pożegnanie z głośnika leciał karaibski taniec. Wszyscy na chwilę się uśmiechnęli.

Czujesz się przewoźnikiem dusz?

– Nie, ale czuję się ważny i odpowiedzialny, bo zmarły musi dobrze

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Pogrzeb piłkarza Paola Rossiego w grudniu 2020 r.

wyglądać w tym ostatnim dniu i rodzina powinna być zadowolona. Zdarzają się sytuacje, że kobiety kłócą się, w jakiej bluzce pochować zmarłą osobę. Bo we Włoszech ważne jest, żeby było modnie. Wszyscy tam idą do grobu modnie ubrani.

A nie w tekturowych butach?

– Tam rzadko zakłada się buty nieboszczykom. W większości przypadków chowamy w skarpetkach.

A zdarzają się pogrzeby, na których nikogo nie ma?

– To najczęściej pogrzeby świeckie. Wtedy z domu odbiera się trumnę i wiezie na cmentarz. Kiedy zmarły był samotny i nie miał środków na pogrzeb, chowa się go w ramach publicznej pomocy. We Włoszech jest prawo do życia i prawo do pochówku.

A jak wygląda pogrzeb zmarłego na covid?

– Obsługa szpitala wkłada ciało do specjalnego czarnego worka z suwakiem. My jesteśmy ubrani w kombinezony. Biały, gruby materiał od stóp do głów, człowiek się poci. Najpierw maska, gogle, plastik, podwójne rękawiczki. I wchodzimy z trumną, wcześniej odkażoną, do zamkniętego pomieszczenia, gdzie leżą inni zmarli na covid. Tam ciało jest oznaczane. My tylko otwieramy trumnę i razem z prześcieradłem, na którym leży worek, wkładamy do środka. Zamykamy. Potem dezynfekujemy trumnę na tej sali, na korytarzu jeszcze raz. I oczywiście dezynfekujemy siebie. Wkładamy trumnę do wozu, znów dezynfekujemy siebie, rozbieramy się z kombinezonów i jedziemy.

I z tą trumną odbywa się cała ceremonia?

– Tak, chyba że rodzina życzy sobie od razu na cmentarz.

Tych covidowych pogrzebów też się nie boisz?

– To praca podwyższonego ryzyka i nie każdy do tego się nadaje. I mimo że ciało jest w worku, strach jest. Po każdym pochówku covidowym mamy robione testy. W ekipie nie mieliśmy jeszcze żadnego zachorowania.

Do nas te pierwsze straszne obrazy pandemii docierały właśnie z Włoch.

– Legendarne trumny, które, jak później się okazało, pochodziły z katastrofy statku? U nas tego w mediach nie było. Były za to obrazy ze szpitali, wywiady z chorymi, którzy zaklinali, żeby wszyscy uważali, że nie tylko starszych to łapie.

Jak się dowiedziałeś o wirusie?

– W akademiku w Mediolanie, gdzie studiuję stosunki międzynarodowe. Umówiłem się z koleżanką Rosjanką, a ona przychodzi w masce i mówi, że jest koronawirus i nie będziemy się przytulać na przywitanie. Udostępniłem wtedy na swoim Facebooku mema, że „w Polsce koronawirus nie jest straszny, bo na straży granic stoją babcie rycerki niepokalane". Następnego dnia musiałem jechać pociągiem 300 km do rodziców i nie przypuszczałem wtedy, że już tam zostanę. Zapanował strach, w telewizji wciąż komunikaty, że trzeba się zdyscyplinować, siedzieć w domu, wychodzić tylko w nagłych sprawach.

Cała twoja rodzina mieszka we Włoszech?

– Tak, Włochy to był nasz rodzinny plan. Jak zdałem maturę, a siostra skończyła gimnazjum, dołączyliśmy z mamą do ojca, który mieszkał tam już od sześciu lat.

Pierwsze wrażenie?

– Szok. Niby wiedziałem, gdzie jadę, znałem podstawy języka, ale to inny kraj i inna mentalność. Muszę ci się do czegoś przyznać. Jak wyjeżdżałem, byłem rasistą, narodowcem. Chodziłem na wszystkie Marsze Niepodległości, nosiłem kurtki „wielka Polska", koszulki z orłem. Na meczach Legii krzyczałem z innymi te kretyńskie hasła. W takim towarzystwie wyrastałem w Mrozach. A jak wyjechałem, wpadłem w towarzystwo międzynarodowe. I zobaczyłem, że ludzie o innym kolorze skóry są tacy jak ja. Zmieniłem podejście, polubiłem Arabów, Rosjan – tych z Rosji i z byłych republik, z Kazachstanu, Uzbekistanu itd. Mam przyjaciół Afroamerykanów.

Jak się resetujesz po pracy przy pogrzebach? Robicie stypę?

– We Włoszech nie ma stypy. No ale po pracy się pije, są imprezy firmowe, jest duży dziedziniec przed zakładem, więc czasami jakiś grill czy wigilia firmowa, jak ostatnio.

Dałbyś radę pochować kogoś bliskiego, przygotować do tej ostatniej podróży?

– Pewnie tak. Ale nie wiem, jak bym to zniósł psychicznie. Praca przy pogrzebach sprawiła, że mniej boję się śmierci. Pracuję z tym i coraz bardziej rozumiem, że każdego to czeka. Ale na razie wracam na studia. I wiesz co? W Mediolanie też poszukam pracy w zakładzie pogrzebowym. ■

Po każdym pochówku covidowym mamy robione testy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Mateusz Mazzini

Zero-jeden-śmierć

Ataki w przestrzeni cyfrowej stają się coraz bardziej realne i precyzyjne

Jako głowa państwa Donald Trump niespecjalnie przepadał za codziennymi spotkaniami z przedstawicielami amerykańskich służb specjalnych. Tak zwane briefingi wywiadowcze, odbywające się na początek każdego dnia w Gabinecie Owalnym, od czasów Baracka Obamy przeniesione z papierowych wydruków na cyfrowo zabezpieczone tablety, tradycyjnie odgrywały rolę porannych wiadomości ze świata zagrożeń i ataków. Analitycy, eksperci, doradcy mówili prezydentowi, czego może się spodziewać, co majaczy na horyzoncie, na co jego administracja powinna zwrócić uwagę. Trump, co w książkach o jego prezydenturze („Strach" i „Wściekłość") precyzyjnie opisał legendarny reporter Bob Woodward, nie był fanem tych posiedzeń, podobnie jak innych spotkań merytorycznych. Informacji nie czytał, rady ignorował, przestróg nie słuchał. A niebezpieczeństwa, zwłaszcza jednego konkretnego typu, stały już na progu amerykańskiej demokracji.

Robert O'Brien, główny doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa w latach 2019-2021, wielokrotnie informował go, że amerykańska infrastruktura wyborcza jest podatna na ataki cyfrowe. W Stanach nie głosuje się wyłącznie papierem i długopisem. Kluczowe w odczytaniu i zapisaniu decyzji każdego wyborcy są maszyny, które często od razu digitalizują głosy. O'Brien nie obawiał się jednak ataku rodem z hollywoodzkich, nieco zdezaktualizowanych wizji, czyli całościowego przejęcia kontroli nad siecią wyborczą i paraliżu maszyn. Raporty amerykańskiego wywiadu już od 2018 r. wskazywały, że jeśli do ataku dojdzie, będzie on dużo mniej imponujący. Nie znaczy to jednak, że mniej szkodliwy. CIA, NSA i Departament Bezpieczeństwa Krajowego niezależnie od siebie donosiły, że rosyjscy hakerzy są już w stanie przejmować kontrolę nad pojedynczymi maszynami. Mogą manipulować wynikami w konkretnych komisjach wyborczych, obwodach, hrabstwach. Nie muszą wchodzić na poziom całego stanu. Amerykańska ordynacja jest przecież tak skonstruowana, że liczba głosów nie zawsze przekłada się na ostateczne zwycięstwo. Zamiast tego trzeba wygrywać w konkretnych punktach na mapie, budować przyczółki.

O'Brien jeszcze w 2019 r. alarmował, że Rosjanie mogą zmienić wyniki chociażby w okręgach na Florydzie, w których mieszka relatywnie dużo afroamerykańskich głosujących. Floryda to stan niepewny, zwycięstwo żadnej ze stron nie wzbudzi tam wielkiego szoku. Afroamerykanie z kolei są podzieleni, wielu w 2016 r. zagłosowało na Trumpa, więc tu też nikt nie będzie grzebać. A wynik w tym stanie może przesądzić o prezydenturze. Jak opisali to Iwan Krastew i Stephen Holmes w książce „Światło, które zgasło" analizującej globalne triumfy populistów i upadek liberalizmu, ataki w przestrzeni cyfrowej stanowią teraz bez wątpienia jedno z największych, o ile nie największe zagrożenie dla stabilności amerykańskiej demokracji. Jednocześnie nie zdziwi pewnie nikogo fakt, że ostrzeżenia O'Briena Trump kompletnie zignorował.

Nie mamy na razie dowodów, że Rosjanie swoje hakerskie kompetencje wykorzystali w ostatnich wyborach. Wiemy jednak doskonale, że potrafią siać popłoch na serwerach amerykańskiej administracji federalnej. W grudniu 2020 r., tuż przed

eprasa.pl 3efdd1c9f9

oddaniem władzy przez ekipę Trumpa, włamali się do wewnętrznych sieci przynajmniej trzech pionów rządowych i kilkunastu prywatnych podwykonawców Białego Domu. Wirusa wszyli w oryginalne oprogramowanie firmy SolarWinds, spółki produkującej jedne z najpopularniejszych na amerykańskim rynku narzędzi do monitorowania pracy zamkniętych sieci i wewnętrznej ochrony danych. Mówiąc prościej, rosyjscy cyberzłodzieje weszli do amerykańskich cyberministerstw jako część ekipy nadzorującej i ochronnej. Poszkodowane były Departament Handlu, Departament Rolnictwa, a nawet Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Wstępna ocena mówiła o kradzieży danych co najmniej 18 tys. spośród 300 tys. klientów firmy. Cytowana przez CNN Theresa Payton, była doradczyni prezydenta George'a W. Busha, oceniła powagę ataku na dziewięć w dziesięciostopniowej skali. „Nie z powodu tego, co o szkodach wiemy, ale ze względu na to, czego wciąż nie wiemy", mówiła, podkreślając, że skutki włamania mogą być jeszcze długo trudne, a nawet niemożliwe do oszacowania. I choć odchodzący sekretarz stanu Mike Pompeo jednoznacznie stwierdził, że styl przeprowadzenia ataku i minimalne ślady cyfrowe, jakie pozostawili sprawcy, wskazuje na działanie rosyjskich służb, Trump jego diagnozie publicznie zaprzeczył, a zagrożenie zbagatelizował.

Na początku lutego władze hrabstwa Pinellas na Florydzie poinformowały o udaremnionym ataku na tamtejszą stację uzdatniania wody. Aparatura, za pomocą której do wody pitnej dodaje się w odpowiedniej proporcji konkretne substancje chemiczne eliminujące z niej zanieczyszczenia, znalazła się pod zewnętrzną, zdalną kontrolą. Hakerzy rozregulowali ją, podnosząc do śmiertelnego dla człowieka poziom wodorotlenku sodu wpuszczanego do wody. Atak okazał się bezowocny, bo suwak dało się też obniżyć manualnie, co zrobił czujny pracownik stacji. Nie zawsze jednak będzie to możliwe, zwłaszcza w czasach, gdy coraz więcej elementów infrastruktury krytycznej obsługiwanych jest bezosobowo. Śledczy z Pinellas nie wiedzą jeszcze, kto był odpowiedzialny za włamanie, ale do przejęcia haseł zabezpieczających dostęp do aparatury doszło zapewne poprzez program TeamViewer, jeden z najczęściej używanych systemów zdalnej kontroli zespołów w miejscach pracy.

Cyberataki to precyzyjne narzędzie mogące uderzyć w całe populacje.

Morderstwo za pomocą cyberataku nie jest dzisiaj scenariuszem rodem z literackiej fikcji. Magazyn „The Economist" umieścił pierwszą śmierć w wyniku ataku hakerów jako jedno z prawdopodobnych wydarzeń w 2021 r. Nie potrzeba do tego wejścia do departamentu rządu federalnego – wystarczy włamanie do samochodowego komputera pokładowego. Shashank Joshi z „The Economist" zauważa, że w dostęp do internetu wyposażanych jest coraz więcej samochodów, wśród nowych aut wyższej klasy to praktycznie standard. Firma ABI zajmująca się badaniami rynku ocenia, że w samych Stanach Zjednoczonych 91% nowych pojazdów jest wpiętych do sieci w momencie zjechania z taśmy produkcyjnej. Zdalne przejęcie kontroli nad takim samochodem czy ciężarówką nie jest trudne, a doprowadzenie za jego pomocą do śmiertelnego w skutkach wypadku – jeszcze łatwiejsze. Już w 2007 r. amerykański Departament Energii pokazywał, że zaledwie 21 linijek kodu wystarczy do wytworzenia takich napięć w instalacji samochodu, by jego silnik w najlepszym razie zadławił się i stanął, w najgorszym – eksplodował.

Jak nie samochód, to aparatura medyczna podtrzymująca kogoś przy życiu. Albo przejęcie kontroli nad artykułami gospodarstwa domowego połączonymi w tzw. internet rzeczy. Zamknięcie drzwi i rozregulowanie ogrzewania czy klimatyzacji. Włamanie się do systemów obronnych sterowanych zdalnie, np. wyrzutni rakietowych albo samolotów bezzałogowych. Im więcej wokół nas zaawansowanych technologicznie przedmiotów, niewymagających ciągłego ludzkiego nadzoru i komunikujących się ze sobą w wewnętrznych sieciach, tym więcej miejsc, przez które hakerzy mogą się dostać do naszej codzienności i w ten sposób jej zagrozić.

Oczywiście nie zawsze musi chodzić o kwestie życia i śmierci. Często powód jest prozaiczny, bo finansowy. W styczniu grupa hakerów powiązana z chińskimi władzami zażądała okupu w wysokości 100 mln dol. za odblokowanie dostępu do internetowych kasyn i serwisów hazardowych zarejestrowanych w co najmniej pięciu osobnych krajach. W innych przypadkach chodzi o informacje. Cyfrowe szpiegowanie dziennikarzy i prywatnych firm jest coraz powszechniejsze, w ostatnim czasie jego ofiarą padło 40 dziennikarzy stacji Al-Dżazira, kilkadziesiąt spółek technologicznych z Izraela czy polski gigant z branży gier komputerowych CD Projekt. W takich przypadkach ofiary bywają często bezradne. Sprawy nie załatwia zapłacenie okupu, bo takie żądania nawet się nie pojawiają. Sprawców trudno znaleźć, a jeszcze trudniej ocenić straty, również te wizerunkowe. Akcje CD Projektu straciły na wartości aż 5% po ujawnieniu ataku. Realna, finansowa czy publiczna – nie ma większego znaczenia, o jakim rodzaju śmierci mowa. Cyberataki mogą doprowadzić do każdej z nich.

Zdalne przejęcie kontroli nad samochodem nie jest trudne, a doprowadzenie do śmiertelnego wypadku – jeszcze łatwiejsze.

Na pierwszy rzut oka zaatakowanie SolarWinds czy przejęcie kontroli nad którymiś maszynami do głosowania na florydzkiej prowincji może się wydać kwestią abstrakcyjną. To pierwsze w ustach polityków brzmi jak kolejna przepychanka między Moskwą a Waszyngtonem, drugie zaś jak wyolbrzymiony problem. Cyberataki to jednak już nie tylko mieszanie w polityce, wysyłanie znanym ludziom wirusów lub kradzież ich nagich zdjęć. To przede wszystkim bardzo precyzyjne narzędzie pozwalające pozbawić życia konkretne osoby albo uderzyć w całe populacje.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Klubowa piłka, czyli show dla ubogich

Telewizyjna kroplówka utrzymuje krajowy futbol przy życiu

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Polski futbol w wydaniu klubowym, choć siermiężny i brutalnie weryfikowany przez rywali nawet ze średniej półki w europejskich pucharach, ma konkretną wartość. Przede wszystkim dla telewizyjnych nadawców. Dla TVP oraz komercyjnego Canal+ wart jest 1 mld zł. Co prawda, w ciągu czterech lat, ale to i tak suma gigantyczna w zestawieniu z jakością oferowanej rozrywki. Można wręcz powiedzieć, że właśnie telewizyjna kroplówka utrzymuje krajową piłkę przy życiu. Gdyby bowiem nie było tak pokaźnych wpłat z tego źródła, sumaryczne przychody klubów PKO BP Ekstraklasy byłyby niższe aż o ponad 35%.

Kiepska liga, ale własna

Porównania z wielką piątką europejskiej piłki, którą tworzą angielska Premier League, hiszpańska La Liga, niemiecka Bundesliga, włoska Serie A i francuska Ligue 1, wypadają bardzo blado. Kluby ze wspomnianej strefy wygenerowały – jak wynika z raportów firmy audytorskiej Deloitte – za sezon 2018-2019, czyli ostatni przedpandemiczny, 17 mld euro przychodu, podczas gdy PKO BP Ekstraklasa 133 mln euro. Trzeba zatem przyjąć, że wprawdzie w Polsce uprawiana jest ta sama dyscyplina sportowa, ale w innej, znacznie skromniejszej i o wiele mniej dochodowej wersji. Tak pozostanie w najbliższych dziesięcioleciach, gdyż trudno sobie wyobrazić zdarzenie, które mogłoby doprowadzić do zmniejszenia dysproporcji.

To jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkadza Polakom ekscytować się krajowymi rozgrywkami. Jak podaje Ekstraklasa SA, statystycznie każdą kolejkę rodzimej ligi minionego sezonu śledziło na żywo przed telewizorami 1,13 mln kibiców, co daje średnią ponad 140 tys. widzów na każde z ośmiu spotkań kolejki. Najbogatszej i uznawanej za najbardziej atrakcyjną Premier League nie oglądała w Polsce nawet połowa takiej widowni. Stąd prosty wniosek, że koszula ciągle jest najbliższa ciału. Dlatego Canal+ inwestuje w polski futbol od 25 lat i dzięki temu ma w ogóle powód, żeby robić telewizyjny biznes nad Wisłą. Również dlatego – w trwającym kontraktowym czteroleciu – do francuskiego komercyjnego nadawcy dołączyła TVP. Nasz kibic po prostu domaga się krajowej piłki nożnej. Bo dla niego jest ona najciekawsza na świecie. Nawet jeśli w rankingach nie mieści się w czołowej trzydziestce w Europie.

Zresztą na odległych miejscach PKO BP Ekstraklasa plasuje się wyłącznie w klasyfikacjach sportowych. W zestawieniach obejmujących poziom realizacji transmisji, jakość produkcji i telewizyjnego opakowania od wielu lat polska liga piłkarska uznawana jest bowiem za jedną z 10 czołowych na Starym Kontynencie. W dużej mierze także dzięki temu jest tak łakomym kąskiem na rynku. Zresztą wspomniany miliardowy kontrakt (250 mln rocznie) – przynajmniej w momencie podpisywania – dawał polskiemu futbolowi ósmą pozycję w Europie pod względem wartości praw telewizyjnych. Mało tego – mimo że złośliwi nazywają nasze rozgrywki Ekstraklapą, a inni twierdzą, że to towar mocno wybrakowany, natomiast zawinięty w przepiękne sreberko – na jego zakup znajdują się chętni również za granicą.

Na małych ekranach w 18 krajach

Od 2019 r. jednym z głównych zagranicznych partnerów PKO BP Ekstraklasy jest stacja Planet Sport należąca do Telekom Austria. Dzięki nabyciu przez nią praw do transmisji wszystkich meczów każdej kolejki nasze rozgrywki dotarły do widzów w siedmiu krajach bałkańskich: Bośni i Hercegowinie, Chorwacji, Czarnogórze, Kosowie, Północnej Macedonii, Słowenii i Serbii. Kolejnym ważnym kontrahentem został niemiecki

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Cracovia za prawa do transmisji dostała 15,05 mln zł. Nz. mecz 30. kolejki z Wisłą Płock, 14 czerwca 2020 r.

kanał SportDigital, który kupił prawa do pokazania 40 meczów w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. Pandemia i przerwanie rozgrywek w wielu krajach zwiększyły zainteresowanie polskimi rozgrywkami, które w maju jako jedne z pierwszych na kontynencie pozbierały się po koronawirusowym lockdownie. W sumie mecze polskich klubów pojawiły się na ekranach w 18 krajach, w tym w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Rosji, Norwegii, Danii, Szwecji, Portugalii, a nawet w Izraelu.

Dla TVP i komercyjnego Canal+ polski futbol w wydaniu klubowym wart jest 1 mld zł w ciągu czterech lat.

Warto w tym miejscu dodać, że tym razem ligowa spółka przeprowadziła negocjacje z zagranicznymi nadawcami samodzielnie, już bez udziału globalnej agencji MP & Silva, z której wsparcia korzystała w poprzednich latach. Zaoszczędzono zatem – i to znacząco – na prowizji dla pośrednika. W sumie zysk ze sprzedaży praw zagranicznych przekroczył 7 mln zł. Późną jesienią w Azji przekaz był dostępny już nie tylko w Izraelu, ale też na Dalekim Wschodzie – w Indonezji (i Timorze Wschodnim). A czynione są starania dotyczące przesyłu sygnału dla amerykańskiej Polonii.

Bez wątpienia do popytu na dobrze zrobiony i nowocześnie opakowany telewizyjnie – choć mizerny ze sportowego punktu widzenia – futbolowy produkt *made in Poland* przyczyniła się Ekstraklasa Live Park, która jest spółką córką Ekstraklasy SA. Od 2011 r. produkuje ona sygnał telewizyjny ze wszystkich meczów najwyższej ligi piłkarskiej w Polsce. Dotychczas zrealizowała już niemal 2,5 tys. transmisji, w tym spotkania mistrzostw świata w kategorii U-20, które w 2019 r. zostały rozegrane w naszym kraju. Znając jakość produkcji ELP, FIFA jako organizator turnieju nie szukała żadnego innego kooperanta. Warto przy tym dodać, że wszystkie spotkania PKO BP Ekstraklasy produkowane są w standardzie *High Definition*, z dźwiękiem Dolby 5.1, przy użyciu minimum 10 (a bywa, że nawet 20!) kamer, w tym dwóch Super Slow Motion. 100 meczów w sezonie jest dostępnych także w technologii 4K. Jest to możliwe dzięki zakupowi przez spółkę Ekstraklasa Live Park pierwszego w Polsce wozu transmisyjnego pracującego w tym standardzie. Słowem, nie brakuje technicznych nowinek, jakimi raczą kibiców Anglicy, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie czy Włosi.

Rozgrywki PKO BP Ekstraklasy można oglądać za granicą także na platformie OTT pod nazwą Ekstraklasa.TV. To nowoczesna oferta dla Polonusów, osób przebywających na wyjazdach zagranicznych bądź fanów polskiej piłki z innych krajów – mogą oglądać transmisje ze spotkań za opłatą. System umożliwia wykupienie dostępu do wybranego meczu (*Pay Per View*), a także oglądanie transmisji wszystkich meczów w ramach abonamentu – miesięcznego lub za sezon. Nasze rozgrywki pokazywali też zagraniczni bukmacherzy (polscy zapłacili Ekstraklasie SA 12 mln zł za licencję na udostępnianie wyników). Natomiast na terenie kraju rozgrywki są promowane nie tylko na antenach Canal+ i TVP, czyli nabywców głównych pakietów praw do transmisji. Również TVN w programach informacyjnych pokazywała dwuminutowe skróty meczowe. Po 10 minutach od ostatniego gwizdka pięciominutowe skróty są natomiast dostępne i w Canal+, i w aplikacji ligowej PKO BP Ekstraklasy, i w klubowych mediach uczestników rozgrywek oraz PZPN.

Mecz Pogoni Szczecin ze Śląskiem Wrocław, 19 września 2020 r.

Czy będą oglądać naszą ligę?

Po sprzedaży telewizyjnych praw zapytano dziennikarzy z krajów, gdzie miały być prezentowane rozgrywki PKO BP Ekstraklasy (Internetowy portal Sport.pl.Extra), o spodziewaną jakość rozrywki sportowej importowanej znad Wisły.

Ben Porges, Izrael, redakcja Sport1 Israel: – Jestem przedstawicielem telewizji, która kupiła prawa do transmitowania rozgrywek w Polsce. Taka decyzja została podjęta m.in. dlatego, że wasza liga jest jedną z pierwszych, które powracają po pandemii. W Izraelu nie mamy zbyt dużej wiedzy o PKO BP Ekstraklasie. Ogólne założenie jest takie, że to liga, która odpowiada poziomem lidze izraelskiej lub jest nieco lepsza. Pierwszy raz usłyszeliśmy więcej o waszych rozgrywkach, gdy występował w nich Maor Melikson, swego czasu czołowy piłkarz Wisły Kraków.

Troels Bager Thøgersen, Dania, redakcja „Tipsbladet": – Najbardziej znane polskie drużyny w Danii to

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS, SEBASTIAN WOŁOSZ/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Legia Warszawa, Wisła Kraków, Górnik Zabrze i oczywiście Lech Poznań. Ten ostatni szczególnie, bo kibice śledzą występy Christiana Gytkjæra. Pięć lat temu oglądałem na żywo spotkania Legii z FC Midtjylland. Nasze ligi są prawdopodobnie na zbliżonym poziomie. W największym duńskim tabloidzie „Ekstra Bladet" w ostatnich tygodniach szeroko relacjonowano mecze z Wysp Owczych, bo tam piłkarze dość szybko wrócili do gry. Polska Ekstraklasa stoi na wyższym poziomie, dlatego będzie sporą zmianą móc ją zobaczyć i o niej przeczytać.

Adrian Richvoldsen, Norwegia, redakcja Nettavisen: – Bardzo się cieszę, że norweski Direktesport będzie transmitować mecze polskiej ligi. W Norwegii nie mamy zbyt dużej wiedzy na temat waszego futbolu, ale naprawdę nie mogę się doczekać tych spotkań. Podczas gdy wielu kibiców w Norwegii ogląda Eliteserien (najwyższą ligę), Premier League, La Liga i Bundesligę, możliwość śledzenia także waszej Ekstraklasy brzmi interesująco. Co też ważne, w naszym kraju mieszka ok. 116 tys. Polaków, którzy wreszcie będą mieli okazję zobaczyć polską piłkę nożną u norweskiego nadawcy.

Archie Rhind-Tutt, Wielka Brytania, redakcja „The Guardian" i Fox Soccer: – Szczerze mówiąc, nie jestem zaskoczony decyzją o zakupie praw, ale nie sądzę, by polski futbol zyskał wielki rozgłos w Wielkiej Brytanii. Pamiętam, jak w 2011 r. Wisła Kraków grała z Fulham, a jej fani byli niesamowicie zaangażowani. Myślę, że liczba osób zainteresowanych oglądaniem Ekstraklasy będzie niska, ale to również dlatego, że trudno jest „sprzedać" coś innego niż angielski futbol nawet przeciętnemu kibicowi w Anglii.

Zmagania z pandemią

Jak koronawirusowe realia wpłynęły na frekwencję na meczach PKO BP Ekstraklasy? Otóż w zakończonym w lipcu sezonie 2019-2020 na ligowych stadionach zagościło ponad 2,038 mln kibiców. Do momentu zawieszenia rozgrywek – co nastąpiło po 26. kolejce – średnia widzów na spotkaniu była co najmniej przyzwoita – wynosiła 9 tys. To wynik tylko nieco gorszy niż w poprzednich sezonach. Frekwencyjny rekord padł w derbach Krakowa, bo na stadionie Wisły rywalizację z Cracovią na żywo obejrzało 33 tys. ludzi. Najwyższą średnią miała jednak Legia (niemal 19 tys. przy stadionie na prawie 31 tys. miejsc), co przełożyło się na 62-procentowe obłożenie trybun w sezonie pełnym zakrętów. Biorąc zatem pod uwagę wszystkie utrudnienia – całkiem nieźle.

W ostatniej, 37. kolejce na ośmiu ekstraklasowych stadionach pojawiło się jednak ponad 34,5 tys. kibiców. Był to najlepszy wynik w trakcie rundy finałowej (obejmującej siedem kolejek), podczas której obowiązywały już jednak ograniczenia sanitarne (maksymalnie 25% wypełnienia obiektów). Łącznie w rundzie finałowej 168,7 tys. kibiców (co daje średnią 3 tys.) nie przestraszyło się koronawirusa na stadionach.

Najwięcej na transmisjach zarobiły:
Legia Warszawa – 31,30 mln zł
Lech Poznań – 26,45 mln zł
Piast Gliwice – 20,90 mln zł
Cracovia – 15,05 mln zł

Każdą kolejkę rodzimej ligi śledziło na żywo przed telewizorami 1,13 mln kibiców, co daje średnią ponad 140 tys. widzów na mecz.

A wracając do pieniędzy od nadawców, ciekawa jest zasada dzielenia telewizyjnego tortu. Po dodaniu wpływów z reklam i odjęciu kosztów produkcji sygnału, a także stałej wypłaty na rzecz PZPN (8,1 mln zł z przeznaczeniem na wynagrodzenie sędziów, delegatów i obserwatorów oraz zapłatę za licencję za zarządzanie ligą zawodową), 44% będącej w kasie puli (ok. 225 mln zł) zostało rozdzielone między kluby solidarnie (czyli po ok. 6,2 mln zł, w tym po 0,75 mln zł na działalność młodzieżowych akademii). 20% przydzielono za zajęte miejsce w tabeli na koniec ostatniego sezonu, a 18% – za miejsce w rankingu historycznym (obejmującym ostatnie pięć lat). 14% to premia dla czterech drużyn występujących w rozgrywkach UEFA, 2,5% pochłonęły wydatki na Pro Junior System premiujący stawianie na młodych wychowanków w meczach ligowych. Wreszcie 1% przeznaczono do podziału między drużyny, które spadły do I ligi, natomiast 0,5% przypadło klubom z dolnej ósemki w ramach opłaty solidarnościowej.

Największymi wygranymi takiego podziału zostały kluby z podium oraz czwarty reprezentant w europejskich pucharach, którym w tym roku okazał się zdobywca Pucharu Polski, Cracovia. Czołówka „transmisyjnej" listy wypłat ukształtowała się następująco: Legia Warszawa – 31,30 mln zł, Lech Poznań – 26,45 mln zł, Piast Gliwice – 20,90 mln zł, Cracovia – 15,05 mln zł. Dla Legii przelew z tytułu praw telewizyjnych stanowił jedną czwartą wszystkich przychodów z sezonu. Dla Lecha i Piasta było to ponad 55%, dla Cracovii zaś – 40%. Dla słabszych zespołów odsetek budżetu zbudowany dzięki przychodom ze sprzedaży scentralizowanych praw telewizyjnych był równie wysoki. W zdegradowanym ŁKS wyniósł niemal 80% przychodów, mimo że transza z ESA dla łódzkiego klubu wyniosła „tylko" 8,15 mln zł. Z kolei dla Rakowa Częstochowa, który pewnie utrzymał się w elicie, a w bieżących rozgrywkach długo był liderem ekstraklasowej tabeli – przelew na 8,9 mln zł stanowił 48% całości wpływów.

Pokazuje to niezbicie, że klubowa piłka nożna w Polsce – choć odbiega od europejskiego poziomu – jest dochodowym telewizyjnym *show*. Być może dla ubogich, o niewielkiej wartości merytorycznej, za to chętnie oglądanym i profesjonalnie opakowanym. W porównaniu z zagraniczną konkurencją jest niczym disco polo w zestawieniu z trzymającą poziom brytyjską muzyką pop. Cóż, podobno każdy ma to, na co zasługuje. A przede wszystkim – na co go stać. Skądinąd wiadomo jednak, że przynajmniej do zakończenia sezonu 2022-2023 krajowa piłka będzie nie tylko się kręcić, ale nawet bilansować. Głównie dzięki miliardowi z telewizji.

Adam Godlewski, Maciej Polkowski

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Uwagi emerytowanego ambasadora

Pewien doświadczony dyplomata, który przeczytał w PRZEGLĄDZIE rozmowę z byłym ambasadorem w Finlandii, zwrócił uwagę na taki oto element – że tak naprawdę, jeśli chodzi o placówkę, o MSZ i o polską dyplomację, ambasador jest osobą zbędną.

Bo co należało do jego najważniejszych zadań? Przygotowywanie remontu ambasady. A na czym się pośliznął? Ano na tym, że jego urzędniczka źle przeprowadziła przetarg.

Te sprawy, które ambasador Suchoples opisywał, to codzienność życia ambasadorów RP na całym świecie. W polskim systemie ambasador jest jak kapitan na okręcie, odpowiada za wszystko i wszystko musi podpisywać. Każdy zakup. Musi więc mieć głowę do spraw administracyjnych i finansowych, uważać na każdą podsuwaną mu fakturę, bo inaczej wyleci w kosmos. A ponieważ musi zajmować się rachunkami, przetargami itd., ma bardzo mało czasu na sprawy merytoryczne. To jest plaga niszcząca MSZ.

Druga uwaga: zaraz po ukazaniu się wywiadu rozszedł się on po MSZ. I wtedy ludzie zaczęli sobie Suchoplesa przypominać, a w zasadzie szukać tych, którzy kiedykolwiek mieli z nim do czynienia. No i poszło w gmach, że to profesorek i że pisał śmieszne depesze, typu „wino świetnie do potraw się komponowało" itd.

No, posłuchaj, młodzieży, starszych ludzi. To rzeczywiście może być śmieszny zwrot, że „wino świetnie się komponowało", ale tak naprawdę ocena tego zdania mieści się w jednym – zależy, z kim to wino było spożywane.

W dzisiejszych czasach informacje na temat danego kraju łatwo można zebrać przez internet. Można w ten sposób czytać prasę, słuchać radia, oglądać telewizję, ba, uczestniczyć w debatach… To wszystko jest w zasięgu ręki, z gabinetu w Warszawie. Ale wina z osobą X napić się w ten sposób nie można. Ba! Można być nawet na miejscu i nigdy nie mieć okazji, by tego wina w takim towarzystwie skosztować. I to jest ta zasadnicza różnica między dyplomatą a pracownikiem ambasady.

To chyba jest też efekt pewnej luki pokoleniowej… Dzisiejsi MSZ-etowcy bardziej patrzą na swoją firmę jak na rodzaj korporacji. I tak działają. Ci starsi, czy raczej najlepsi z tych starszych, większą wagę przykładali do budowania portfela znajomości, do poznawania kraju, w którym byli, i jego elit.

I jeszcze jedna uwaga: niebywale rozrosła się władza komórek *quasi*-policyjnych typu Inspektorat Służby Zagranicznej. W czasach Polski Ludowej niczego takiego nie było i MSZ działało.

Wystarczy zresztą zerknąć, jaki jest zakres zadań inspektoratu. Opisane są one napuszonym językiem: gromadzenie i analiza informacji mogących mieć wpływ na bezpieczne funkcjonowanie służby zagranicznej, koordynowanie działań mających na celu przestrzeganie zasad ochrony danych osobowych oraz działań związanych z ochroną fizyczną placówek zagranicznych RP, prowadzenie spraw obronnych i obrony cywilnej, a także związanych z zarządzaniem kryzysowym w MSZ.

Ech, ochroną placówek zajmowali się kiedyś przysyłani z kraju strażnicy. Dziś ich szef odbiera paszport ambasadorowi, wymądrza się, a potem wysyłany jest jako ambasador. I to pokazuje marność obecnego MSZ.

Attaché

W czystości w nowy rok. Posąg Buddy w świątyni przed obchodami chińskiego Nowego Roku Księżycowego. Bogor, prowincja Jawa Zachodnia w Indonezji, 7 lutego.

FOT. ANTARA FOTO/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 3efdd1c9f9

JOLKA

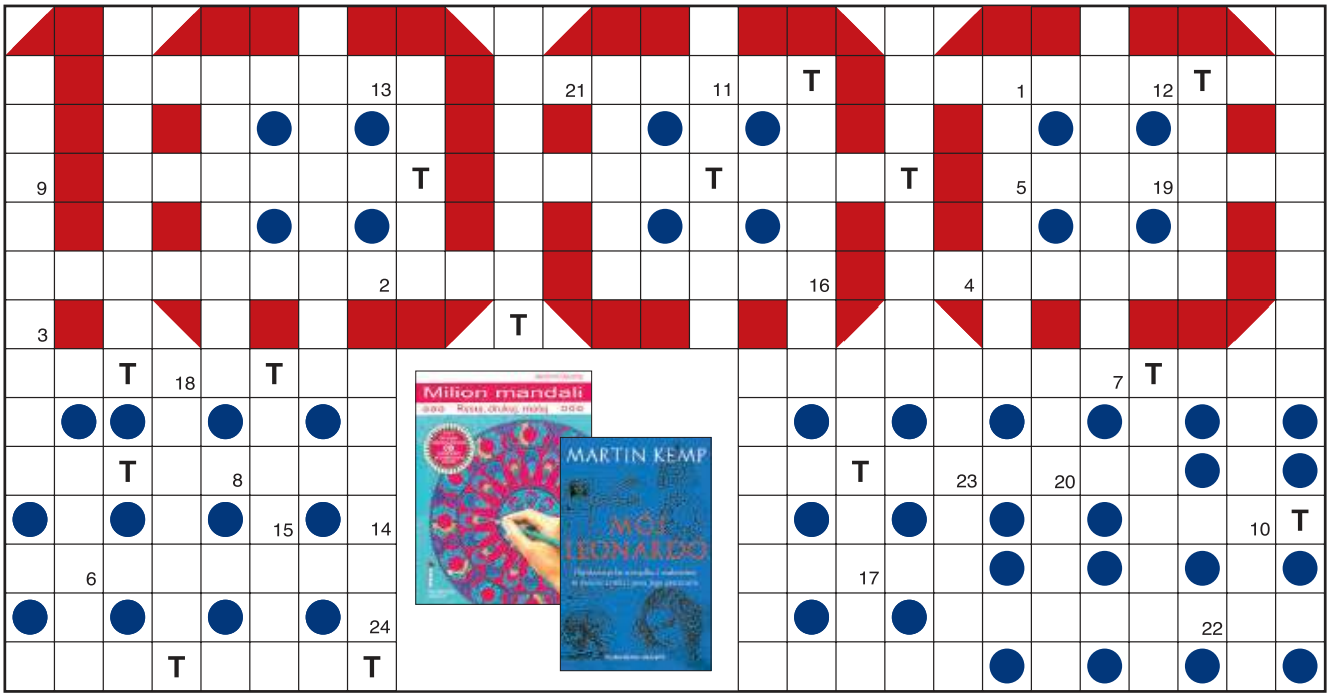

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- najelegantszy lokal Warszawy lat 30. XX w.
- z jej liści sizal
- gaśniczy lub prądotwórczy
- elementarne wiadomości jak zbiór liter
- od niego Romeo kupił truciznę
- schorzenie z napadami duszności
- sposób podróżowania z piosenki Karin Stanek
- …Tuck w drużynie Robin Hooda
- budynek folwarczny z czterema mieszkaniami
- marka rumuńskich samochodów
- subsydium, grant
- wyciąg np. z ziół
- żelazny twardo głosuje na swoją partię
- 1000 MW
- język Archimedesa i Arystotelesa
- zasłana nim ziemia pod świerkiem
- traktowanie czegoś niepoważnie, jak zabawę
- sprawdza licznik i pobiera należność
- atmosferka
- na dawnym banknocie 1000 zł jego wizerunek
- „ażurowa" modlitwa
- i rodacy, i cięcie na części
- główna – sztab jednostek lub naczelnego dowódcy
- żył prawie 1000 lat
- 1000 lat
- znieczulenie ogólne przed operacją
- znaczek przynależności organizacyjnej, zawodowej
- składa propozycję handlową
- boczna poręcz krzesła, fotela w aucie
- szminka albo cukierek
- dyplomatyczny lub przesłuchania świadka
- szmugiel, kontrabanda
- radośnie merda ogonkiem
- szybkie orientowanie się i reagowanie
- w późnym średniowieczu przekształciło się w szlachtę
- narodowe nakrycie głowy Meksykanów i Chilijczyków
- bohaterka i narratorka „Księgi 1000 i jednej nocy"
- kapie na nią woda z ociekacza
- opaska podtrzymująca chorą rękę
- mora, batyst lub gobelin
- trąba powietrzna
- ewakuacyjne albo po angielsku
- imię wykonawczyni „Alei gwiazd", „Julia i ja"

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1000". Do rozlosowania zestawy książek „Mój Leonardo" i „Milion mandali" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 lutego 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-997" z nr. 5: *Wszystko ma datę ważności.* Nagrody otrzymują: Ryszard Kiełczewski z Tychów, Jadwiga Klimkiewicz z Warszawy, Stanisław Trojan z Kielc.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

PENETRACJE

Press **DARIUSZ ROSIAK,** DZIENNIKARZ ROKU 2020

Zdumiewa mnie, że większość dziennikarzy nie jest zainteresowana tym, co myślą inni. Chcą wyłącznie sami mówić, a najlepiej, żeby przy okazji dało się kogoś zmieszać z błotem. Nie rozumiem, jak można żyć z przekonaniem, że jedna strona ma stuprocentową rację, a druga nie ma jej wcale. A przecież człowiek jest skomplikowanym tworem. Zgłębianie tego świata jest najciekawsze. Na tym powinna polegać praca dziennikarza, a nie na młotkowaniu tych, którzy myślą inaczej niż ja.

POLSKA **SZYMON HOŁOWNIA,** LIDER RUCHU POLSKA 2050

Zjednoczona Prawica to jedno. Natomiast jeżeli po tamtej stronie są, a są, ludzie, którzy zaczynają rozumieć, w co wdepnęli, byliby gotowi służyć Polsce po jasnym powiedzeniu, po której stronie się opowiadają i z jakich powodów robili to, co robili, bo to nie może się stać tak po prostu – każdy przypadek trzeba rozważyć indywidualnie. Trzeba oczywiście bezwzględnie rozliczyć wszystkie przekręty, których PiS dokonało, ale zawsze być otwartym na wyborców, którzy mogliby do nas przyjść z tamtej strony.

charaktery **PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI,** PSYCHOLOG

Trafność sądów na własny temat jest zdumiewająco niska. Nie poznamy samych siebie. Pytanie, czy mogą nas poznać inni. Tu otwierają się większe możliwości, ponieważ trafność przewidywań cudzych zachowań jest znacznie większa niż własnego. Dlatego tak ważne jest umieć słuchać innych, szczególnie gdy mają zdanie odmienne od naszego.

URODA **KAYAH,** PIOSENKARKA

Piosenkę „Królestwo kobiet" zrobiłyśmy na potrzeby promocji serialu o tym samym tytule – miała oczywiście pokazywać, że kobiety, gdy mogą na siebie liczyć, to mają moc. Miesiąc po premierze zyskała zupełnie inny wydźwięk! Zaczęła żyć własnym życiem i z utworu o kobiecej sile stała się protest songiem. Dziewczyny pisały wersy z „Królestwa kobiet" na kartonach: „Nam niepotrzebny żaden król / bo i tak jesteśmy *cool* / moje motto: być na złoto / i nie dawać się idiotom".

Lodowe popiersie sir Davida Attenborough, wybitnego brytyjskiego biologa, ma być symbolem zmian klimatu i topnienia lodowców. Southbank, Londyn, 10 lutego.

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Aby język giętki…

ANDRZEJ SOŚNIERZ
O POMOCY Z „TARCZ"
Ze 140 mld na „tarcze" aż 50 mld zostało przez beneficjentów ulokowane w bankach.

STANISŁAW TYM
O RZĄDZIE MORAWIECKIEGO
Nie ma czasu rządzić, bo wciąż dzieli ogromną forsę między swoich.

WILHELM SASNAL
O CHŁOPSKICH KORZENIACH
Nie chcemy się przyznać, że nie w szlacheckich dworkach są nasze korzenie, ale w lepiankach.

MICHAŁ OGÓREK
O GÓRALACH
Chodzi im nie tyle o bunt, co o bundz, wytwarzany przez nich mało smaczny ser.

NATASZA URBAŃSKA
O MĘŻU
Niełatwo znaleźć w świecie show-biznesu człowieka, który potrafi ci powiedzieć prawdę w oczy.

MARCIN ŚWIETLICKI
O PISANIU
Mam napisanych dużo chaotycznych zdanek, ale jakoś do prozy nie mam teraz serca.

JANUSZ GAJOS
O POBYCIE W SZPITALU
Anestezjolog wybudzał mnie po zabiegu słowami: „Halo, panie Turecki, budzimy się".

ANNA STARMACH
O PORANNYM NAPOJU
Kurkumę i świeżo starty imbir łączę z sokiem z cytryny, zalewam wrzątkiem i idę pod prysznic. Gdy wracam, dodaję łyżeczkę spadziowego miodu.

CEZARY KUCHARSKI
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM
Wiem, jakie są jego poglądy, albo przynajmniej jakie były, bo teraz muszą z żoną z obecną władzą iść pod rękę.

AGATA BUZEK
O MAMIE LUDGARDZIE
Patrzy na ludzi z otwartością i z zaciekawieniem. Uprzejmie i bez osądzania.

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Metalowiec do szpiku kości

Amerykański miłośnik heavy metalu, niejaki Prince Midnight, ogłosił, że wykonał „pierwszą prawdziwą gitarę z ludzkiego szkieletu". Jak wyjaśnił, tworząc instrument ze szczątków swojego wuja, chciał upamiętnić tę ważną dla siebie osobę, która zaraziła go uczuciem do ciężkich brzmień. Ze wsparciem internautów mężczyzna uporał się z rozmaitymi wyzwaniami technicznymi i jest na najlepszej drodze do osiągnięcia założonego celu, który brzmi: „aby wujek Filip mógł rzępolić na zawsze".

Żywi i broni

Amerykańscy naukowcy nauczyli zdrowe, choć nie przez wszystkich lubiane warzywo wysyłać mejle. Spece z MIT wyposażyli liście szpinaku w węglowe nanorurki, zdolne do fluorescencji po wychwyceniu przez roślinę związków typowych dla materiałów wybuchowych. Światło jest wykrywane przez kamerę na podczerwień, a informacja w tej sprawie przekazywana naukowcom pocztą elektroniczną (lub w formie powiadomienia na smartfonie). Eksperyment potwierdził, że rośliny w sojuszu z elektroniką mogą skutecznie monitorować wody gruntowe, np. pod kątem zanieczyszczeń. Chyba wyślemy szpinakowi list gratulacyjny!

Teksańska masakra skrzynką mejlową

Inny system alarmowy, którego operatorem jest Departament Bezpieczeństwa Publicznego Teksasu, poinformował mieszkańców stanu, że rudowłosa lalka morderca pojmała swojego syna. Treść mejli, w których proszono o wszelkie informacje na temat poszukiwanego, opierała się na popularnej serii horrorów, których głównym bohaterem jest Chucky – zbrodniarz wcielony w zabawkę. – Ten alert był rezultatem błędu podczas testów. Przepraszamy za zamieszanie – wyjaśniono. Teksańczykom radzimy, by mimo wszystko uważali na 94-centymetrowe lalki uzbrojone w wielkie kuchenne noże.

Na oku, bo na czole

Zapewne dlatego, że złote zęby czy tatuaże na twarzy przestały być wśród raperów czymś oryginalnym, Lil Uzi Vert zdecydował się na coś bardziej spektakularnego – na osadzenie w czole diamentu. Różowy klejnot jest podobno wart przeszło 24 mln dol. Na pytanie, czy nie wolałby umieścić kamienia jak inni bogacze w sygnecie, raper odrzekł, że nie, ponieważ sygnet można zgubić, a on nie chce stracić błyskotki, która jest mu tak – pod każdym względem – droga.

Kłujące nie tuczy

38-letnia Wenqing Li została skazana za próbę przemycenia do Nowej Zelandii prawie tysiąca kaktusów i innych sukulentów, które przywiązała do ciała. Kobieta wpadła, gdyż została wskazana przez psa zawodowo zajmującego się zapobieganiem złu na lotnisku w Auckland. Rośliny okazały się warte ponad 10 tys. dol., były wśród nich egzemplarze ośmiu gatunków zagrożonych wyginięciem. Przemytniczkę, która zamierzała upłynnić sucholubną florę w internecie, skazano na karę 12 miesięcy ścisłego nadzoru i 100 godzin prac społecznych. Byle nie w ogrodzie botanicznym!

Poza granicą opłacalności

W Medyce obywatel Ukrainy zaproponował pogranicznikom 25 euro za rezygnację z wystawienia mandatu za niewłaściwe parkowanie, który wyniósłby… 100 zł. Funkcjonariusze Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej okazali

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 3efdd1c9f9

Chodzi o to, aby ciało giętkie wykonało wszystko, co pomyśli głowa. Lekkoatletka Taliyah Brooks podczas skoku w dal i gimnastyczka Andreea Verdes.

się nieprzekupni, co zaowocowało zatrzymaniem 36-latka i postawieniem mu zarzutu łapownictwa. Mężczyzna przyznał się do winy i dobrowolnie poddał karze roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, czym udowodnił, że jednak jest zdolny do racjonalnych kalkulacji.

Pożytki z pracowników Myszki

Disneyowska „Kraina lodu" pomogła rozwiązać zagadkę tragedii, która wydarzyła się na Uralu Północnym w 1959 r. A było to tak: dr Johan Gaume z Politechniki Federalnej w Lozannie był pod wrażeniem tego, jak realistycznie animatorzy odtworzyli fizyczne właściwości śniegu. Udało mu się uzyskać dostęp do stworzonych przez nich narzędzi, które po odpowiedniej modyfikacji umożliwiły przeprowadzenie symulacji lawiny na wschodnim stoku Chołatczachl. Potwierdziła ona, że to śnieg mógł zabić uczestników studenckiej wyprawy, u których stwierdzono dość nietypowe obrażenia. Niech no ktoś jeszcze powie, że animacja komputerowa to małe Miki…

FOT. A-MEM(2), PIC NA WODĘ FOTOMOMTAŻ, SERGEI SUPINSKY/AFP/EAST NEWS, TOBIAS SCHWARZ/REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 3efdd1c9f9

BANKSY

Geniusz czy wandal?

Międzynarodowa wystawa „The Art of Banksy" prezentuje ponad 100 eksponatów – oryginalnych prac, instalacji, rzeźb, fotografii i specjalnie na tę okazję tworzonych szablonów. Banksy jest prawdopodobnie najsłynniejszym i zarazem najbardziej tajemniczym artystą graffiti na świecie. Brytyjczyk z powodzeniem utrzymuje swoją tożsamość w sekrecie, ale podbija nie tylko ulice, lecz także domy aukcyjne na całym świecie. Jest uważany za jednego z najcenniejszych współczesnych artystów. Jego prace podróżują po świecie, zarówno online, poprzez miliony udostępnień na platformach społecznościowych, jak i w życiu realnym, w formie wystaw, w większości nieautoryzowanych ze względu na anonimowy status Banksy'ego.

Centrum Praskie Koneser
Warszawa, pl. Konesera 2
do 11 kwietnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3efdd1c9f9

POMÓŻ NAM
POMAGAĆ

KRS 0000225587

www.pck.pl

eprasa.pl 3efdd1c9f9

1%

TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ

NIEULECZALNIE CHORYM DZIECIOM

KRS: 0000168783

Fundacja Dziecięca Fantazja